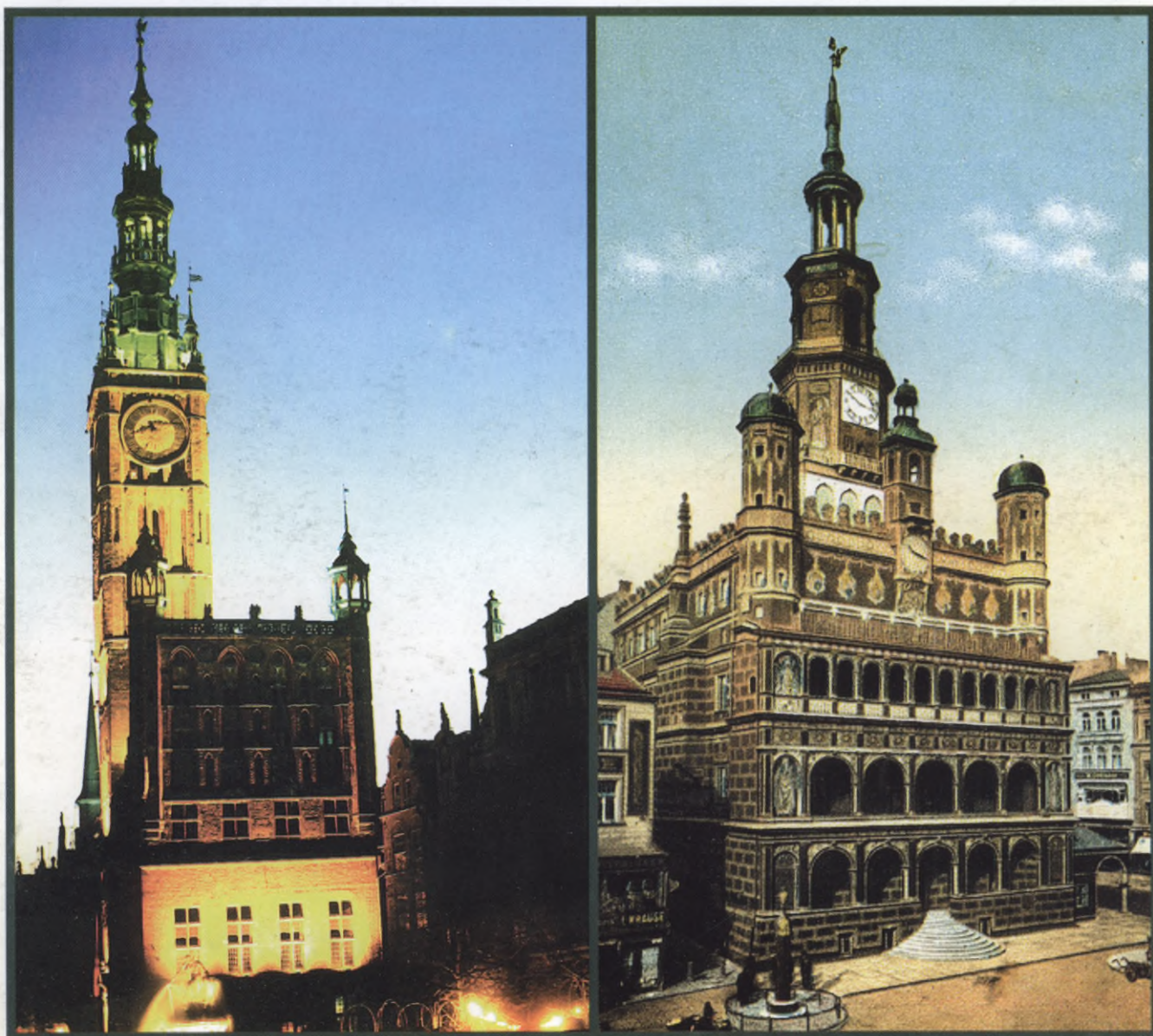


POMERANIA[®] 4

Miesięcznik społeczno-kulturalny Kwiecień 1999

Cena 3,50 zł



Indeks 371939 PL ISSN 0238-9045

Poznaniacy i Zachodnioprusacy

Czekamy na papieża

Wiatr do morza. Pomerania śpiewa

Toruński ratusz. Fot. Krzysztof Jakubowski



Dzięki środowisku toruńskiemu, wspomagającemu w 20-leciu międzywojennym poznańskich akademików pomorskich, pogłębiły się więzi wielkopolsko-pomorskie w młodym pokoleniu, trwale także po 1945 r.

(Pomorsko-wielkopolskie dziedzictwo)

POMERANIA

Nr 4 (313) Rok zał. 1963

Łękwit 1999



Cezary Obracht-Prondzyński	<i>Sąsiedztwo ponad Notecią</i>	2
Józef Borzyszkowski	<i>Splątane losy</i>	6
Roman Janta Polczyński	<i>Pomorsko-wielkopolskie dziedzictwo</i>	9
Roman Komierowski	<i>Krótką historią „Bazaru”</i>	13
Paweł Dzianisz	<i>Moje pamiętniki życiowe</i>	16
Janina Wieczerska	<i>Widok na Poznań</i>	20
Stanisław Janke	<i>Wiatr do morza</i>	21
Jan Kamowski	<i>Poeta na wojnie</i>	22
Stanisław Pestka	<i>Krwawi wion</i>	23
Jerzy Bartmiński	<i>Wielką księgą pieśni z Kaszub</i>	25
Ludwik Bielawski	<i>Pomerania śpiewa</i>	28
Brunon Synak	<i>Gwiazdka wśród Kaszubów</i>	30
s.j.	<i>Piękną pieśń</i>	33
Waldemar Borzestowski	<i>Czekamy na papieża</i>	36
Lech Lbik	<i>Carpe diem</i>	40
Jerzy Treder	<i>Kałduska zagadka</i>	43
Ewa Rogowska	<i>Prejs, Mrongowiusz i Kaszuby</i>	45
Tomasz Rembalski	<i>Z kaszubskiego zielnika</i>	47
Jolanta Nitkowska-Węglarz	<i>Sasanka</i>	49
Paweł Dzianisz	<i>Wczoraj i dziś gdyńskiego muzeum</i>	50
Kow.	<i>Recenzje</i>	58
	<i>Regał regionalny</i>	59
	<i>Listy</i>	60
	<i>Klęka</i>	70
	<i>Informacje regionalne</i>	

Numer wydano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki

Na okładce rąsuz: gdański w ujęciu Krzysztofa Jakubowskiego oraz poznański na pocztówce sprzed 1939 r.

Wydawca: Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Adres redakcji: Straganiarska 20-22, 80-837 Gdańsk, tel. 301-90-16, 346-27-23, fax 346-26-13
Konto: BIG BG IV Oddz. Gdańsk 11601322-664390-132
e-mail: zk-p@free.ngo.pl

Redakcja: Stanisław Janke, Cezary Obracht-Prondzyński (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Jan Misiek (opracowanie graficzne), Ewa Judycka (korekta), Elżbieta Wasiłuk (łamanie)

Kolegium: Józef Borzyszkowski, Stanisław Pestka, Dariusz Piasek, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak, Donald Tusk, Tomasz Wicherkiewicz

Druk: Drukarnia „Triada”,
Gdańsk ul. Cieszyńskiego 1

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów
Prosimy o przekazywanie materiałów na dyskietkach

Losy wielkopolsko-pomorskich kontaktów są bardzo interesujące i mogłyby stanowić kanwę niejednej opowieści historycznej z wątkami romantycznymi, patriotycznymi, a nawet awanturniczymi. Z żadnym bowiem innym regionem Polski nie łączy Pomorza tak ściśle i rozległe kontakty kulturowe, religijne, społeczne i ekonomiczne, jak właśnie z Wielkopolską.

Splątane losy, s. 2

Nie lepiej się działo w Komierowie, bo dziad Andrzej posag swojej żony, 12 000 talarów, chcąc przed zaborczością wojskowych zajezdniaków uchronić, zakopał w Komierowie, w tajemnicy przed wszystkimi. Zapadłszy na tyfus w roku 1813 chciał żonie swojej, Tekli, miejsce przechowania jej posagu oznajmić i prosił służbę, aby zawołała swoją babkę. Tymczasem nim babka nadeszła, śmierć mu zamknęła oczy i miejsce schowania skarbu pozostało do dziś tajemnicą.

Moje pamiętniki życiowe, s. 13

Przeminęli Piastowicze, przeminęły wieki, a Polan, dziś już prozaicznie – poznaniaków do morza i Pomorza ciągnie.

Wiatr do morza, s. 20

Chciałbym wierzyć, że wydanie „Kaszub” ożywi zainteresowanie folklorem pieśniowym małych ojczyzn lokalnych i regionalnych nie tylko na Pomorzu, że dla zespołów folklorystycznych i muzyków folkowych stanie się źródłem inspiracji.

Pomerania śpiewa, s. 25

Na występy zgłosiło się około 30 zespołów, czyli niemal wszystkie istniejące na Kaszubach i Pomorzu grupy taneczno-śpiewacze; razem połączone zespoły będą liczyć ok. 800 osób.

Czekamy na papieża, s. 33

Prenumerata „Pomeranii” w kraju w I półroczu 1999 wynosi: 21 zł (legz. 3,50 zł) ; za granicę: 63 zł; kwartalnie w kraju: 10,50 zł ; za granicę: 31,50 zł

Sąsiedztwo ponad Notecią



Fot. z „Wielkiej księgi miasta Poznania”

Poznań, katedra pw. św. Apostołów Piotra i Pawła

Losy wielkopolsko-pomorskich kontaktów są bardzo interesujące i mogłyby stanowić kanwę niejednej opowieści historycznej z wątkami romantycznymi, patriotycznymi, a nawet awanturniczymi. Z żadnym bowiem innym regionem Polski nie łączą Pomorza tak ściśle i rozległe kontakty kulturowe, religijne, społeczne i ekonomiczne, jak właśnie z Wielkopolską. Niestety, świadomość tego, tak oczywista dla naszych poprzedników, dzisiaj zanika. Wydają się o tym pamiętać już tylko historycy zajmujący się XIX i początkiem XX wieku oraz, w coraz mniejszym stopniu, Wielkopolanie, którzy na Pomorze trafili po 1945 roku. Jest zresztą zastanawiające, dlaczego ta bodaj najliczniejsza grupa ludności, podejmująca trud powojennego zagospodarowania Pomorza, szczególnie zachodniego, dziś zupełnie nie podnosi i nie deklaruje swojej tożsamości regionalnej, na wzór np. ludności kresowej. Wszak Wielkopolanie mają wielkie zasługi dla Pomorza i z zasady nie było konfliktów między nimi a dawnymi polskimi mieszkańcami naszego regionu, choćby ze względu na podobną mentalność i rozwój cywilizacyjny.

Z perspektywy historii

Historyków zawsze interesowało, jak z małego ksiąstewka, zarządzanego z Gniezna zrodziło się państwo polskie. Dlaczego właśnie tu znalazł swe gniazdo Biały Orzeł? Jakie siły i zamysły sprawiły, że lokalni władcy Polan z czasem podporządkowali sobie rozległe obszary w dorzeczu Wisły i Odry? W orbicie ich politycznych planów od początku znajdowała się kraina położona za rozległym obszarem lasów i bagien nadnoteckich, kraina bogatych grodów nadbałtyckich, będących już wówczas „oknem na świat”. Słowem ziemia, którą na dworze w Gnieźnie nazywano „Po-morzem” i gdzie dostać się było można najłatwiej wzdłuż Wisły i Odry.

Na ten najdawniejszy okres w dziejach Pomorza możemy patrzeć z trzech różnych perspektyw: przez pryzmat starań Pomorzan o utrzymanie swojej niezależności, przez pryzmat „naturalnego” dążenia księstwa saskiego i Cesarstwa Niemieckiego do podporządko-

SPLATANE LOSY

Cezary Obracht-Prondzyński

Pomorze przez wieki było otwarte na różne wpływy i kontakty kulturowe. Poddawane rozmaitym oddziaływaniom politycznym, było przedmiotem sporów militarnych. Można powiedzieć, że tu „od zawsze” rywalizowały ze sobą wpływy idące od południa, z Wielkopolski i od zachodu, czyli z krajów niemieckich. Tę rywalizację, w której Pomorze najczęściej było tylko przedmiotem przetargu, najlepiej opisał Florian Znaniecki, profesor uniwersytetu w Poznaniu, w pracy pod wymownym tytułem „Siły społeczne w walce o Pomorze”.

Z dzisiejszej perspektywy możemy ocenić, że „kierunek południowy” odniósł ostateczne zwycięstwo, ale przecież przez setki lat niewiele wskazywało, że tak może się stać.

wania sobie nowych obszarów na wschodzie, wreszcie przez pryzmat „sprawiedliwej” ekspansji książąt polskich ku morzu. W zależności od tego, jaką opcję przyjmie się za najważniejszą, inaczej oceniać się będzie fakty historyczne, na inne zjawiska kłaść nacisk, co innego podkreślać. Od wizji historiozoficznej bardzo blisko do ideologii i polityki. Ileż to rozpraw historycznych polskich i niemieckich, ale także pomorskich, jest pod wpływem takiego właśnie mechanizmu? Najlepszym przykładem „opcji pomorskiej” w historiografii jest „Historia Kaszubów” A. Majkowskiego. Ileż tu opisów walk dumnych Kaszubów-Pomorzan z Polakami, Niemcami i Duńczykami. I cóż z tego, że niewiele ma to wspólnego z rzeczywistą historią. Liczy się wizja i jej moc oddziaływania.

W „opcji wielkopolskiej” z kolei podkreśla się znaczenie pokojowej chrystianizacji Pomorza, najpierw przez Wojciecha, potem przez Ottona z Bambergu oraz związki kościelne Wielkopolski i Gniezna z Pomorzem. Ale „zapomina” się, że za każdą misją chrystianizacyjną stała potęga militarna i poli-

tyczna mocodawców misjonarzy. Szczególnie było to widoczne w przypadku chrystianizacji Pomorza Zachodniego. Zanim bowiem dwie misje przeprowadził Otton, biskup Bambergu, Pomorze najechał książę Bolesław Krzywousty. W „Żywotach” Ottona zapisano o zimowym (1121/1122 r.) najeździe Krzywoustego na zachodnich Pomorzan: „Lecz ponieważ Bogu spodobało się niektórych spośród nich zetrzeć, aby pozostających do wiary nawrócić, udzielił przeciwko nim Bolesławowi zdolności i sił, tak że wiele ciężkich zadał im raz po raz klęsk. Bo i stolicę całego Pomorza, miasto Szczecin, które opasane zewnątrz bagnami i wodami uchodziło za niedostępne wszelkiemu wrogowi, zimową porą, kiedy woda była ścięta mrozem, nie bez niebezpieczeństwa po lodzie prowadząc wojsko, niespodziewaną klęską poraził. Także warowne i silne miasto Nakiel skruszył i podpalił, całą okolicę ogniem i żelazem spustoszył tak, że pokazywali nam mieszkańcy w różnych miejscach ruiny, zgłiszczą i stopy trupów jeszcze trzy lata potem, jakby po świeżej klęsce”. Czy można więc się dziwić, że Pomorzanie na są-

siadów z południa nie zawsze patrzyli z sympatią? Gdy po II wojnie światowej na fali patriotycznych uniesień zaproponowano, aby w Szczecinie postawić pomnik Bolesławowi Krzywoustemu, który „zjednoczył Pomorze z Polską”, ktoś przytomnie zauważył, że pomysł to, zważywszy na „sukces militarny Krzywoustego”, nie najlepszy. Być może to właśnie wyniszczające wojny spowodowały, że pozycja księstwa pomorskiego została tak podkopana, iż w obliczu ekspansji niemieckiej brakło już sił na opór, i ostatecznie Szczecin znalazł się w orbicie wpływów cesarstwa?

Ale dla XIX- i XX-wiecznych polskich Pomorzan ważniejszy stał się inny epizod w dziejach średniowiecznych kontaktów pomorsko-wielkopolskich, a mianowicie układ w Kępnie i „Zapis Mestwina” z 1282 roku. Należy żałować, że nadal ten fakt nie jest obecny w powszechnej świadomości historycznej Polaków, ani nawet mieszkańców Pomorza i Wielkopolski. A przecież symboliczne znaczenie tego układu jest ogromne, o czym świadczą liczne nawiązania w literaturze pomorskiej oraz w ideologii ruchu kaszubsko-pomorskiego. Być może nietrwałość układu spowodowała, że nie wpisał się na trwałe do naszej pamięci? Szkoda jednak, że szkolne podręczniki historii, mówiąc o odnowieniu Królestwa Polskiego, lekceważą fakt dobrowolnego zjednoczenia Wielkopolski i Pomorza oraz, że pozwoliło ono restaurować tytuł królewski.

O znaczeniu układu w Kępnie dla kaszubsko-pomorskiej elity napisano wiele i przed obchodami rocznicowymi w 1932 roku, i w czasie przygotowań do obchodów w 1982 roku (zakłóconych przez wprowadzenie stanu wojennego). Wystarczy przypomnieć, że w „Historii Kaszubów” A. Majkowski pisał, że „moralne jego znaczenie trwa do dni naszych”. A Jan Karnowski poświęcił się całkowicie idei realizacji „testamentu Mestwina”, czyli duchowej łączności Pomorza z Polską, ale jednocześnie domagał się, aby w tych relacjach zachowana była zasada partnerstwa.

Rozbiorowa współpraca

Losy Pomorza Nadwiślańskiego i Wielkopolski spłótły się najsilniej w okre-

sie zaborów. Były oczywiście dość daleko idące różnice między tymi prowincjami, już choćby z tej racji, że Wielkopolska znalazła się w ramach państwa pruskiego dopiero po drugim rozbiore Polski, a więc w dwadzieścia lat później (to było życie jednego pokolenia!). Dane jej więc było zaznać reform Komisji Edukacji Narodowej oraz dzieła Konstytucji 3 Maja, które aktywnie współtworzyła. Co więcej – Wielkopolska częściowo była włączona w obręb Księstwa Warszawskiego, a po kongresie wiedeńskim w 1815 roku otrzymała skromny zakres autonomii w ramach państwa pruskiego. To wszystko, łącznie ze znacznie silniejszą pozycją ziemianstwa wielkopolskiego, powodowało, że duch polski był tu dużo mocniejszy. Stąd źródło inspiracji niepodległościowych, pracy organicznej i rywalizacji ekonomicznej z Niemcami na Pomorze przyszło właśnie z Wielkopolski.

J. Karnowski sformułował i szeroko rozwinął tezę o podwójnym nurcie odrodzenia narodowego w Prusach Zachodnich. Pierwszy nazwał „chełmińskim”. Drugim był nurt kaszubski, który uzupełniając „akcję polską”, był jednocześnie integralną częścią składową polskiego odrodzenia narodowego na Pomorzu. W tym wyrażało się przekonanie Karnowskiego, że na odrodzenie należy patrzeć także ze specyficznej perspektywy kaszubskiej, a nie wyłącznie z perspektywy polskiej, czy też raczej wielkopolskiej. W „Strażnicy Zachodniej” pisał wyraźnie: „Mniej więcej równoległe z kierunkiem chełmińskim powstał i wąskim popłynął korytem inny, nie mniej charakterystyczny kierunek kulturalny, a mianowicie kierunek kaszubski”. Tak więc drugi nurt, u początków którego stał Ceynowa, był „wytworem sił pomorskich i stanowił o odrębności tego regionu wśród innych dzielnic zaboru pruskiego”.

Nurt chełmiński narodził się po upadku prób powstańczych w 1846 i 1848 roku. Podjęto wówczas w Prusach Zachodnich, a szczególnie na ziemi chełmińskiej hasło ratowania „narodowości polskiej” poprzez pracę organiczną. Rolę pionierską odegrał tu Karol Marcinkowski, na pracy którego wzorowali się pierwsi pomorscy organiczni. Z Księstwa, czyli z Wielkopolski, jak pisał Karnowski, „przychodziły idee,

hasła, metoda działania a wreszcie i ludzie”. Istotą tego ruchu w pierwszym okresie było organizowanie struktur Ligi Polskiej oraz tworzenie „kółek rolniczych, kasyn obywatelskich i kółek filomackich” i zakładanie pierwszych gazet, z których „Szkółka Narodowa” „myśl polityczną na wysokim poziomie postawiła”.

W drugim etapie, który nastąpił po roku 1863, nadszedł czas budowania instytucji życia gospodarczego i przede wszystkim „podboju” Kaszub, które do tej pory pozostawały na uboczu zainteresowania i pracy zachodniopruskich organiczników.

Sukces tego „podboju”, inspirowanego w znacznym stopniu przez kręgi opiniotwórcze Wielkopolski, spowodowany był także prowadzoną przez państwo pruskie polityką, godzącą w społeczny etos ludności kaszubskiej i jej system wartości, w którym wiara i ziemia odgrywały rolę podstawową. A właśnie w te najwyższe wartości godził Kulturkampf i późniejsza walka o ziemię. Spowodowało to osłabienie silnego dotąd patriotyzmu państwowego wśród Kaszubów i przywiązania do władzy, uznawanej wcześniej za sprawiedliwą. Dopiero w tej sytuacji „praca polska” na Kaszubach mogła przynieść oczekiwane owoce. Mimo słabości lokalnych elit, nielicznego polskiego ziemianstwa i rodzącej się inteligencji, w tym przede wszystkim księży oraz przybyczy z Wielkopolski, udało się poprowadzić pracę organiczną dwoma torami – na polu ekonomicznym i oświatowo-kulturalnym oraz włączyć Kaszuby w obręb polskiego ruchu wyborczego. Wszystko to doprowadziło do powstania, jak pisali Niemcy, „polskiej republiki włościańskiej” w Prusach Zachodnich i objęcie nią także Kaszub, szczególnie zaś ich obszarów południowych.

Karnowski, podobnie jak Majkowski, doceniał sukcesy wielkopolskiego programu pracy organicznej, szczególnie zaś ruchu samokształceniowego młodzieży. Z perspektywy lat program pracy organicznej uznawał w istocie za niepodległościowy, realizowany w sytuacji, gdy idea niepodległości „nie mogła się okazać na zewnątrz w czystej formie”. Nie oznacza to jednak, że przyjmował go całkowicie bezkrytycznie. Drażniło go przede wszystkim kon-

centrowanie się działalności narodowej wyłącznie na sprawach ekonomicznych („brzucha”), co prowadziło do odchodzenia od szczytnych ideałów narodowych. W jednym z wierszy pisał z sarkazmem:

„Ten je polók w sztrydze,
Chto mô dëćcie jako zëdzë!”
Poswięcenié, jidealë:
Przykôzania przestarzałë!
„Bogacma sę!” – nowó wiara!
Dëtk je narodowó miara!

Tym jednak, co Karnowskiego i Majkowskiego przez długie lata w programie pracy organicznej i postawie jej liderów uderzało najbardziej, to był zupełny brak szacunku dla kaszubskiej kultury, przeszłości i specyfiki społecznej Pomorza. Wraz z nadejściem na Kaszuby „po wojnie francuskiej” (1870-1871) nowoczesnej kultury polskiej, której przedstawicielami byli początkowo przede wszystkim pracownicy umysłowi, sprowadzani głównie z Księstwa, nastąpił czas zamierania rodzimej kultury ludowej. Inteligencja dla niej „wrozumienia nie miała” i dla jej zachowania „nic nie uczyniła”. Była to jedna z przyczyn rodzącego się wśród Kaszubów wstydu i wypierania się własnej mowy i zwyczaju.

Zdaniem znacznej części elit kaszubskich i pomorskich, Wielkopolanie mieli wówczas skłonność do przyjmowania i prezentowania wobec nich, nie mówiąc już o gburach pomorskich, postaw wyższości. Z czasem, w miarę rozwoju środowiska inteligencji rodzimej, pojawił się naturalny element konkurencji między nią a działaczami z Wielkopolski. Co więcej, działacze ci, wychowani w tradycji solidaryzmu narodowego i nie znający specyfiki Kaszub, odnosili się z niechęcią do przejawów odrodzenia kaszubskiego. Trzeba było wielkiej pracy Bernarda Chrzastowskiego, aby te postawy zmienić.

Wszystko to wpływało na pojawiającą się niechęć Pomorzan do przybyśców z Wielkopolski. W jakimś stopniu wynikała ona też z kompleksu niższości oraz rosnącej konkurencji o pozycję w świecie polityki i gospodarki. Karnowski w „Mojej drodze kaszubskiej” pisze, jak to podczas podróży gimnazjalistów z zaboru pruskiego do Krakowa o mało nie doszło do bójki między „Zachodnioprusakami” i Ślązakami a „butnymi” Wielkopolanami.

Pogłosy tych napięć dały o sobie znać także w czasie wybijania się Polski na niepodległość. Podczas Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu nie dopuszczono do głosu Majkowskiego, a interesy Kaszub i Pomorza odsunięto na dalszy plan. W części środowiska pomorskiego, skupionego wówczas w Poznaniu, istniało głębokie przekonanie, że „Zachodnioprusacy” powinni sami kreować własną politykę, niezależną „od Księstwa” i nastawioną na ścisłą współpracę z Warszawą.

Trzeba jednak przyznać, że w okresie zaborów i I wojny światowej współpraca między pomorskimi i wielkopolskimi elitami politycznymi, ekonomicznymi i intelektualnymi, mimo istniejących napięć, rozwijała się pomyślnie. Wielkopolanie wspierali polski ruch narodowy w Prusach Zachodnich, a niektórzy z nich z życzliwością odnosili się do ruchu kaszubskiego (krag B. Chrzanowski). Ścisłe były także kontakty między rodzinami ziemiańskimi z Pomorza i Wielkopolski, a takie nazwiska, jak Janta-Polczyńscy, Komierowski, Czarlińscy czy Wybicki równie wiele znaczą dla obydwu regionów. Z kolei znaczna grupa Kaszubów i Pomorzan uczestniczyła w powstaniu wielkopolskim, uznając, że walcząc o wolną Wielkopolskę, przyczyniają się także do oswobodzenia Pomorza.

Co było, co jest

Także w okresie międzywojennym Poznań podtrzymywał tradycję stolicy politycznej i kulturalnej „Polski zachodniej”, choćby z tej racji, że przez dwa lata funkcjonowało tu samodzielne Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej. Tu zbiegały się także nitki wydarzeń politycznych w czasie kolejnych kampanii wyborczych, w czasie zamachu majowego i w okresie walki endecji z sanacją. Przy tym Pomorze dość często traktowane było instrumentalnie, jak choćby po zamachu majowym, gdy z Poznania, z kręgu Romana Dmowskiego, wyszedł nakaz likwidacji Związku Pomorskiego, będącego w istocie organizacją endecką powstałą do walki politycznej z sanacją.

Poznań był także w tym czasie głównym ośrodkiem skupiającym młodzież pomorską, zdobywającą wykształcenie akademickie. Działy tu prężne



Fot. z „Wielkiej księgi miasta Poznania”

Ulica Wodna i Pałac Górków. Rys. Juliusa von Minutoli, 1833 r.

korporacje i inne organizacje studenckie Pomorzan.

Nie doceniamy również roli poznańskiego środowiska naukowego, szczególnie zaś historyków, w badaniach Pomorza i upowszechnianiu wiedzy o tym regionie. Bez pracy takich osób, jak Kazimierz Tymieniecki, Józef Kostorzewski, Zygmunt Wojciechowski, Teodor Tyc, Leon Koczy, Mikołaj Rudnicki i wielu innych, nasza wiedza o Pomorzu byłaby dużo skromniejsza. Wielką rolę odegrały także organizacje i pisma poznańskie, jak Instytut Zachodniosłowiański, Związek Obrony Kresów Zachodnich (od 1934 Polski Związek Zachodni), Towarzystwo Miłośników Historii Ziem Zachodnich, „Strażnica Zachodnia”, „Slavia Occidentalis” czy „Roczniki Historyczne”. To wreszcie poznański dziennikarz Józef Kisielewski stworzył najbardziej porywający, choć przecież dyskusyjny, reportaż o Pomorzu, czyli książkę „Ziemia gromadzi prochy”.

W okresie okupacji, choć oba regiony żyły zamknięte w kleszczach uścisku hitlerowców, inna była w nich sytuacja ludności polskiej, inaczej funkcjonowała niemiecka lista narodowościowa.

Po wojnie Wielkopolanie raz jeszcze ruszyli na Pomorze, tym razem szczególnie na jego część zachodnią, przywrócić Polsce. Było to zgodne z postulatami poznańskiej zachodniej szkoły historycznej. Choć nie wszystko przebiegało tak, jak sobie wymarzone, to jednak otworzyły się przed Wielkopolanami szanse zagospodarowania tere-

nów po drugiej stronie Noteci. Ten epizod naszych wspólnych, pomorsko-wielkopolskich dziejów opisany został dość skrupulatnie w pamiętnikach i opracowaniach naukowych. Trudno sobie wyobrazić współczesne Pomorze bez pracy Wielkopolan, którzy przyczynili się do rozwoju środowiska naukowego. Przez długie lata ośrodek poznański udzielał merytorycznej i organizacyjnej pomocy ośrodkom naukowym w Szczecinie, Koszalinie i Słupsku. Z czasem wykształciły się tam samodzielne ośrodki naukowe.

Nie wygasło tam także zainteresowanie naukowe Pomorzem. Przecież właśnie w Poznaniu powstała koncepcja monumentalnej „Historii Pomorza”, wiele prac historycznych i językoznawczych. Z tym miastem związał się na stałe jeden z najwybitniejszych historyków polskich, Kaszuba – prof. Gerard Labuda. Gdyby jednak porównać stopień zainteresowania Pomorzem w okresie przed- i powojennym, wydaje się, że lepiej wypadłby ten pierwszy (wystarczy porównać zawartość „Przeglądu Zachodniego” i przedwojennej „Strażnicy Zachodniej”).

Ostatnie lata przynoszą jednak nowe elementy. Zacieśnia się współpraca między środowiskami regionalnymi. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie wspólnie z Wielkopolskim Towarzystwem Kultury i Unią Wielkopolan stworzyło Ligę Regionów, razem podejmując działania na rzecz regionalizacji kraju. Daleko nam jednak do współpracy, którą mogą się wykazać nasi poprzednicy. ■

POMORSKO- -WIELKOPOLSKIE DZIEDZICTWO

Józef Borzyszkowski

Patrząc na wielowiekowe związki Pomorza z Wielkopolską można zauważyć, że najgłębsze powiązania między tymi regionami zawiązały się w okresie zaboru pruskiego. W tych relacjach pomorsko-wielkopolskich szczególną rolę odegrali przedstawiciele dwóch warstw: schodzącego z dziejowej sceny ziemiaństwa i wchodzącej na nią inteligencji. O ich roli w życiu publicznym, szczególnie inteligencji, pisali już przed wieloma laty na łamach Roczników Korporacji Studentów Uniwersytetu Poznańskiego „Pomerania” Pomorzanie ks. Alfons Mańkowski („Pomorzanie w poznańskim ruchu kulturalnym XIX w.”) i Wielkopolanin Andrzej Wojtkowski w „Pomorzanie w Wielkopolsce” – specjalnym dodatku do „Rocznika...” (R. III, Poznań 1928).

Warto pamiętać, że inicjatorami powstania – założycielami Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w 1857 roku byli Pomorzanie: ks. Franciszek Ksawery Malinowski, syn burmistrza z Golubia i dr Kazimierz Szulc, chłopskiego rodowodu z Samina pod Brodnicą. Z czasem do Poznania przybywało coraz więcej przedstawicieli pomorskiej inteligencji, dla których, jako Polaków, życie w Wielkopolsce było o wiele łatwiejsze niż w Prusach Zachodnich. Był wśród nich dziennikarz dr Władysław Łebiński, rodem ze Stążek koło Świecia, autor ciekawych publikacji, działacz społeczny i redaktor m.in. „Dziennika Poznańskiego”. Pomorzanie wielkopolscy, m.in. Paweł Spandowski, Mieczysław Łyskowski, Jan Tomaszewski, odgrywali też ważną rolę w centrali Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych. Podobnie ważne funkcje w centrali i całym związku pełnili Pomorzanie, którzy, pozostając w swoim środowisku, tworzyli ponadregionalne pokolenie ks. patrona Piotra Wawrzyniaka. Dzięki nim możemy mówić o wielkopolsko-pomorskim systemie spółdzielczości kredytowej – „polskim państwie w państwie pruskim”, jak to określił już przed I wojną światową niemiecki badacz Ludwig Bernhard. Część z tych działaczy osiedlała z czasem w Poznaniu. Było jednak też odwrotnie; wielu Wielkopolan znajdowało zatrudnienie oraz warunki społecznego awansu właśnie tu, na

Kaszubach i Pomorzu, gdzie silnym ośrodkiem wielkopolskich wpływów były m.in. Brusy, co wiązało się z działalnością społeczną na Pomorzu i w Wielkopolsce Stanisława Sikorskiego z Wielkich Chełmów. Właśnie w Brusach Wielkopolań Władysław Hołoga był dyrektorem spółki „Ceres”, a w latach 1918-1920 także dowódcą Organizacji Wojskowej Pomorza na powiat chojnicki.

Wielkopolski i kaszubsko-pomorski świat w szczególny sposób łączyły dwa rody szlachecko-ziemiańskie: Komierowskich i Połczyńskich. Pierwsi mieli majątki na Pomorzu – na Krajnie, ale większą rolę odgrywali w Wielkopolsce. Drudzy, Wielkopolanie o kaszubskim rodowodzie, wysiłki skupili na rozwoju swojej pierwotnej ojczyzny i jej ducha obywatelsko-narodowego.

Z Komierowskich najważniejszą postacią jest Roman (1846-1924), którego znamy z licznych jego i innych o nim publikacji. Z Połczyńskich w historii kaszubsko-pomorskiej ziemi zapisało się najdobitniej, obok Leona, dwóch Romanów – ojciec i syn. Pierwszy, Roman Teodor Stanisław, urodzony w 1849 r., dziedzic m.in. Żabiczyna w pow. wągrowieckim, był jako poseł z powiatów kaszubskich ściśle związany z młodokaszubami i Sopotem, gdzie miał domek. Zmarł w Sopocie w 1916 roku. Drugi, Roman Mieczysław (1891-1984), powstaniec wielkopolski, kontynuując działalność ojca i tradycje rodowe matki Anny Wałdowskiej z Michorowa pod Sztumem, w okresie międzywojennym pracował w dyplomacji, m.in. w Berlinie i Wolnym Mieście Gdańsku. Po wojnie, którą przeżył w Galicji, straciwszy majątki w Wielkopolsce i na Powiślu (szczęśliwie zachował dom sopocki), zajął się, jako wybitny specjalista, hodowlą pomorskiej odmiany ziemniaka. Już jako emeryt związał się z ruchem kaszubsko-pomorskim, dokumentował dzieje rodu oraz Kaszubów i Polaków, napisał bardzo obszerne wspomnienia „Długie życie wśród światowej zawieruchy. Wspomnienia ziemianina”, wspomagał rozwój Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. W latach 60. i 70. był prezesem najbardziej ziemiańskiej



Roman (stoi) i Władysław Komierowski, XIX w.

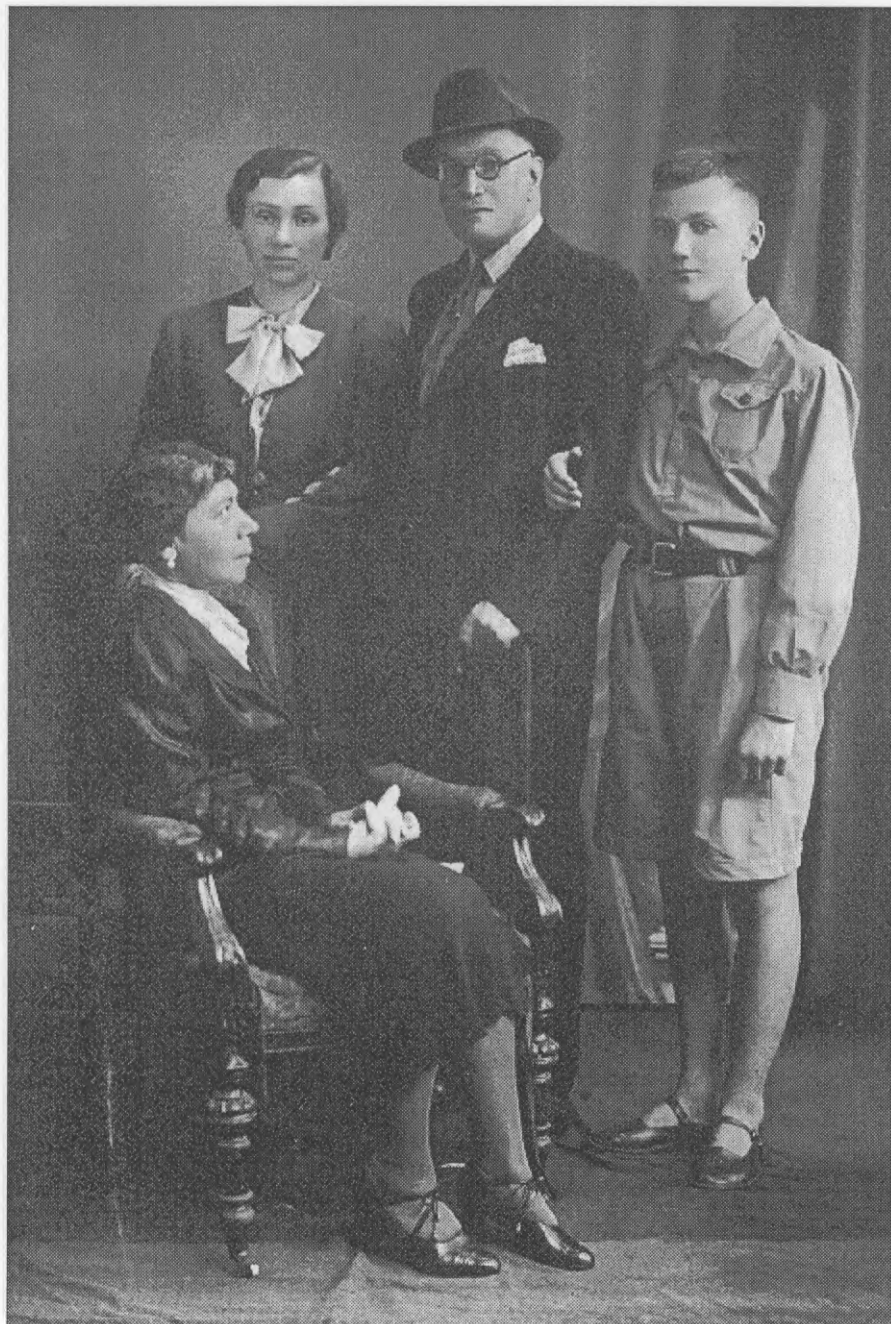
instytucji „Bazar Poznański”, o czym pisze we wspomnieniach, których fragment drukujemy. O nim i innych Janta Połczyńskich, szczególnie o Leonie (1867-1961) z Wielkiej Komorzy k. Tucholi, wybitnym działaczem na Pomorzu w okresie zaboru, ministrze rolnictwa, polityku w 20-leciu międzywojennym, a po wojnie twórcy Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu, a także o pisarzu – Aleksandrze, „Pomerania” wielokrotnie pisała.

Niemniej interesującą i zasłużoną postacią była jego żona Maria z Komierowskich, córka Romana, którego

fragment wspomnień również drukujemy.

Życiorysy przywołanych postaci łatwo można poznać dzięki „Słownikowi biograficznemu Pomorza Nadwiślańskiego”, którego idea powstała przed ćwierćwieczem, m.in. za przyczyną „Wielkopolskiego słownika biograficznego”, gdzie można znaleźć także życiorysy niektórych wielkopolskich Kaszubów, Pomorzan, choćby Kazimierza Jasnocha, poznańskiego malarza rodem z Czerska.

Z perspektywy wielkopolskiej Pomorze nie było tak bardzo zróżnico-



Leontyna z Polczyńskich Tyszkiewiczowa (stoi) z rodzicami Marią i Leonem Jantą Polczyńskimi oraz synem Leonem, 1941 r. Fotografie z archiwum rodziny i autora

wane etnicznie i kulturowo, jak z naszej. Pełniej utożsamiano ziemie pomorskie z jej prastarymi mieszkańcami – Kaszubami. Kaszubi i Pomorzanie to niewątpliwie swoiste synonimy, choć przy głębszym wchodzeniu Wielkopolan w sprawy Pomorza, równie ważne i interesujące jak problemy kaszubskie, były dla nich specyficzne dzieje i kultura Kociewiaków, Borowiaków, a zwłaszcza Krajniaków i Chełminiaków, zawsze bliżej związanych z Wielkopolską, podobnie jak kiedyś Toruń z Poznaniem, a nie z Gdańskiem. Do głębszych więzi To-

runia z Gdańskiem i umocnienia pomorskiej tożsamości przyczynił się m.in. ruch młodokaszubski i liczne organizacje oraz środowiska aktywne w Toruniu – stolicy Pomorza w 20-leciu międzywojennym.

Dzięki środowisku toruńskiemu, wspomagającemu w 20-leciu międzywojennym poznańskich akademików pomorskich, pogłębiły się więzi wielkopolsko-pomorskie w młodym pokoleniu, trwałe także po 1945 roku. W przywołanych „Rocznikach Korporacji” znajdujemy tekst ks. Józefa Prądzyńskiego, ówczesnego duszpasterza

akademickiego w Poznaniu, Pomorzanina z urodzenia, wybitnego Wielkopolanina, silnego duchem Polonusa, zamordowanego przez hitlerowców. W „Posłannictwie Pomorza” tak pisze: „Był czas, nie tak dawno jeszcze temu, że w Polsce nie wszyscy rozumieli znaczenie Pomorza. Wartość jego za to znał doskonale w przeszłości i rozumie dzisiaj jeszcze lepiej zachodni nasz sąsiad, wytyczający obecnie wszystkie siły, aby pod pozorem niewygodnego rzekomo »korytarza« oderwać poprostu od nas tę piękną prowincję. (...)”

Ma Polska wielkie i święte obowiązki wobec swego Pomorza, ma ono również swoje ważne posłannictwo wobec Polski. Na czoło wysuwa się straż nad brzegami Wisły i Bałtykiem. Dla wielu w kraju jest brzeg morski tylko plażą, pełną miłych rozrywek i wrażeń. W rzeczywistości ważność jego polega na tem, że od rozbudowania wybrzeża i właściwego wyzyskania zależy nasza łączność ekonomiczna ze światem i nasza sprawność wojenna.

To też ma Pomorze obowiązek gęsto obsiadać ten nadmorski pas i dbać o gospodarcze jego podniesienie.”

Mimo że tekst powstał przed 70 laty, jego przesłanie w części nadal jest aktualne. Nie ma wprawdzie już dziś zagrożenia militarnego, ale nadal ważna jest stabilizacja i pomyślność ekonomiczna regionu, kraju, jego mieszkańców. „Posłannictwem Pomorzan jest dążenie do rozkwitu gospodarczego” – stwierdza Prądzyński. Pamiętał też o Warmii i Mazurach oraz o Litwie i roli Pomorzan i Polski wobec tego sąsiada. Na koniec stwierdził: „Jeszcze jedno! Pomorze nazywa się pobożnem. I słusznie! Jest to wielką zasługą duchowieństwa pomorskiego, że ratując lud przed wynarodowieniem dbało równocześnie i pierwszorzędnie o poziom jego religijny i moralny.

Polska kocha Pomorze coraz więcej, niechże ono jej odpłaca apostolstwem tężyzny duchowej, uświadomienia religijnego i zrozumienia tej prawdy, że należy w Polsce vypleniać chwasty uprzedzeń religijnych, a wzmacniać wszystko, co ułatwia pracę nad rozszerzeniem Królestwa Bożego”.

W „Rocznikach” znajdujemy też tekst „Sprawa Pomorza w świetle chrześcijańskiej etyki społecznej”, którego autorem jest ks. prof. dr Kazimierz Kowalski z Gniezna, po 1945 roku biskup chełmiński w Pelplinie, a także tekst bliskiego nam Bernarda Chrzanowskiego, patrona naszego wyróżnienia – Medalu „Poruszył wiatr od morza”. Tekstem: „Przez piękno przyrody do miłości ojczyzny” zachęca do krajoznawczych wędrówek nie tylko po Polsce i Pomorzu, nie tylko akademików, studentów, ale też polityków.

Jednym z najwybitniejszych mężów stanu Polski z przełomu XIX i XX wieku był Roman Komierowski. Żegnając go podczas mszy żałobnej w Poznaniu ks. Józef Kłos, wybitny kaznodzieja, redaktor „Przewodnika Katolickiego”, powiedział: „Urodzony na Pomorzu zachował on i w religijnym życiu pewne rysy dzieciom pomorskiej ziemi właściwe: wychowany po katolicku, spełniał on z twardym poczuciem konsekwencji obowiązki, które wiara nakłada i stał się nie tylko słuchaczem zakonu, ale czynicielem (Jakub 1.23), pełnym ufnej wiary w Chrystusa zbawcą moc dla dusz i narodów. (...) Mąż, który przez całe życie pełnił taką jak on służbę dla narodu, należy do całego społeczeństwa”. Jest w tym obrazie Pomorzanina – wielkopolskiego działacza – podkreślenie zgodności słów i czynów, wyznawanych ideałów i codziennych działań, jakoby większej u Pomorzan konsekwencji w wykonywaniu obowiązków.

Czy tak było rzeczywiście i może jest nadal – to pytanie kierujemy pod adresem zarówno Wielkopolan, jak i Pomorzan. Sądzę, że wzajemne relacje, podobieństwa i różnice, oceny, obrazy, mity i stereotypy a rzeczywistość, to temat godny osobnej refleksji i badań. W tej refleksji i naszej pamięci o wspólnym dziedzictwie nie zabraknie zapewne, wśród bardzo wielu, dwóch Pomorzan – poznańskich historyków – nieżyjącego Kazimierza Ślaskiego, ziemianina z ziemi chełmińskiej i mistrza profesora Gerarda Labudy – Kaszuby, znającego zarówno z badań, jak i z autopsji najlepiej te dwa interesujące nas światy – pomorski i wielkopolski. ■

Krótką historia „Bazaru”

Roman Janta Polczyński

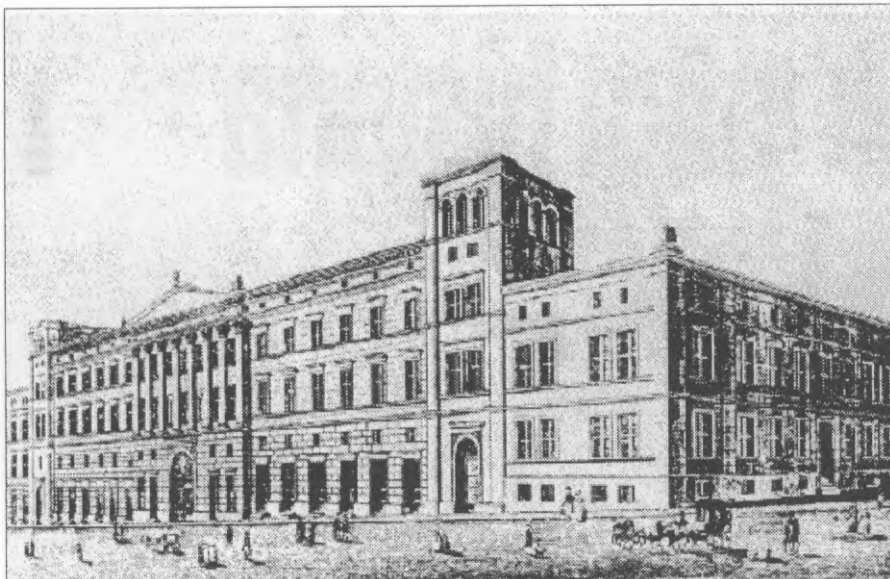
26 czerwca 1838 r., z okazji dorocznego zjazdu ziemian na jarmarku świętojańskim, w mieszkaniu dr. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu zapadła decyzja założenia spółki akcyjnej w celu zbudowania gmachu na hotel dla polskiej klienteli i sklepów dla polskich kupców. Nie bez trudu zebrano kapitał w wysokości blisko 90 000 talarów pruskich. W ogromnej większości udziałowcami byli ziemianie, z Maciejem Mielżyńskim, bez którego zaangażowania projekt nie doczekałby się realizacji. Gmach hotelu, któremu nadano nazwę „Bazar”, usytuowany był w centrum miasta, przy ulicy Nowej. Jego budowa została ukończona w 1841 r.

Głównym celem przedsiębiorstwa było, według paragrafu 1 statutu spółki, „podniesienie przemysłu, rękodzieł, rolnictwa i handlu”, oczywiście polskiego. W osobnej deklaracji 85 członków spółki rzekło się w 1843 r. dywidend od swych akcji „ku rozszerzeniu i wzmocnieniu przemysłu, handlu i rolnictwa narodowego”. To też „Bazar” w pierwszych latach swego istnienia stał się prawdziwą wylegarnią polskiego handlu i rzemiosła, które znalazły w nim ostoję i warunki rozwoju. W miarę wzrostu znaczenia i zasobności mieszczaństwa polskiego w Poznaniu, rola „Bazaru” zaczęła się zmieniać.

Już w 1843 r. otwarto w hotelu „Bazar” Kasyno Poznańskie, które miało pełnić rolę ośrodka kontaktów pomię-

dzy postępowym ziemiaństwem wielkopolskim a polskim oraz ziemiaństwa z mieszczaństwem Poznania. Pod pozorami instytucji o charakterze kulturalno-rozrywkowym, stworzono ośrodek stałej współpracy, mający służyć rozwiązywaniu aktualnych zagadnień i działań o charakterze narodowo-politycznym. Tam przygotowywano wybory do rady miejskiej Poznania i do sejmiku prowincjonalnego. Tam miały swą siedzibę zarządy Towarzystwa Naukowej Pomocy i Opieki Teatralnej, której celem było stworzenie w Poznaniu stałego polskiego teatru. Najważniejsze może były jednak kontakty grona demokratów szlacheckich i liberałów z nie mniej zróżnicowanym ideologicznie aktywnym inteligencji polskiej miasta.

W 1848 r. w hotelu „Bazar” odbywały się zgromadzenia i narady Komitetu Narodowego, co ściągnęło zemstę soldateski pruskiej, która doszczętnie hotel splądrowała. Tu przyjmowano uroczystości w 1868 r. delegację Sokołów Polskich ze Lwowa. Tu miało siedzibę powstałe w 1857 r. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i tu ukonstytuowała się w maju 1871 r. spółka akcyjna budowy teatru polskiego w Poznaniu. Spółka bazarowa stale subwencjonowała Towarzystwo Naukowej Pomocy – najważniejsze dzieło Karola Marcinkowskiego, wylegarnię tysięcy fachowo przygotowanych specjalistów i działaczy gospodarczych



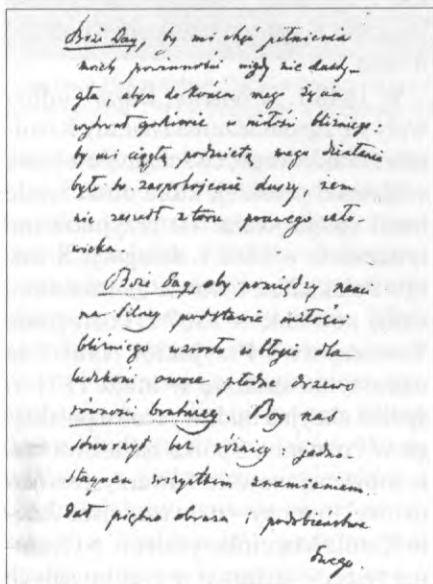
„Bazar”, ok. 1840 r.



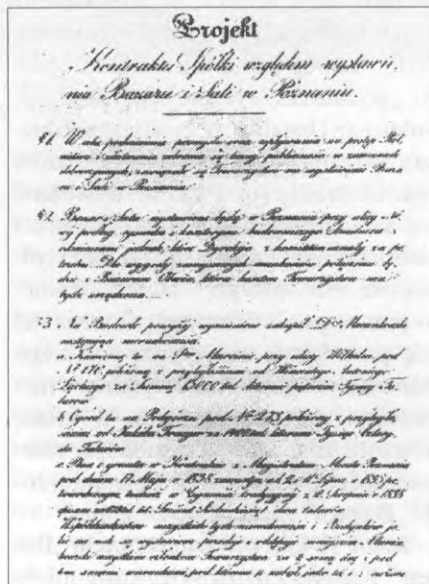
Karol Marcinkowski



Maciej Mielżyński w mundurze z czasów powstania listopadowego



List Karola Marcinkowskiego



Projekt umowy w sprawie budowy „Bazaru”, 1842 r.

i społecznych – szkołę rolniczą w Żabikowie, Towarzystwo Czytelni Ludowych i kółka rolnicze pod patronatem Maksymiliana Jackowskiego. W 1872 r. w „Bazarze” odbyło się zebranie organizacyjne Towarzystwa Oświaty Ludowej oraz wiece przedwyborcze, a także doraźne zebrania polityczne. Organizowano doroczne zebrania kółek rolniczych, różne zjazdy jubileuszowe, m.in. zjazd weteranów powstania.

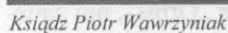
Pomimo różnych trudności natury finansowo-administracyjnej, „Bazar” bez przerwy spełniał swe zadania jako ośrodek polskiej myśli politycznej i gospodarczej Wielkopolski oraz centrum życia towarzyskiego miasta.

W czasie I wojny światowej spółka przeżywała poważny kryzys finansowy, nie przestawała jednak świadczyć na cele humanitarne i społeczne. W 1918 r. trzeba było powiększyć kapitał zakładowy, emitując 41 akcji imiennych po 10 000 marek każda.

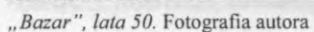
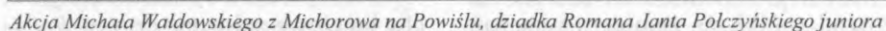
W listopadzie 1918 r. w hotelu rozpoczęła swe urzędowanie Naczelna Rada Ludowa. 20 grudnia 1918 r. gościł tu Ignacy Paderewski, a jego przybycie do Poznania było impulsem do wybuchu powstania wielkopolskiego. W „Bazarze” początkowo była główna kwatery dowództwa i kierownictwa politycznego powstania oraz misji wojskowych aliantów.

Po ustąpieniu w 1923 r. Władysława Kontrowicza ze stanowiska dyrektora „Bazaru”, objął je Edward Kujański, który do dzisiaj jest członkiem zarządu spółki. Przebudowano pomieszczenia hotelowe i restaurację, odrestaurowano sale Białą i Amarantową, w których odbywały się ważne narady, obchody, wystawy obrazów, a wyjątkowo zabawy karnawałowe. Stworzono nowy fundusz im. Karola Marcinkowskiego i hr. Mielżyńskich, w wysokości 100 000 zł, w celu utrwalenia myśli przewodniej założycieli „Bazaru” i kontynuowania tradycji spółki. Odsetki przeznaczono na cele społeczne, a szczególnie na pomoc stypendialną. Przy restauracji zorganizowano bezpłatną stołówkę dla 12 niezamożnych studentów. Nawet niechętni ziemiaństwu publicyści przyznają, że rola „Bazaru” w dziejach Poznania i Wielkopolski zasługuje na bardzo wysoką ocenę. Bo nie gdzie indziej, jak właśnie w ziemiańskim „Bazarze” od-

Pierwszą część odbudowy Spółka Akcyjna Bazar Poznański przeprowa-



Lista imienna członków spółki
Fotografie z „Wielkiej księgi miasta Poznania”



dziła we własnym zakresie. Odgruzowano nieruchomości, zabezpieczono mury, wykonano dach, łącznie z konstrukcją dachową i odbudowano sklepy na parterze budynku. Ponieważ spółka nie posiadała żadnych kapitałów, a akcjonariusze – przeważnie ziemianie – byli doszczętnie zrujnowani, odbudowa mogła odbywać się powoli i uzależniona była w dużej mierze od kredytów bankowych. Na szybkim uruchomieniu hotelu, ze względu na wznowienie Międzynarodowych Targów Poznańskich, zależało miastu, toteż w 1949 r. Zarząd Miejski przejął gmachy hotelowe do częściowej odbudowy i eksploatacji, a główny konserwator zabytków uznał je za zabytki historyczne. Pierwszy gość targowy zarejestrował się w księdze meldunkowej hotelu w kwietniu 1949 r. W lipcu 1950 r. Polskie Biuro Podróży „Orbis” przejęło hotel, a w 1952 r. również restaurację. Uzupełniono wyposażenie hotelu, wykonano elewację gmachów, poszerzono kawiarnię hotelową i przeprowadzono modernizację urządzeń sanitarnych. Hotelowi nadano nazwę „Orbis-Bazar”. Na podstawie dekretu z 26 października 1945 r., „Orbis” uzyskał w zamian za inwestycje prawo bezpłatnego użytkowania gmachów hotelowych z restauracją i kawiarnią do roku 1987. Uprawnienie to, przysługujące „Orbisowi” z mocy dekretu o rozbiorce i naprawie budynków zniszczonych i uszkodzonych wskutek wojny, zostało zapisane w księdze wieczystej nieruchomości spółki. Już jednak w kwietniu 1969 r. „Orbis” zawiadomił zarząd spółki, że zamierza wszcząć kroki celem wywłaszczenia jej ze wszystkich nieruchomości – dwóch gmachów hotelowych i sąsiadujących z nimi dwóch kamienic. W związku z tym faktem zwołano na 17 czerwca 1969 r. nadzwyczajne zebranie akcjonariuszy, którzy, nie widząc żadnej możliwości obrony, upoważnili zarząd spółki do przeprowadzenia pertraktacji z „Orbisem” i do ewentualnego zbycia nieruchomości za cenę wynikającą z urzędowego oszacowania i norm przewidzianych przez sławną już ustawę z 12 marca 1958 r. o zasadach i trybie wywłaszczania nieruchomości. Po długich i trudnych pertraktacjach zarząd spółki zgodził się na zawarcie umowy z „Orbisem” na „wykup” dwóch gma-

chów hotelowych za cenę 4 500 736 zł, płatnych po 50 000 zł rocznie, mimo że wartość handlowa obiektu wynosiła około 20 milionów zł. Uczynił to pod groźbą przymusowego wywłaszczenia w razie odmowy, co pociągnęłoby za sobą zmniejszenie spłat rocznych do 12 000 zł i rozłożenie spłat wykupu na 375 lat. Obie strony podpisały 17 VIII 1972 r. umowę w formie protokołu notarialnego. Dziwnym zbiegiem okoliczności umowa, podpisana w biurze notarialnym, nie nabrała skuteczności prawnej, gdyż urzędujący notariusz odstąpił w ostatniej chwili od jej podpisania, twierdząc, że istnieją ku temu przeszkody prawne. W ten sposób sprawa zawisła w powietrzu.

W międzyczasie „Orbis”, nie zmieniając uzgodnionej ze spółką bazarową wysokości ceny wykupu, wysunął pod jej adresem pretensje o 2 857 125 zł z tytułu nie odmieszczanych jeszcze kosztów remontów i oświadczył, że potrąci je od uzgodnionej ceny – 4 500 736 zł. Wobec odmowy zarządu spółki spełnienia nieuzasadnionego żądania „Orbis”, wystąpił do Wydziału Spraw Mieszkaniowych i Komunalnych Prezydium Rady Narodowej Miasta Poznania o wszczęcie postępowania wywłaszczeniowego. Prezydium przychyliło się do wniosku, o czym zawiadomiło spółkę pismem z 28 listopada 1972 r. Po dwóch rozprawach, Prezydium Rady Narodowej przesłało spółce orzeczenie z 6 marca 1973 r., które, oczywiście, w całej rozciągłości uwzględniło punkt widzenia „Orbisu” – na rzecz państwa wywłaszczono gmachy hotelowe położone przy ul. Paderewskiego 8 i Marcinkowskiego 10 oraz dwie przylegające parcele, za cenę 4 500 736 złotych. Od kwoty tej potrącono, zgodnie z życzeniem „Orbisu”, 2 857 125 zł z tytułu nie zamortyzowanych kosztów remontu wywłaszczonego obiektu. Pozostała kwota – 1 643 611 zł – miała być płatna w kilku ratach. Pierwsza w wysokości 6000 zł w ciągu 3 miesięcy, pozostałe w rocznych odszkodowaniach, nie przekraczających jednak 12 000 zł. W praktyce spłata tzw. odszkodowania trwałaby zatem 136 lat. Od tego orzeczenia Spółka Akcyjna Bazar Poznański wniosła odwołanie do komisji odwoławczej do spraw wywłaszczenia przy Ministerstwie Gospodarki Terenami i Ochro-

ny Środowiska w Warszawie. W lipcu 1972 r., spółka wystąpiła do Sądu Powiatowego w Poznaniu z powództwem przeciwko „Orbisowi” o ustalenie, że skarbowi państwa nie przysługują żadne wierzytelności pieniężne z tytułu dokonanej naprawy gmachów. Po kilku rozprawach, Sąd Powiatowy dopuścił dowód w postaci orzeczenia biegłego. Nie bacząc jednak na swą poprzednią uchwałę, na rozprawie 25 maja 1973 r. sąd niespodziewanie odrzucił pozew Spółki Akcyjnej Bazar Poznański i zasądził od niej zwrot kosztów zastępstwa. Natomiast komisja odwoławcza do spraw wywłaszczenia w Warszawie wyznaczyła na 16 lipca posiedzenie w sprawie odwołania Spółki Akcyjnej Bazar Poznański od orzeczenia Prezydium Rady Narodowej m. Poznania. Spółkę reprezentował na posiedzeniu adwokat i prezes Rady Nadzorczej.

Po zapoznaniu się ze stanowiskiem stron, komisja odwoławcza wydała 11 sierpnia 1973 r. ostateczny werdykt: utrzymała w mocy decyzję o wywłaszczeniu, natomiast uchyliła orzeczenie Prezydium Rady Narodowej w części odszkodowania, przekazując sprawę do nowego rozpatrzenia przez Prezydium Rady Narodowej, z postanowieniem, że przy ustaleniu wysokości odszkodowania należy zastosować przepis art. 8 ustęp 10 Ustawy wywłaszczeniowej z 12 III 1958 r. W praktyce oznaczało to wywłaszczenie gruntów spółki o powierzchni 3270 m kw. o milionowej wartości za 11 729 zł, a dwóch gmachów hotelowych za „zawrotną” cenę 301 400 złotych, czyli domku jednorodzinnego. Była to oczywiście zamaskowania konfiskata.

W taki to sposób istnienie sędziwej instytucji, która w okresie zaborów i międzywojniu odegrała tak wielką i tak piękną rolę w historii miasta i Wielkopolski, dobiega końca. Ginie widoczny znak skutecznej walki z zalewem pruskim i pomnik ofiarności ziemiaństwa wielkopolskiego na cele narodowe.

Sopot 1982 r.

Od redakcji: W 1991 r. spółka odzyskała zniszczone budynki hotelu „Bazar”. Dziś kontynuuje tradycje wspierania społeczności wielkopolskiej w jej działaniach gospodarczych, a przede wszystkim kulturalnych. Prezesem zarządu Bazaru Poznańskiego SA jest Krzysztof Twardowski, honorowy konsul RFN

Moje pamiętniki życiowe

Roman Komierowski

Urodziłem się 15 sierpnia 1846 r., z ojca Tomasza Bosuty Komierowskiego, herbu Pomian, i z matki Agaty z Sikorskich, herbu Cietrzew, w Leśnie w powiecie chojnickim i tam zostałem ochrzczony. Moimi rodzicami chrzestnymi byli moja babka z matki strony, Anna z Grabowskich Sikorska i mój wuj Stefan Sikorski z Wielkich Chelmów, brat starszy mojej matki.

Moja babka zamieszkiwała w owym czasie w Leśnie, który to majątek, wraz z Wielkimi Chelmami, po śmierci jej bezdzietnych wujów Jezierskich przeszedł na nią i jej dzieci – Stefana, Agatę moją matkę i Pawła. Babka po śmierci swego męża Władysława, była długie lata wdową. W owych katastrofalnych czasach straciła swoje rodzinne Grabowskich majątki, to jest Falmierowo w wyrzyskim powiecie i Lotyń w dzisiejszym chojnickim powiecie. Moja babka Anna Sikorska była bardzo wysokiego wzrostu, małomówna, pełna powagi, którą uznawała sąsiadnia drobna szlachta kaszubska, składająca jej, za mojej pamięci dziecinnej, w dniu uroczystości, po nabożeństwie we dworze w Leśnie, z wielkim uszanowaniem swoje życzenia. Babka, dziękując im, podawała poczęstunek. Była ona też bardzo religijna i używała w czasie postu drucianego pasa z kolcami, na który jako dziecko patrzyłem z pewnym podziwem. Umarła w roku 1853 w Komierowie, dokąd dwa lata

wcześniej przyjechała schorzała, z życzeniem, by umrzeć u swojej córki – mojej matki. Jest pochowana w Komierowie. Na jej pogrzeb przyjechałem jako młodzieńca gimnazjalista z Chojnic.

Moja babka z ojca strony, Tekla z Nieśiołowskich, była innego rodzaju typem. Średniego wzrostu, wesołego usposobienia i wytwornej gościnności. Koleje jej życia były twarde i katastroficzne, bo trzy miesiące przed urodzeniem mego ojca zmarł jej mąż, a mój dziad, Andrzej, w roku 1813, mając lat około 33, i to w czasach, kiedy na przemian między rokiem 1807 i 1813 rekwizycje wojskowe francuskie i rosyjskie wyczerpały wszelkie zasoby gospodarcze i pieniężne. Już w roku 1807 rozpoczęły się dla naszych okolic i dla naszej rodziny ciężkie czasy, bo wówczas poległ pod Nowem brat starszy mego dziada Andrzeja, Jakub, generał wojsk polskich, ożeniony z Wodzyńską. Następstwem tego było zaprzepaście dużej jego majątności Krojanka, którą 5 lat wcześniej kupił od książąt Sułkowskich.

Nie lepiej się działo w Komierowie, bo dziad Andrzej posag swojej żony, 12 000 talarów, chcąc przed zaborczością wojskowych zajazdników uchronić, zakopał w Komierowie, w tajemnicy przed wszystkimi. Zapadłszy na tyfus w roku 1813 chciał żonie swojej, Tekli, miejsce przechowania jej posaga

oznajmić i prosił służbę, aby zawołała moją babkę. Tymczasem nim babka nadeszła, śmierć mu zamknęła oczy i miejsce schowania skarbu pozostało do dziś tajemnicą. Lecz jeszcze inne sprawy gospodarcze sprawiały wielkie kłopoty.

Otóż dziad Andrzej kupił około roku 1795 całą majątność Przepelkowską z Borówkami i Młynkami, jako dawniej należące do Komierowa, za 108 000 talarów. Rekwizycje wojskowe, jak i kontrybucje podczas wojen napoleońskich wyczerpały nie tylko fundusze pieniężne, ale i uszczupliły tak dalece żywy inwentarz, że np. w Komierowie pozostało tylko 6 koni. Brak żywności był tak dotkliwy, że babka Tekla, po śmierci swego męża Andrzeja, przez 9 miesięcy ani chleba, ani soli nie widziała i z radości rozplakała się, kiedy jej ojciec z Dobieszewa przysłał trzy bochenki chleba.

W takich smutnych warunkach rozpoczęły się wdowie lata babki Tekli i z upływem czasu pogarszały się, aż ostatecznie mój ojciec, skończywszy gimnazjum w Bydgoszczy, gdzie kolegował się z Mieczkowskimi, Trzcinskimi, Leonem Sikorskim i innymi, jako młody chłopak przybył do Komierowa, aby swojej matce w kłopotach gospodarczych dopomóc i Komierowo uratować. Bo już w roku 1818 sprzedała opieka komierowska sądownie zmuszona Przepelkowski majątek za 18 000 talarów, który dziadek, jak już wyżej wspomniałem, przed kilkunastu laty nabył za 108 000 talarów. Opiekę ówczesną nad Komierowem sprawował wuj mego ojca, Mateusz hrabia Rydzyński z Niezuchowa, bardzo kulturalny, światły i do Komierowskich szczerze przywiązany, lecz bez najmniejszej orientacji w sprawach gospodarskich, więc zarządzenie opiekuna Rydzyńskiego zamiast poprawiać położenie, wprost przeciwnie działało.

Upamiętnić sobie przy tym trzeba, że lata 1826-1830 zapisały się w pamięci ziemianstwa naszego na tutejszych kresach jako najsmutniejsze wspomnienie. Bo upadek rolnictwa po wojnach napoleońskich postępował tak dalece, że znaczna część majątków tamtejszych, nie mogąc opłacać procentów ziemstwa kredytowego pruskiego, została sekwestrem obłożona przez rząd pruski. Taka więc katastrofa groziła

Komierowu i ojciec mój musiał podziękować Rydzyńskiemu za opiekę i samemu szukać ratunku. W tym położeniu próbował wziąć pożyczkę. Lecz tej odmówiono mu z braku kapitałów własnych, a jeden z życzliwych, Badoj ze Szczerbina, dawny dzierżawca Przepełkowa, rzekł: „Kochany Panie, nie liczy Pan na pomoc pożyczki od obcych, tylko liczy się z swoimi siłami, użyj takowych, a te będą najlepszą pomocą”. Mój ojciec wspominał to kilkakrotnie z wdzięcznością dla starego Badoja, który jemu, młodemu, może ostrą, ale słuszną uwagę zwrócił na konieczność własnej energicznej pracy. Odtąd ojciec pracą usilną, wielką skromnością i oszczędnością zaczął powoli dźwigać Komierowo z toni długów i zaniedbań gospodarczych.

W tym czasie korzystał też mój ojciec z rad generała Dezyderego Chłapowskiego z Turwi, który, jak mi jego syn Stanisław opowiadał, często bywał w Komierowie. Gospodarskie poczynania generała Chłapowskiego tak się memu ojcu podobały, że postanowił za jego przykładem zaprowadzić dziesięciopolowe gospodarstwo, rotacyjnie, z koniczyną i kartoflami, zamiast czarnych ugorów tylko i kilkunastu morgów ziemniaków. Lecz do tych planów niechętnie odnosił się jego rządca, stary Piotr.

Piotr był wnukiem browarnika w Komierowie w czasach zajazdów szwedzkich i świadkiem zburzenia przez nich dworu i kościoła. Piotr, zaciągnięty przez Prusaków do wojska przeciwko Napoleonowi, w roku 1807 w bitwie pod Jeną, jako kirasjer pruski, został przez Francuzów wzięty do niewoli i przetransportowany do Hiszpanii. Tam spędził kilka lat zarabiając na życie jako robotnik. Uciuławszy troszkę grosza wrócił pieszo, zarabiając po drodze, do Komierowa i pomagał mojej babce w gospodarstwie po śmierci dziadka. Z czasem został głównym urzędnikiem i na plany mego ojca zaprowadzenia dziesięciopolowego gospodarstwa niechętnie się godził, mówiąc: „Paniczku, tak długo nie mieliśmy na kołacz, a teraz nie będziemy mieli grosza na kawałek chleba”.

Memu ojcu ostatecznie udało się Piotra, który go piastował jako dziecko i ojciec go bardzo szanował, udobruchać i dziesięciopolówkę, z dobrym rezul-

tatem przeprowadzić. Ja sam, wtedy dziecko siedmioletnie, przypominam sobie Piotra wyraźnie, bo z nami razem w stołowym pokoju przy osobnym marmurowym stoliku wspólnie obiadował. Około roku 1854 umarł jako prawie 80-letni starzec. Radził, abyśmy szukali w miejscu, które nam wskazał, gdzie dawny dwór, przez Szwedów w roku 1656 zburzony, stał. Piotr bowiem twierdził, że słyszał od swego dziadka, że w podziemiach prawdopodobnie pozostały resztki miodów i wina. Poszukiwania te odkładano z powodu podejrzliwości rządu pruskiego. Ja sam je wreszcie rozpocząłem, ale musiałem przerwać, bo wybuchła wojna światowa.

Zły stan gospodarki był przyczyną sprzedaży włości okolicznych Komierowa. Trzciany, które w piętnastym wieku należały do Trzciańskich/Trzcieńskich przeszły około roku 1840 w ręce Niemców Botów. Majątki Sempelborskie przeszły na początku XIX wieku z rąk Potulickich na rząd pruski. Tak samo Sikorz i Niechórz, należące do powyższych dóbr. Majętność Skarpa kupił w roku 1823 Rafał Prądyński od Niemca Heinego. Wąldowski majątek, należący pierwotnie do Wąldowskich, przeszedł drogą sprzedaży na rodziny Gostomskich, Prądyńskich, aby ostatecznie około roku 1873 przejść w ręce niemieckie, a następnie do komisji kolonizacyjnej pruskiej. Tak samo działo się z Wąldówkiem i Olszywką, które przeszły w niemieckie ręce. Przepełkowo i Borówki nabył wprawdzie w pierwszej połowie XIX wieku Badziecki z Tobola, wielki przyjaciel mego ojca, lecz po jego śmierci rodzina zaprzepaściła ten majątek. Poszedł w niemieckie ręce, pomimo starań mego ojca, który w pierwszym dniu licytacji najwyższą cenę dawał.

Babka Tekla umarła około 1854 r., na jej pogrzeb stawili się liczne grono obywatelstwa i duchowieństwa, bo słynęła z gościnności. W szeregach duchowieństwa wskazał mi mój ojciec proboszcza z Pruszcza, przeszło 80-letniego staruszka, w którego siwych włosach nieoczekiwanie znów pojawiły się pasma ciemnych. Wyrosły mu także dwa nowe zęby. Ten proboszcz z Pruszcza był bardzo szanowany nie tylko jako duchowny, lecz jako lekarz i człowiek wielkiej zacności. Mój ojciec nie mógł przeboleć śmierci swej matki i co-

dziennie chodził na jej grób. Bo babka Tekla mimo katastrof, które w życiu przechodziła, miała bardzo pogodne usposobienie. Lubiła dobre obiady i zachęcała do jedzenia mego ojca słowami: „Tomeczku jedz, bo mi smakuje”. Mnie i mego brata Władysława w swojej sypialni lubiła częstować rozmaitymi przysmakami.

Mój ojciec miał tylko dwie siostry, Annę i Julię, bo jego starszy brat umarł, jeszcze przed ojca urodzeniem. Anna wyszła za Ulatowskiego, właściciela dóbr Rybowo i Hozakowo w powiecie wągrowieckim i radcą ziemianstwa kredytowego w Poznaniu. Julia wyszła za Kalkstein-Orłowskiego, obywatela w tucholskim powiecie, właściciela Bysławia, lecz w dziewiątym miesiącu po ślubie umarła na zapalenie płuc. Ojciec mój, jeżdżąc do niej konno, zaziębił się tak mocno, że zachorował na astmę. W owych latach nie było w sąsiednich miasteczkach żadnego porządnego lekarza, bo ten w Chojnicach, widząc ojca cierpienia, twierdził, że te duszności wywoływane są przez zbyt wielkie wąsy i radził je zgolić. Ojciec czując się coraz gorzej, pojechał do Poznania do Marcinkowskiego, który go wyleczył.

Ówczesne podróże z naszych kresów były bardzo uciążliwe, toteż ojciec opowiadał nam szczegóły swoich wypraw z grochem do Słupska na Pomorzu (Stolpa), i z wełną do Frankfurtu nad Odrą. Zwłaszcza ostatnią podróż chętnie wspominał, którą wspólnie z Badziekiem z Przepełkowa, swoim serdecznym przyjacielem, chociaż znacznie starszym sąsiadem, odbywał. Jechali z wozami wełną załadowanymi, których trzeba było na wszystkich noclegach bacznie pilnować, bo żydy rozżynali wańtuchy, wełnę wyciągali i kamieniami zapełniali. We Frankfurcie odbierali pieniądze w gotówce, to jest w srebrze. Te na owe czasy pokażne sumy chowali do trzosów, którymi się opasywali i tak zaopatrzeni w grosz jechali do Berlina konno na przedstawienia teatralne i koncerty. Mój ojciec bowiem był wielkim miłośnikiem muzyki i grał na fortepianie, skrzypcach i flecie. Tej muzykalności ani ja, ani mój brat po ojcu nie odziedziczyliśmy. Ojciec także bardzo ładnie rysował, lubił poezję i prace literackie. Nie mając odpowiedniego sąsiedztwa, jako kawa-



Leśno, dom, w którym urodził się Roman Komierowski, pocztówka z 1912 r.

ler, czas tym zajęciom i myślistwu poświęcał. Będąc zagorzałym myśliwym i strzelcem znakomitym, dzierżał rozległe tereny łowieckie – na północy do Obkasu pod Chojnicami i po Kozackie Błota pod Więcborkiem. Polując z ogarami, potrzebował dużych przestrzeni, by nie naruszać obcych praw myśliwskich. Zwierzyny w owych czasach było mało. Za to wodne ptactwo, przeważnie słonki i bekasy, było liczne.

W roku 1845 skończyło się życie kawalerskie mego ojca. Poślubił w Leśnie moją matkę Agatę z Sikorskich. Dwa lata po moim urodzeniu przyszedł na świat mój brat Władysław. Matka zajmowała się bardzo starannie naszym wychowaniem i uczyła nas pacierza, a mnie, jako starszego, pisanie i czytanie tak dobrze, że jako 5-latek umiałem czytać i pisać.

W tym czasie matka zachorowała ciężko i ojciec musiał nas odwiedzić do babki Sikorskiej w Leśnie oraz zatrudnić nauczyciela. Wróciwszy do Komierowa, podążył z matką do Berlina, dokąd wezwał dr. Mateckiego z Po-

znania. Wynajął mieszkanie nad cukiernią Zienglera. Tam ówczesny sławny chirurg Langenbeck operował moją matkę. Operacja była ciężka, opowiadał mi o tym po latach ten sam Langenbeck w r. 1872, gdy już jako inwalida wojenny trafiłem do niego ze złamaną nogą. Przypomnił sobie moją matkę i był zdumiony, że jeszcze żyje. Matka przeleżała w Berlinie kilka miesięcy, pielęgnowana starannie przez naszą dalszą kuzynkę p. Klarę Dembińską. Przypominam sobie radosne chwile, gdy witaliśmy matkę po jej powrocie.

Odtąd matka żyła jak zakonnica, odżywiając się tylko zupkami i często na zdrowiu zapadając. Zajęła się haftami i szyciem stołowej bielizny, których całe stosy pozostawiła po sobie. Prowadziła także bardzo umiejętnie księgi kasowe. Skromna, bez wymagań, żyła pocieszając się modlitwą i opiekując się mężem i synami.

Pod taką opieką dorastałem, a kiedy skończyłem 10 lat, wyjechałem do gimnazjum w Chojnicach. Mieszkalem na pensji u pani dyrektorowej Gehbler z

domu Łyskowskiej, gdzie przede mną był ojciec Józefa Kościeleckiego, a później mój wuj Paweł Sikorski. Pozostałem tam aż do skończenia gimnazjum w roku 1866. W maju tego roku składałem egzamin w czasie szalonej epidemii cholery. Podczas egzaminu zmarł jeden ze zdających kolegów, Hofmann. Po jego pogrzebie wszedłem do sypialni moich rodziców i tylko w progu ich powitałem, aby zarazy im nie przynieść. Na drugi dzień moja matka powiedziała mi z zakłopotaniem, że mój ojciec twierdzi, że pewnie na egzaminie przepadłem, bo nic o nim nie wspominałem. Radość więc moich rodziców była ogromna, gdy dowiedzieli się o pomyślnym rezultacie.

Następne miesiące, lato, spędziłem w Komierowie, gdzie cholera liczne ofiary wzięła, bo z 90 zapadłych 38 umarło. Swoich ofiar zażądała też wojna austriacko-pruska. Mnie uratował od wyćieczki do wojska pruskiego życzliwy nam lekarz, dr Michał Bolewski z Tucholi. Pamiętał o pomocy, której mu na uniwersytecie mój ojciec udzielał. ■

WIDOK NA POZNAŃ

Paweł Dzianisz



Fot. z „Wielkiej księgi miasta Poznania”

Ulica Poznania, 1929 r.

Podróżni, którzy w zimowe dni zmuszeni byli wyczekiwać na zablokowanych drogach, opowiadali, że Wielkopolska jest nie do poznania. Pasażerowie autobusów, wysiadający na dworcu PKS, nie kryli swego rozgoryczenia widokiem iście siermiężnym tego zakątka. Także Poznań wydaje się przybyszom nie do poznania: łaźniowy jakiś, rozkopany do niemożliwości. Ludzie się zmienili, niepomni historii, zbuntowani przeciw domowym naukom, wychowani w „po własnemu” pojmowanej wolności, tracą tożsamość, sami pozbawiają się wyróżniające ich korzystnie odrębności. Nawet w sympatiach politycznych upodobią się do reszty. Nawet kibiców piłkarskich mają podobnie oszalałych w dzikiej żądzy niszczenia.

Silni mądrością doświadczenia ludzie ze starszego pokolenia starają się nas uspokoić: to czas kulturowego przełomu. Spadła nagle na czystą wodę zawiesina na pewno zostanie zneutralizowana. Cierpliwości! Cierpliwości!

W młodzińcych jeszcze latach jakiś tam krakus zdjął młodemu pokoleniu Wielkopolan przepaskę z oczu. Z prawie zuchwałym rozmachem, książka po książce, ukazał mu wartość nad Wartą i krzyknął: „Poznaj Poznań!”. I nagle młode pokolenie dostrzegło coś, czego dotąd nie widziało: ojców, dziadków i pradziadków w mądrej wierności mijającym czasom budujących niewzruszoną, niepodległą najstraszniejszym wstrząsom polskość. Tak naturalne na co dzień, a tak zdumiewające z upływem czasu związanie człowieka z rodzinną ziemią. Dom rodzinny, swojskie progi wypełnione ciepłem i poufałością, odwieczny obyczaj i z pokolenia na pokolenie z nauk przeszłości rosnąca mądrość. Bo był przecież taki czas, kiedy Wielkopolska nazywała się Polska i dopiero wówczas, kiedy do piastowskich dziedzin dołączono kraj Wiślan i nazwano go Małopolską, narodową Macierz w odróżnieniu od tego – Wielkopolską. Polonia Maior – więc – Wielkopolska, imię swoje zawdzięcza Bolesławowi Pobożnemu, który w dokumencie swej kancelarii w 1257 roku nazwał się księciem Wielkopolski – *dux Poloniae Maioris*. A znaczyło to, że ów obszar pod wieloma względami zasługiwał na

szczególne wyróżnienie jako ta część kraju, która związywała treści regionalne z treściami ogólnopolskimi. Nawet polski język literacki – co już przestało być sprawą sporną – ukształtował się na języku Wielkopolan, co do wiodnie ma świadczyć, że ta Wielka Polska jest prawdziwie kolebką naszej państwowości.

Plemienne państwo Polan – przypomina Jerzy Topolski w swej książce „Wielkopolska poprzez wieki” – ukształtowało się przedhistorycznie. Jeszcze tylko średniowiecze poczyniło pewne zmiany w kształcie Wielkopolski, przetrwałym aż do rozbiorów, kiedy to Prusy zagarnęły znaczną jej część, co – teraz powinna być o tym mowa – spowodowało narodziny polskiego etosu wielkopolskiego, wyposażonego we wszystkie prawie te cechy, które – podobając się, lub nie – ukształtowały wielkopolską społeczność.

Zajrzyjmy na chwilę do sławetnego dzieła imię Szymona Starowolskiego „Polska, albo opisanie położenia Królestwa Polskiego (po raz pierwszy wydane w 1632 r.), którą „z języka łacińskiego przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył Antoni Piskadło”:

„Wielka Polska leży od zachodu i cała niemal jest równinna oraz rzekami poprzecinana, oprócz pewnej tylko części Kujaw, która jest pagórkowata; wzniesienia te są jednak łagodne i wyróżniają się zyznością. Od południa ma Śląsk, od zachodu Brandenburgię i tamtejsze Pomorze, od północy część Prus i Mazowsze, od których Wisła jest odgraniczona, od wschodu zaś Małą Polskę, od której oddziela się granicą dokładniej nie ustaloną, przebiegającą nad rzeką Pilicą.

Całe terytorium Wielkiej Polski dzieli się na osiem województw, a mianowicie na województwo poznańskie (do którego należy również ziemia wschowska), kaliskie, łęczyckie, brzeskie, inowrocławskie (dwa ostatnie województwa powszechnie Kujawami są nazywane), sieradzkie, rawskie i ziemię wieluńską. Stolicą prowincji jest Poznań nad rzeką Wartą, położony na 39. stopniu długości i 52. szerokości, a którego imię nosi także województwo zajmujące pierwsze miejsce wśród innych województw”.

Marcin Kromer w swej „Polsce, czyli o położeniu, ludności, obyczajach,

urzędach i sprawach publicznych Królestwa Polskiego księgi dwie” (1577), pisze:

„Wielkopolska obejmująca dwa województwa, mianowicie poznańskie i kaliskie, leży na zachodzie i swoimi granicami: południową, zachodnią i północną styka się ze Śląskiem, Marchią [Brandenburską] i Pomorzem dalszym”.

Nic się nie zmieniło, oprócz ludzi?

Długo by się nad tym można zatrzymywać, gdyby nie ów – jak mawiano o Adolfie Nowaczyńskim – postrzelony krakauer, który uparł się ukazać Wielkopolanom ich własną niepoznaną ziemię rodzinną i ich własny nieznaną Poznań.

Cóż to były za czasy! Cóż to byli za ludzie! Przeminięły jednak książki pisarza, przemiął także film Sztwiertni ukazujący „najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy” i teraz z krainy cieni musimy wydobywać świetne postacie, których nazwiska noszą ulice Poznania i wielu wielkopolskich miasteczek. Kimże byli? Czegoż to dokonali, że wciąż chętnie podajemy ich za przykład? Że wciąż pozostają wzorcem obywatelskiego etosu?

Wędrowni po ulicach miast mogą i powinny uczyć historii. W poznańskim śródmieściu ulice noszą nazwiska Marcinkowskiego, Działyńskich, Libelta, Cieszkowskiego, Kantaka; na Dębcu – Cegielskiego, na Łazarzu – Szanieckiej, Berwińskiego, na Jezycach Szamarzewskiego, Jackowskiego, na Wildzie – Poplińskich, Żupańskiego, Chłapowskiego, Langiewicza, na Górczynie – Palacza – wszystko to Wielkopolanie XIX wieku, bohaterowie wielkiej epopei wielkopolskiej. Zdumiewający urodzaj wybitności.

Zmarł już urodzony w Glinie (gdzie współczesność zatraciła stylowy dworek) ojciec teatru polskiego Wojciech Bogusławski, ale działał jeszcze na niewie muzycznej urodzony we Włoszakowicach Karol Kurpiński. Znaczący Słowackiego, wnikający w zakamarki polskiej literatury Antoni Małecki, wybiegł w świat z Objezierza. W Głuszynie, którą całkowicie wchłonął współczesny Poznań, tylko niepozorny kamień przypomina odkrywcę skarbów Australii i Tasmanii Edmunda Strzeleckiego, do śmierci wiernego utraconej Adynie, także z Objezierza.

Jacyż to Wielkopolanie wybiegli w szeroki świat!

Ale oto jawi się nam Mierosławski w jakimś sporze z Libeltem, w śremskim szpitaliku doktora Mateckiego umiera bohater spod Książa Florian Dąbrowski, na Chwaliszewie gwarno od berlińskiego procesu moabitczyków.

Kłębią się w ciżbie ludzie, prześcigają wypadki. Stefański już prawie schodzi ze sceny, przemija świetna era „Tygodnika Literackiego”, w którym „genialny garbus” Antoni Woykowski, publicysta i wydawca, muzyk organizujący własnym sumptem koncert Liszta w Poznaniu, przyciąga najzwyklejsze pióra, ze Słowackim, Goszczyńskim, Lenartowiczem. Romantyczną miłość – czego Poznań nie jest zdolny zapomnieć – weredyka i radykała z sawantką i emancypantką Julią Mołińską – zupełnie na szekspirowską miarę. Pogrzeb mistrza Woykowskiego finansuje inny niezapomniany księgarz – Konstanty Żupański. Poplińscy, Jan i Antoni, bliźniacy z właściwym nazwiskiem Popłomyk, w Lesznie i Poznaniu gimnazjum blasku dodają. Szczególnie drugi, w gimnazjum im. Marii Magdaleny, czyli tzw. Marynce ma okazję podprowadzić ku wiedzy i ideałom najlepszą młodzież wielkopolską, jeśli tylko trafiła do Poznania, omijając Trzemeszno, Śrem, Leszno, Ostrów. Z Drzazgowa pod Środą pochodzi godny Komensky’ego pedagog Ewaryst Estkowski, przyjaciel Lenartowicza. Doktor Teofil Matecki po klęsce powstania z 1848 roku staje się cenionym chirurgiem w Poznaniu, w sławnym szpitalu Przemienienia Pańskiego. Tytus Działyński kształcił rzemieślników w założonym przez siebie Towarzystwie Przemysłowym, odbudowuje Kórnik, a w Bibliotece Kórnickiej rozpoczyna pomnikową edycję „Acta Tomiciana”. Augustyn Szamarzewski, po śmierci żony Michaliny, już jako ksiądz organizuje młodzież rzemieślniczą, Hipolit Cegielski zakłada najpierw warsztaty naprawcze przy ul. Butelkowej (dziś Woźna), potem załazek fabryki przy ul. Koziej, wreszcie odlewnię żelaza przy Strzeleckiej, równocześnie patronując „Dziennikowi Poznańskiemu” i zapewne nie przestając być wysmakowanym konsumentem poezji. Kazimierz Jarochoński daje się poznać jako świet-

ny znawca epoki saskiej. W Wierznicy, którą chętnie odwiedzał Zygmunt Krasiński, August Cieszkowski rzuca projekt Towarzystwa Przyjaciół Postępu i głośny się staje jako autor pierwszej w dziejach odezwy do parlamentarów, nawołującej do powszechnego porozumienia między państwami i powszechnego rozbrojenia. Jest także – wspólnie z Janem Chryzostomem, Henrykiem Metzgiem – rzecznikiem założenia w Poznaniu polskiego uniwersytetu.

Ach ten Metzgi! Przyjaciel – Niemiec! Urodzony w Skwierzynie poprzez trafną diagnozę chorób żołnierskich spowodował przeuniformowanie wielu armii europejskich, ale przecież o wiele ważniejsze było dla niego budowanie mostów przyjaźni z Polakami. Rdzenny Niemiec, ożeniony z Polką Emilią Barbarą Scheaferówną, cioteczną siostrą Fryderyka Chopina (matki obojga były siostrami Krzyżanowskimi), przyjaciel Cieszkowskiego, Libelta, Marcinkowskiego, z konsekwencją i oddaniem wspierał sprawę polską w czas Wiosny Ludów.

A jeśli wspomnienie o Chopinie, to moment z poznańskiej wizyty u księcia Antoniego Radziwiłła, kompozytora pierwszej muzyki do „Fausta” Goethego; to Antonin i Strzyżewo; to jego (zapewne) znajomość z młynarczykiem z Psarskiego pod Śremem, a później „pierwszego metra muzyki” w Poznaniu. A jeśli już Chopin, to i Mickiewicz w Wielkopolsce, liczne dwory i pałace, poznański romans z Konstancją Łubieńską i chrzciny w Skokach, i Wigilia w Łukowie ze spotkaniem z bratem Franciszkiem, i Śmielów, Śmielów przede wszystkim...

I od powstania do powstania: 1830, 1848, 1863. Przy dacie pierwszej Chłapowski na Litwie i Mickiewicz nad Prosną; przy dacie drugiej – Mierosławski pod Sokołowem i Dąbrowski pod Książem; przy dacie trzeciej Taczanowski pod Ignacem, Langiewicz daleko w Górze pod Krakowem, Mielecki pod Krzywosądzą i las, las łaszczyński, gdzie niedaleko Rawicza młody Stefan Bobrowski, wuj Josepha Conrada, w nieszczęsnym pojedynku kierowanie powstaniem śmiercią przypłacił.

Na polach bitew i na polach organizatorskiego działania rosła Wielko-

polska w odpowiedzialność za ojczyznę. Od Palacza, Drzymały i księdza Wawrzyniaka, od powstania 1848 do powstania 1918, do Grudzińskiego, Taczaka, od Ratajczaka, Kurtza, do Poznańskiego Czerwca – bo wszystko to z tego samego natchnienia – dla ziemi ojczystej.

Pojawiają się – i poza Nowaczyńskim – obrazy później dopiero uświadomione, przeznaczone na pamięć nieprzemijającą. Trzeba przejechać przez Śrem nie tylko z ciekawości, jak to małe, dziś żyjące w symbiozie z wielką odlewnią żeliwa miasto daje sobie radę w gospodarce i kulturze (nie do wiary: posiada ośrodek telewizyjny, dwa tygodniki, rozgłośnie radiową), ale także po to, aby przypomnieć, że wydarzyło się tam coś, co dobrze odpowiada sztuce Józefa Wybickiego „Szlachcic mieszczanin”.

Oto on, autor hymnu narodowego, z ziemianina stał się w Śremie mieszczańcem.

„Działo się w Śremie dnia 6tego Miesiąca Sierpnia roku 1791go – JWżny Józef Wybicki Szambelan (...) przyjął Prawo Miejskie. Obecnie przed Magistratem Strzemińskim (...) stanąwszy (...) Zwierzchności Miasta Strzemu w którym do Obywatelstwa przyłączony jestem Podległym być chcę, y Obowiązki Wszelkie Zchowam, co wszystko Zaręczam tak za siebie iako y następców moich, Na Co się podpisał Józef Wybicki Podkomorzy...” etc. etc.

Niedaleko Śremu, niedaleko Manieczek, w których mieszkał, Brodnica, gdzie został pochowany, zanim znalazł miejsce na „poznańskiej Skałce” wśród najbardziej zasłużonych. Za brodnickim kościołem kamienny krzyż z okiem Opatrzności i płyta marmurowa z napisem:

„Józef Wybicki
konfederat barski
legionista
senator wojewoda
* 1747 +1822”

W pamięci jeszcze mam parafialny skarb: *Liber Mortuorum*: „Numerus: 12, Annus et Mensis: 1822 Martius, Dies Obitus: 19. In quo loco: Manieczki. Nomen et Cognomen Defuncti: Josephus Wybicki. Aetas: Annes: 74, Mensis: 6, Dies: 10. Cinditio: Marius et Palatinus”.

Dalej imiona rodziców, inne dane – *Morbes: Febris Ysumphisa* i stwierdzenie zgłoszenia śmierci „p. *Proprium Filium*”, czyli przez własnego syna.

Jeszcze powrót do Manieczek w tej okolicy, gdzie Esterpole, Przylepki, Boreczek, wszystko Wybickiego. A Manieczki – miejsce, gdzie w latach 1781-1791 powstał bogaty dorobek dramatopisarski Wybickiego: komedie, tragedie, opery i wiele jego wierszy i rozpraw z dziedziny polityki i ekonomii. Domek, w którym wiódł szczęśliwe życie rodzinne, w którym urodziły się jego wielkopolskie dzieci: Teresa, Łukasz, Józef. Domek, w którym zmarł, Wielkopoleńczyk z wyboru i z rozumienia społecznych, obywatelskich, narodowych obowiązków.

W czas wspomniania sięgam po mapę Wielkopolski. Zawsąd tam, znad Warty między Welną a Prosną, od Santoka po Sieradz i od Rawicza po Żnin, miasteczka i wsie z historii. Romański kąt ze Strzelnem, Inowrocławiem i Kruszwicą; Rogoźno z pamięcią o śmierci Przemysła II i Marcinkowo Leszka Białego; Rydzyna, miejsce urodzenia księcia Józefa Sułkowskiego, „oficera największej nadziei” i adiutanta Napoleona; Rawicz z owym Łaszczyńskim Bobrowskiego i Leszno z Komeńskim i Krotoszyn z Langiewiczem, i Jarocin, Jarocin, Jarocin osławiony, i Miłosław Kościelskich, kulturą promieniujący, z pierwszym pomnikiem Słowackiego, i Września, miejsce strajków szkolnych, i sąsiedztwo bitewnego pola w Sokołowie, i Rakoniewice Drzymały, i Wolsztyn rzeźbiona Rożka od Króla Chrobrego w Gnieźnie, i Szamotuły z Basztą Czarnej Księżniczki, i Wągrowiec z Przybyszewskim, i Inowrocław z Kasprowiczem – nie sposób obronić się przed nawalem wspomnień.

Miasteczka i wsie wyczarowane z piękna, bo któż to powiedział, że Wielkopolska jest monotonna krajobrazowo? Zawsąd – widok na Poznań, rozum i serce tej ziemi wierny i nieodmiennie w tej wierności wytrwały. Choćby komuś się zdawało...

Stoję teraz na wydłużonym obwałowaniu, mając przed sobą cały Ostrów, długi, szary pas jeziorny, otwartą przestrzeń na Kraj Polan, na Wielkopolskę, na Polskę. I więcej: widok na całą jej historię i na jej legendę, jakby tro-

chę przygłuszoną bujnością traw i zieliska. Później zobaczę ją jeszcze zatopioną w jeziornej głębi. Zobaczę ją także skamieniałą we wstrząsającej ruinie świątyni i książęcego pallatium.

Mam więc dokoła ów Kraj Polan, jego serce, ku któremu skierowują od Poznania, od Gniezna, makietowe olbrzymy drewnianych wojów. Po drodze był Ligowiec i Mechowo, i Kobylnica, miejsca znane lotnikom i szybownikom. Po bokach Wierzenica ze wspomnieniem Cieszkowskiego z Krasieńskim, Uzarzewo z muzeum łowieckim, Swarzędz sławny meblarstwem i muzealnymi ulami, Moraczewo z bliskim wzgórzem wiatrakowym – poltrak na kolistej szynie, holender, swojski kozłak na jednej nodze.

Moment jak z ziarnkiem w klepsydze. Na samym przewężeniu – już nie w przeszłości, jeszcze nie w przyszłości. W samym t e r a z . Teraz w Kraju Polan. 32 kilometry od Poznania, 18 od Gniezna, pejzaż lekko zafalowany, łagodnie przyjmuje rynnowe jezioro, otwarty, przejrzysty, pięć wysp na jeziorze i ta jedna najważniejsza – Ostrów Lednicki osnuty legendą, przemawiający historią wydobytą z podziemnej i podwodnej archeologii.

To tu Kraszewski w swej „Starej baśni” kazał ukryć się Dziwie przed natarczywością Domana: „Na jeziorze Lednicy leżała wyspa, ostrów święty, do którego z dala, od Wisły nawet, od Łaby, od Odry przychodzili podróżni z ofiarami po wróżby i rady”.

Jestem więc na Ostrowie Lednickim. Droga ku ruinom szacownych X-XI-wiecznych budowli trochę błotnista, ale warto ją przebrnąć, aby stanąć pod osłoniętymi dachem szczątkami kamiennej świątyni i zamku. W nim ponoć urodził się Bolesław Chrobry. W nim przyjmował cesarza Ottona III spieszącego ku Gnieznu z pielgrzymką do grobu Wojciecha, świętego męczennika i patrona Polski.

Pisząc „Słowiński rodowód”, Paweł Jasienica robi pauzę, jakby wstrzymywał oddech: „Przez lata całe nosiłem w sercu wrażenie z Lednicy, zanim odgadłem jego [Ostrowa] tajemnicę. Na Lednicy nie cisza stanowi tajemnicę. Jest nią samotność człowieka wobec świadków historii”.

O sobie mogę wspomnieć, że latami nosiłem tęsknotę do Lednicy. Nie do

tych rekonstrukcji i etnograficznych przebierańców w Muzeum Pierwszych Piastów, a właśnie do owego utajonego tętna historii, źródła naszej historycznej tożsamości.

Znów zdaje się być w przewężeniu klepsydry. Ani w przeszłości, ani w przyszłości – t e r a z . Teraz pośród tłumy Wielkopolan, między przeszłością a przyszłością, nieświadomych swej świadomości, a przecież w tej nawet nieświadomości budujących to, co było wczoraj i będzie jutro, pojutrze ich świadectwem tożsamości.

Powoli (a chciałoby się też powiedzieć: prawie bezwiednie) wspinając się ku górze mapy, z wcale jeszcze nie ujawnioną w pierwszych próbach poetyzowania tęsknotą do morza, przybliżałem się ku niemu z łaski wytrwałej nieświadomości. A było to coś więcej niż wiatr spadający prosto na twarz. Był to London, Stevenson, Melville, Loti, trochę później Zaruski i jeszcze później Conrad. I chyba bardziej niż żeglarskie zanęty bydgoskie – Kaszowski, Góralewski, Graj, Urbanyi, kaszubskie opowieści Jurka Ślaskiego, który właśnie nad Brdę przywiózł swą pierwszą partyzancką powieść o Kaszubach. O Trepczyku, Dambku, Grulkowskim. A przy okazji opowiadał o Wicku Rogali z zaczarowaną cytrą i Teodorze Gulgowskiej z legendarnym orszakiem kotów. Nic, tylko wziąć plecak i powędrować ku „pewnemu nieznanemu ludowi”. I tak się stało.

Potem już trzeba było tylko konkretnego bodźca, aby się znaleźć w Gdańsku, właśnie wśród tego ludu i właśnie nad morzem. Minałbym się z prawdą mówiąc, że nie oglądałem się na południe – na bydgoski półmetek i na poznańską linię startową. Jawiły mi się twarze, które wypominał Iwaszkiewicz w swoich „Podróżach do Polski”. I nie tylko Bąk, Kołoniczki, Powell, Degler, Kraszewski, Kędzierski w całej powadze swych przedwojennych zasług, ale i prawie rówieśnicy – Czesław Kubalik, Fela Czuster, Janek Szulc, Józek Klemensik, Teodor Śmiełowski. Jeszcze nie odnaleziono ostatnich śladów Bernarda Chrzanowskiego, Franek Fenikowski, jak tamci wymienieni, jeszcze ostrzył pióro na Stolarskiej pod okiem Steina, Szwejkowskiego i nowej gwiazdy Kubackiego – cno mi więc bywało tak, że niezapomniana

Zosia Giedroń, widząc mój przynębiający marsz wokół redakcyjnego biurka, wysyłała mnie na Mariacką po uspokojenie. Zachodziłem tam coraz rzadziej, ale niewiele rzadziej wracałem myślami nad Wartę i nad Lutynię, choć dawno zasklepiły mi się rozcięcia od nurkowania (na Kawczu czy na Murzynku – nie pamiętam już) i od gałęzi osłaniającej siedlisko łowionych nocą raków.

Przyszedł czas, kiedy Kaszubi, jakby za poręką Izy Trojanowskiej i Lecha Bądkowskiego, przyjęli mnie jak swego. Przyjmowali zresztą wówczas wielu, jakby ręce podając tonącym w zwątpieniach. Trochę więc zapomniałem o Poznaniu, nie mogąc się zresztą wydobyć z uczulenia, że wciąż korzystam z prawa gościnności. Dopiero później się to wszystko rozlało, jakby – nawet nie wiadomo z jakich przyczyn – każdy chciał pójść na swoje. Dokąd więc należałem?

Bywając od czasu do czasu w Wielkopolsce, czułem się tam bardzo u siebie. W Poznaniu wszystko było na swoim miejscu, mogłem się tam poruszać po ciemku. Kiedy raz w podróży od nadwarciańskiego miasteczka natknąłem się na rozgadane po poznańskiemu stadko licealistek, zacząłem się głośno śmiać. Z radości. Wcale nie z przypomnienia gawęd Strugarkowych czy Kubelowych blubrów starego Marycha, a po prostu z tej zwykłej przyczyny, że oto świeci słońce, że oto zaraz będzie osławiona żmijownica między Kórnikiem a Brninem, że oto mogę zapytać, czy w Zaniemyślu kaufne se wymborek – i będę dobrze zrozumiany.

Patrzę na mapę Wielkopolski z dziesiątkami miasteczek – pewnie są czyste i gospodarne. Wertuję słownik biograficzny z setkami nazwisk – opowiadają wielkopolskie dzieje.

W Gdańsku, w kolejce do Gdyni, też słyhać język miejscowy, choć jakby bardziej zalatujący łaciną. Po drodze widać, że też wszędzie się buduje. Ale widać też, że tu i tam ktoś czegoś nie doglądał. I nie słyhać, aby ludzie w wagonie zagadywali o znanych sobie i bliskich sprawach. Może więc naprawdę trzeba „być u siebie”, żeby prawdziwie umieć kochać, wybaczać i marzyć?

I taki jest mój widok na Poznań. ■

WIATR DO MORZA

Janina Wieczerska

Można wątpić, czy rycerze Krzywoustego po zdobyciu Kołobrzegu śpiewali pieśń tak piękną i kunsztowną, jak zapisana u Galla Anonima, ale coś na pewno śpiewali, bo każde wojsko śpiewa. Może nawet byli istotnie tak zafascynowani „oceanem”, jak wynika z tekstu Gallowego. Bo chyba, sądząc z późniejszych dziejów, „tak już im zostało”. Nie rycerstwu – Wielkopolanom. Potomkom Polan, z których wywodzili się i Piastowie, i pewnie co najmniej połowa wojów Piastowicza – Krzywoustego.

Jaki wiatr pchał ich do morza, to temat dla rozległych dywagacji, ale że pchał, to fakt, potwierdzany także przez polańsko-piastowskie mariaże nie tylko z pomorskimi, ale i ogólniej nadbałtyckimi rodami. Przemieśli Piastowicze, przemieśli wieki, a Polan, dziś już prozaicznie – poznaniaków do morza i Pomorza ciągnie. Jako przyczynek do tego trendu na północ przytoczę garść danych z najbliższego mi kręgu – rodzinnego i domowego.

Pochodzę z południowej Wielkopolski, z miasteczka położonego już na granicy ze Śląskiem, w okolicy płaskiej jak rozwałkowane ciasto na makaron, nad rzeczką tak znikomą, że i wspomnieć nie warto, bo ogólnie bezwodnego charakteru krainy nie zmienia. Więc już kto jak kto, ale koźminiak mógłby, zgodnie ze staropolskim epigramem, „nie znać, co morze, bo ziemię orze”. A właśnie że nie, właśnie że na odwrót. W księdze zwiedzających budującego się dopiero portu gdyńskiego inż. Tadeusz Wenda pod numerem pierwszym zapisał – wycieczkę uczniów Seminarium Nauczycielskiego z mojego Koźmina. Dwie rodzone siostry mojej babki w tym samym czasie założyły pensjonaty na Kamiennej Górze i w Juracie. Pierwsza piosenka, której nauczyła nas pani Baranowa, jako „pierwszoli” w szkole powszechnej, brzmiała:

Jadą dzieci, jadą,
Jadą het kolej –
Do polskiego morza,
Do polskiego morza
Oczka im się śmieją.

Najwyraźniej im się śmiały, bo po wojnie pierwsza dalsza wycieczka Koźmińskiego Miejskiego Gimnazjum Koedukacyjnego wyruszyła nie w Tatry, nie do Krakowa, ale nad morze. Mój brat i ja byliśmy wtedy za ekspertów, bo już rok wcześniej, w 1946, za spadłe z nieba pieniądze też wybraliśmy się do nie odbudowanej jeszcze, biednej Gdyni. Nie, nie biednej: z grubsza tylko uprzątniętej, ale już tętniącej życiem, podobnie do przedwojennej. To Gdańsk był wtedy kupą gruzów, i to takich, że do tej pory nie potrafili ustalić, na ruiny czego patrzyliśmy.

Oczywiście wszyscy umieliśmy śpiewać „Morze, nasze morze” i „Wolności słońce pieści lazur”. Do dziś, kiedy słyszę, że „o twe wody szmaragdowe płynęła krew i nasze łzy”, robi mi się jakoś rzewnie na sercu.

Ale żeby kto nie myślał, że to tylko sentymenty turystyczne (nb. – nie należy ich lekceważyć), to dodaję, że naprawdę kochaliśmy i „Dar Pomorza” i wspaniałego „Batorego” i „naszą flotę, choć niedużą”. I to także ci z nas, którzy to wszystko znali tylko z obrazka.

Fascynacja morzem musiała być głęboka, mieć wpływ na decyzje życiowe, skoro wśród moich kolegów szkolnych mam na Wybrzeżu dwóch wybitnych speców od rybołówstwa, paru zaprzysiężonych żeglarzy i – sądząc po listach, które przychodzą do mnie do redakcji „Dziennika Bałtyckiego” – ziomków osobiście mi nieznanym, ale dość licznych, by można było myśleć o założeniu „Koła pomorskich Wielkopolan”.

Można by, tylko po co? Wielkopole nie czują się tu wygnańcami, „włózkami”. Są tak zintegrowani, że nie odróżnisz ich od reszty. Owszem, gdy się zejdą razem, snują „opowieści o starych Polakach” z rodzinnych stron, ale tu też są u siebie, niektórzy od dwóch, trzech pokoleń. Fizycznie. Bo duchowo – od czasów Krzywoustego. ■

Młodokaszubski działacz i poeta Jan Karnowski (1886-1939), po prawie czteroletnich studiach teologicznych w Pelplinie i Fryburgu, w 1911 roku zapisał się na wydział prawa uniwersytetu we Wrocławiu. W drugiej połowie 1913 roku, po zdaniu egzaminu referendariuszowskiego, rozpoczął roczną obowiązkową służbę wojskową w armii pruskiej (pułk piechoty) w Toruniu. W 25-osobowym batalionie był najstarszym i jedynym Polakiem. Jak napisał w „Mojej drodze kaszubskiej”, służba wojskowa była dla niego „męczarnią, istną niewolą duchową”. Udręki 27-letniego poety spotęgowane zostały nieszczęśliwą miłością do dziewczyny, o której jedynie wiadomo, że nie była Polką; jak sam wyznał, miłości tej „różnice narodowe stały na przeszkodzie”.

Autor „Nowotnych śpiewów” (Poznań, 1910), uciekając od cierpień i bólu spowodowanych służbą wojskową i niespełnioną miłością z pasją zaczął studiować prace filozofa Rudolfa Lotzego, który występował przeciw mechanistycznemu, zewnętrznemu postrzeganiu natury, widząc w niej materię całkowicie podporządkowaną substancji duchowej. Zacztywał się także w tłumaczeniach na niemiecki dzieł Dantego. Gdy podczas I wojny światowej znalazł się na froncie wschodnim, miał zawsze pod ręką „Piekło” Dantego, czytał je niemal na każdym postoju, a także podczas bitwy pod Baranowiczami (maj 1916), gdzie został ranny. Tam „Piekło” z mundurem pozostało na placu opatrunkowym.

W czasie jednorocznej służby i w pierwszym okresie wojny Jan Karnowski w ogóle nie zajmował się lite-



raturą kaszubską. Okrucieństwo wojny zabijało poetycką wyobraźnię. Dopiero w szpitalu w Baranowiczach, gdy przez otwarte okno zaczęło wdzierać się wiosenne powietrze, a pobliska cerkiew tonęła w blasku słońca, Karnowski zaczął pisać po niemiecku eseje – szkice w duchu ekspresjonistycznym, ale z odniesieniami do ziemi rodzinnej, Brus i okolic. Później w szpitalach w Modlinie i Poznaniu napisał około dwunastu wierszy kaszubskich, z których większość wypływa z osobistych przeżyć wojennych, oraz epos „Trzë próbë ò Juaszã”. Zbiór ten przekazał przyjacielowi, młodokaszubie ks. Kamilowi Kantakowi, który w tym czasie był dyrektorem archiwum archidiecezjalnego w Poznaniu.

Okres wielkopolski (1917-1920) okazał się dla Karnowskiego doniosły zarówno w twórczości, jak i na gruncie osobistych doświadczeń. W Poznaniu odświeżył znajomość ze wspomnianym już ks. Kamilem Kantakiem, a także innym młodokaszubą,

doktorem ekonomii i działaczem spółdzielczości Pawłem Spandowskim i jego żoną Digną (córką Ferynanda Bieszka). Korzystając z przepustek z lazaretu, często prześiadywał w poznańskiej Bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie zaczął zbierać materiały do znakomitego studium „Dr Florian Ceynowa”; to właśnie tam, za okładką jednej z książek ze zbioru ks. Franciszka K. Malinowskiego, znalazł kilka oryginalnych rękopisów Ceynowy.

Po opuszczeniu w 1918 roku szpitala, został przydzielony do garnizonowego oddziału samochodowego, a następnie brał udział w powstaniu wielkopolskim jako audytor (sędzia wojskowy) w Wągrowcu i Gnieźnie. Pod koniec stycznia złożył w Poznaniu egzamin asesorski, co później pozwoliło mu rozpocząć karierę w sądownictwie cywilnym.

Zbiór wierszy wojennych, które Karnowski przekazał Kantakowi, zaginął. Z zachowanych notatek poety po wojnie odtworzył tylko część

utworów, w tym „Krwawi wiół”, opublikowany w „Gryfie” (R. 9: 1932-34, nr 4) z dopiskiem redakcji: „Jest to jedyny, jak dotąd, oddźwięk krwawej wojny światowej w duszy kaszubskiej, pochodzący z r. 1917”. „Krwawi wiół” ukazał się również w zbiorze „Nowotne śpiewy i wiersze” (1958).

Wiersz-minipoemat jest literackim odzwierciedleniem pacyfistycznych poglądów autora, zrodzonych z doświadczenia „wprost nie-ludzkiego i ohydneho” oblicza wojny. Swoisty szkic do poetyckiego obrazu w „Krwawim wiółie” poeta narysował już prawie dwa lata wcześniej – 22 maja 1915 roku w pisany po łacinie pamiętniku wojennym: „Wojna oczy mi otworzyła! Wojna bluźni miłości chrześcijańskiej, rozdziera to, co Bóg złączyć pragnął. Wojna jest kamieniem obrazy w Królestwie Bożym. Przeklęta wojna, i po trzykroć przeklęta służba jej. Przysięgam, że Królestwo Boże może zapanować na tym świecie i możliwości wojny muszą być na przyszłość usunięte, duch miłości musi zapanować nie tylko w życiu prywatnym, ale także w życiu narodów. Bogowie tej ziemi, bogowie narodów i kult nacjonalizmu winny być strącone z tronu. Dobra jest miłość do własnego narodu, ale większa i lepsza jest miłość ludzkości. Kult narodowy stał się dziś bezprawiem, skoro nie wahał się zapalić pochodni takiej wojny. Pierwszy jest człowiek, a potem dopiero narodowość”.

Nie minęło wiele lat, kiedy bóg wojny napowrót zawładnął światem. Jan Karnowski już nie doświadczył okrucieństw II wojny światowej – zmarł 2 października 1939 roku w szpitalu w Wyrzysku. ■

Jan Kamowski

Krwawi wiön

1.

Òstawiłem slödë
dimiacą tã górã
we wërzasłë slepia
nie priskò mie skrami
zòdzew z piekła wzâtò.
Djadë dëch sã nie weseli,
bò wstec niemir cëskò Smãtk za mną,
Mòrë czòlgają sã przëczajoné
mòrzëc zamëszlają.
Prawie że sã rozwidniło,
znowù nadszedł zmrok
i zamrëczało –
i jak na wëblakłë plótna
padła cëniò czòrnò –
wiatër nimi szajstò,
jak czej szòtorami na òstrówkù.

2.

Chòcy wiernym płudzem zwrócòsz sczibë
pòtem zëgnòsz kòżdą cerniã,
nie ùceszã òka szladzi zybòcącë,
ani pełnò zòpòl
zniwem pònapchanò,
bò ten Smòk to zëzre,
nim tã rãkã sygniesz po te klosë.

3.

Jak czej przezgrzecha i pòsmiëwiskò Bòzë,
lezi òn tam westrzód drodżi;
òde wschòdu do zòchòdu
zeparł kãldun na sto tronach
i sto lëdóm nalòl bark
i zemstã w skamienialë serca.
Krew òn pije wòjowników
i lżë bialków liże jak czej rosã.
Żniwa zòlem zażëgané
zëzre jak czej òdżin na Sodomie.

Przeklãtò je niewòlnica zemia,
czedë Smòkù żniwa rodzy
i zlëgl biãlczì òsãdzony,
czedë „kãldunowi” na òfiarã płodzy.

4.

Gdze òn je ten swiãti Michòl,
co rôz Lucëpera na dół stracył?
a òn nie spòdl do pieczelny brómë,
leno zemiã szczapił pazurami.
Gdze òn je ten swiãti Jerzi,
co wej Smòkù juchã pùscyl?
a Smòk nie zdechl,
leno zgzużdżił sã w swim gòrzu
jaż sã grzebiën zacerwiënił.

5.

Zjachë jesz rôz na bialasym kòniu
jak to gòdka i tãż òbjawienië niese,
zjachë do nòs, niech sã lisnie
miecz twój swiãti!
Òdkrij twòrz, niech zadrzi swiat
przed parminiami.
Òd te widu spadnie òmòniënië
jak czej płachta lëdzom z òczu.
Zuchternosc i zemsta pùdã w kąt
jak czej żmije ùdeptané,
a sã zazybòcã tronë
ze krwi bùdowané,
i sã zamknã mërmë zwòdzëjòszów –
i Smòk padnie na grunt piekła,
jak czej òszalali wilk,
do studni wrzucony.
Trzasnie stalanné to jermzò,
kutë w stolimòwi kùzni.

6.

Spròwco, czemu wzywòsz Bòga,
naròz pòznanégò?
i chcesz nadżac jegò rzadë
zawiesëc mù płòszcz swój
splugawiony –
jak czej katu na remienia –
żebë drogã prosyl twòjim bòżkóm,
pòswiãcyl jesz na wòltòrzu
czòrnã krew
i czòrniészë jesz lżë?

7.

Pieczelnicë!
Prowòdnicë pióra
zapredany zemi –

w szatańszci òchëbie!
Wa sã spròwcë tegò mòru,
tegò mòrza krwi
i zòlewë ti lżawi.
Wa ju dòwno jak czej lopiön
wësusalë lëdzom krew
i mësłë dobré,
nauczelë òmòniënò
i ti wiarë przewrócony
w prawa mòc i òszukaństwo:
„Żebë Nòród Bòdzem bël
na tim swiece pòtãpionym,
wa mù ksãdzem bëlë
i gò wiecznie w gòrzcë mielë
pãkòle wa nienazarcy”.

8.

Lec do naju
ze zaklãti wispë,
ptòchù dòwno zabòczony!
Krew i serca wez tich nòostatnich,
co jesz dësżã na pùstkòwiach,
żebë w dludzim loce
skrzydła nie ùstałë.
A jak brzedzi mòdrë
nizi siebie ùzdrzisz
wëzi jezorów i bòrów,
nad zwònica
dżibczë pióra ùnies!
Przed tim szumem
ptactwò pòwërzasłë
jak czej przed ùkòzkã
w nòrt sã schòwie.
Przed tich skrzydlów
òblòwã w szërz rozpòstartã
zacemni sã sùnëce
za biòlégò dnia.
Pò tim szumie, pò ti cëni
pòznò cebie bidlòrz
kòle strzodë na pòsniù,
pòznają ce dzòtczi
do gromòdczi przëczupniãtë,
pòznò cebie kòždë serce,
chòcã òkò nigdë nie ùzdrzało.

9.

Òdnòwiã sã gòdla twòje
na brómach ju zardzewialë
i mdze tak, jak w bójce
ò pòwroce Grifa pòwiòdają:
Wińdã na wierch zwònë swiãtë
zazwòniã na przëwitanië,
na swòrzińszich gòrach wòjska
wstanã òbùdzonë.

WIELKA KSIĘGA PIEŚNI Z KASZUB

Rynkowe obyczaje na dobre zadomowiły się również w eleganckim świecie kultury. Każda mniej czy bardziej znacząca pozycja książkowa koniecznie musi teraz przechodzić przez ucho igielne

promocji. Na promocyjną biesiadę (z odrobiną alkoholu albo jedynie z soczkiem) przychodzą potencjalni czytelnicy, wydawcy, sponsorzy, adherenci autora i osoby z jego najbliższej rodzi-

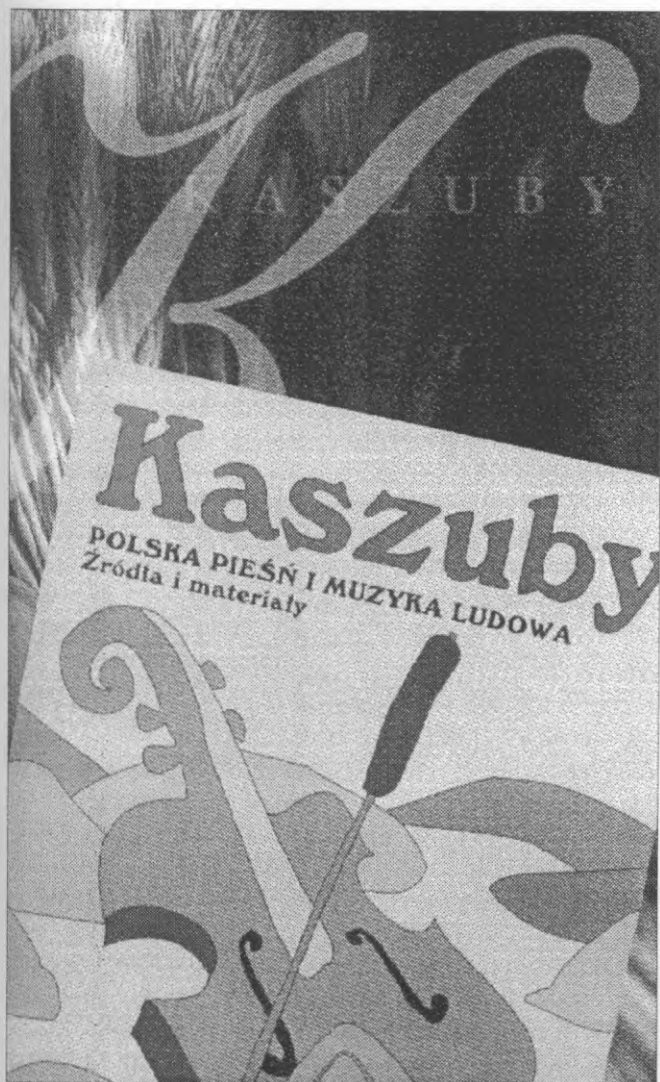
ny. Przy ad hoc zaimprovizowanym kramiku można nabyć rzeczoną pozycję, a później, po zakończonej prezentacji dzieła, którą powierza się zwykle specjalście, i po dyskusji, w tzw. części towarzyskiej nietrudno uzyskać autograf samego twórcy. Miły to obyczaj, choć na bardziej masowe czytelnictwo nie ma on zapewne wpływu.

Promocji doczekała się również pozycja, która swoimi walorami merytorycznymi zainteresowała przede wszystkim społeczność kaszubską. „Kaszuby. Polska pieśń i muzyka ludowa. Źródła i materiały” – takim tytułem opatrzone trzytomową, wielką księgę pieśni z Kaszub, autorstwa Ludwika Bielawskiego i Aurelii Mioduchowskiej. Wiadomo, że muzykę trzeba przeżywać, rozprawianie o niej, to zajęcie ekspertów. Niemniej warto zacytować kilka zdań z przedmowy do tego, chciałoby się rzec, arcyważnego dzieła: „Ten swoisty pomnik kultury regionu budowały pokolenia bezimiennych twórców i nosiciele tradycji. Ukazuje on praktycznie cały repertuar autentycznych śpiewów ludowych zadomowionych w regionie i utrwalonych w źródłach. Kaszubi odnajdą tu znane i zapomniane śpiewy, i zwyczaje, któ-

rymi żyli ich przodkowie. Wśród 400 zarejestrowanych imiennie wykonawców z 200 miejscowości, niejeden rozpozna twarze znajome i własne korzenie w lokalnej ojczyźnie”.

Organizatorzy promocyjnego spotkania – które odbyło się 25 lutego br. w gdańskim Ratuszu Staromiejskim – Instytut Sztuki PAN w Warszawie i Nadbałtyckie Centrum Kultury, dołożyli starań, by zaproszenia dotarły do wszystkich zainteresowanych tą tematyką środowisk i osób. I rzeczywiście, Salę Mieszczańską ratusza zapelnili członkowie i sympatycy Zrzeszenia, dziennikarze, etnografowie, ludzie profesjonalnie związani z kulturą, reprezentujący różne środowiska. Liczne było też grono kierowników, szefów i wykonawców poszczególnych zespołów pieśni i tańca z Kaszub i Kociewia. Folklor muzyczny, zebrany w księdze pieśni z Kaszub, stanowi archaiczny wzorzec, jakby lustro, w którym sztuka ludowa ogląda własną młodość. Zespołom dzisiejszym, które usiłują wpisać się w nurt tradycji, może ta księga służyć jako źródło inspiracji, ale takiej, która nie pęta swobody, indywidualnej wyobraźni i wynalazczości.

W tym właśnie duchu wypowiedzieli się autorzy opinii o książce, prof. Jerzy Bartmiński z Lublina i prof. Brunon Synak. W roli gospodarza spotkania wystąpił prof. Jerzy Samp, który m.in. odniósł się do stereotypowej opinii, długo funkcjonującej wśród badaczy pomorskiego folkloru: *Pomerania non cantat*. A jednak śpiewa! I to jak! Prof. B. Synak skupił się w swej wypowiedzi na kwestiach tożsamości regionu, której symbolicznym wyrazem była i jest nadal w znacznej mierze – muzyka, pieśń





Podczas promocji „Kaszub...” . Od lewej: Jerzy Samp, Jerzy Bartmiński i Ludwik Bielawski, w tyle członkowie zespołu Modraki

i taniec. Tradycja ożywiana przez następujące po sobie pokolenia znakomicie pogłębia poczucie bliskości. Dla prof. Bartmińskiego najważniejsze jest to, że księga pieśni z Kaszub w ogóle się ukazała. Zawiera ona kanon muzycznej kultury regionu. Niestety, folklor muzyczny w interpretacji kaszubskich zespołów w skali ocen prof. Bartmińskiego nie jest lokowany wysoko. Nie mieści się bowiem w typie ludowości, jakiemu hołdują m.in. jurorzy oceniający ludowe zespoły uczestniczące w festiwalu kazimierzowskim.

Dyskutanci odpowiadając recenzentowi dowodzili, że wszystko zależy od postawy estetycznej, jaką przyjmuje się wobec muzyki i pieśni, zawsze poddawanych pewnej styliza-

cji. „Sama księga – zakończył swe refleksje J. Bartmiński – jest osiągnięciem naukowym dużej miary. Posłuży ona za wzorzec, według którego opracujemy kulturę muzyczną regionu lubelskiego”.

Jako ostatni zabrał głos współautor książki, prof. Ludwik Bielawski. Zatrzymał się on przede wszystkim na genezie dzieła, które zaczęło się rodzić w połowie pięknych lat pięćdziesiątych. Po studiach muzykologicznych w Poznaniu Ludwik Bielawski, chojniczanin z pochodzenia, trafił do Instytutu Sztuki PAN w Warszawie. Jego pomorskie korzenie przesądziły o tym, że wraz z Aurelią Mioduchowską został przypisany do Pomorza z zadaniem spenetrowania i zewidencjonowania muzy-

cznego folkloru Kaszub. Praca w terenie i na miejscu – w Warszawie ciągnęła się z przerwami całe dziesięciolecie. Plon tych penetracji byłby znacznie uboższy, gdyby nie życzliwość i fachowa pomoc, jakiej działowi warszawskich badaczy nie skąpili kaszubscy twórcy, zarazem znawcy muzyczno-wokalnych skarbów Kaszub: Paweł Szefka, Jan Trepczyk i Jan Rompski. Udostępniali oni naukowcom swoje zbiory, ułatwiali nawiązywanie kontaktów z informatorami w terenie. Najcenniejsze wreszcie materiały wydobyte w końcu z instytutowych czeluści, dopiero teraz zostały opublikowane w trzatomowej edycji. Najlepiej byłoby, jak to sugerował jeden z dyskutantów, ażeby

wszystkie cassubiana, które znajdują się w Instytucie Sztuki PAN, trafiły do Gdańska.

Czym byłaby promocja książki pieśni z Kaszub bez oprawy muzyczno-wokalnej? Na pewno pięknym popisem erudyty. Ale to chyba nie wystarczyłoby, dlatego też zaproszono dwa zespoły, które, podobnie jak wiele innych na Kaszubach, potwierdzają, że swojska ludowa nuta tutaj nadal jest żywotna. Szacowny, bardziej archaiczny styl tej nuty reprezentował zespół Wdzydzanki, a wdzięk i urok młodości – Kaszubski Zespół Folklorystyczny Modraki z Parchowa. Już po prezentacji amatorzy słodkich wypieków mogli się rozkoszować smakiem rosochatych, kaszubskich sękaczy. ■

Polska Akademia Nauk – Instytut Sztuki: Polska pieśń i muzyka ludowa. Źródła i materiały. Redaktor Ludwik Bielawski. Tom 2. Ludwik Bielawski, Aurelia Mioduchowska, Kaszuby, cz. I. Pieśni obrzędowe, Warszawa 1997; cz. II, Pieśni powszechne, Warszawa 1998; cz. III, Pieśni powszechne i zawodowe, Warszawa 1998; Wyd. Instytut Sztuki PAN

Książkę można kupić, w cenie 60 zł, w Księgarni Naukowej przy ul. Łagiewników w Gdańsku

Jerzy Bartmiński

POMERANIA ŚPIEWA

Wydanie tomu „Kaszuby” w ambitnie zamierzonej serii PAN-owskiej „Polska pieśń i muzyka ludowa” stanowi wydarzenie nie tylko dla regionu pomorskiego, ale także dokonanie znaczące w dziejach polskiej folklorystyki.

Przede wszystkim, wbrew pokutującemu wciąż w Polsce stereotypowi Kaszub jako regionu niemuzycznego, każdy biorący do ręki jeden z trzech okazałych, po 300 stron liczących zeszytów tomu kaszubskiego, musi zmienić zdanie: *Pomerania cantat!* Po dokładniejszym wejrzeniu w zawartość całego wydawnictwa, czytelnik musi jeszcze wstępną konstatację rozszerzyć na czas przeszły, i dodać, że Pomorze nie tylko śpiewa i muzykuje w czasach nam współczesnych, ale śpiewało i muzykowało od czasów zamierzchłych. I od dawna, dokładniej – od początków XIX wieku, zaczęło się troszczyć o udokumentowanie swojej własnej tradycji muzycznej, pieśniowej, kulturowej. Sam repertuar pieśniowy Kaszub, zaprezentowany w wydanym tomie, nie jest uboższy od repertuaru innych regionów Polski.

Wydany tom godnie staje obok znakomitego 7-tomowego „Słownika gwar kaszubskich na tle kultury ludowej” ks. Bernarda Sychty (1967-1976) i ogromnego, 15-tomowego „Atlasu językowego kaszubszczyzny i dialektów sąsiednich” (1964-1978). Dzieła te łączy zainteresowanie dla żywego słowa, dla kaszubskiej gwary, pojmowanej jako idiom społeczny i kulturowy.

Tom „Kaszuby” stawia w centrum uwagi pieśń ludową – istotny składnik każdej kultury regionalnej. Pieśń to specyficzny, aktywny i dynamiczny gatunek artystyczny, należący do najbardziej tradycyjnego folkloru i do współczesnej kultury masowej, niosący pamięć przeszłości i wciąż przystosowywany do zmiennych okoliczności wykonywania i potrzeb aktualnych; nastawiony na efekty zewnętrzne, dźwiękowe, na bezpośredni odbiór przez in-

nych w czasie wykonywania, ale kryjący też w sobie intymną, emocjonalną wrażliwość nadawcy i pewną wizję świata i człowieka; gatunek osobisty i zarazem wspólnotowy, dobry na chwile samotności, ale dobry i na wspólne biesiadowanie; nadający się do wykonawstwa zbiorowego, pełniący funkcję integracyjną, a przez to ważny dla każdej wspólnoty.

Dzieło jest dokonaniem zbiorowym. Poza współautorami – Ludwikiem Bielawskim i Aurelią Mioduchowską – znaczący udział miały w nim zwłaszcza Janina Szymańska i Alina Ściebiora, a także liczni wymienieni z imienia i nazwiska zbieracze regionalni oraz pracownicy Instytutu Sztuki PAN w Warszawie. Jednak koncepcję całości ustalił i konsekwentnie przeprowadził jeden człowiek, prof. Ludwik Bielawski, redaktor całej serii „Polska pieśń i muzyka ludowa”, autor obszernego wstępu i redaktor strony muzycznej. Powiedzmy od razu – że ustalił i przeprowadził bardzo szczęśliwie.

Oczekiwałem wydania tego dzieła z pewną niecierpliwością, bo maszynopis został ukończony już bardzo dawno: recenzję wydawniczą tomu i rekomendację do wydania go napisałem dokładnie 12 lat temu, zaś pierwszy tom serii „Polska pieśń i muzyka ludowa”, określanej jako „Nowy Kolberg”, wyszedł jeszcze w roku 1974. Sądzę, że przerwa w wydawaniu serii i długie oczekiwanie na druk drugiego tomu były nieprzypadkowe. W czasach dominacji doktryny komunistycznej, centralistycznej, regionalizm – w tym także (a może zwłaszcza) kaszubski – traktowano z niechęcią i nieufnością. Niechęć ta jest przewyższana dopiero w nowych warunkach demokratycznej transformacji ustrojowej i zwycięstwa idei samorządnej Rzeczypospolitej. Regionalizm odkrywa od nowa swoje atrakcyjne, tym razem europejskie oblicze i ukazanie się „Kaszub” dobrze się wpisuje w klimat nowych czasów. Nie wątpię, że ożywi szacunek i miłość do lokalnej ojczyzny i znajdzie życzliwych odbiorców nie tylko w regionie pomorskim.

Co zawiera tom?

Przede wszystkim bogaty materiał dokumentujący repertuar muzyczno-tekstowy. Materiał ten jest podzielony na trzy nadrzędne grupy: obrzędowe, powszechne i zawodowe. Na niższym poziomie zaś wprowadza się dalsze podziały wedle „funkcji pieśni w obrzędzie (pieśni obrzędowe doroczne i rodzinne), tematu pieśni lub gatunku (pieśni powszechne) i związku z folklorem danej grupy zawodowej (pieśni zawodowe)”. Schemat prezentacji poszczególnych pieśni zawiera poza tekstem w zapisie półfonetycznym i melodią także objaśnienia form językowych i wykaz bibliograficzny wariantów tekstu w źródłach polskich i wybranych obcych, wraz z komentarzem dotyczącym wariantów wątku, w tym ich odpowiedników ogólnopolskich, niekiedy też obcojęzycznych. Podaje się też niekiedy uwagi dotyczące wykonania tekstu przez śpiewaka. Uwagi o typowym przyporządkowaniu tekstu do sytuacji obrzędowych i zwyczajowych są zawarte we

wstępie do całego zbioru. Jak widać już z tego, teksty otrzymały pełną oprawę edytorską, odpowiadającą współczesnym standardom w tej dziedzinie, a częściowo przewyższającą te standardy.

Na część wstępną (napisaną w zasadzie przez L. Bielawskiego) składa się „Przedmowa”, dająca ogólne spojrzenie na wydawnictwo i eksponująca rolę Aurelii Mioduchowskiej w jego przygotowaniu; obszernie zrelacjonowanie stanu badań i ich historii od wieku XVIII po okres PRL; prezentacja wykonawców ludowych (autorstwa Janiny Szymańskiej w oparciu o terenowe zapisy A. Mioduchowskiej, Jana Rompskiego i innych); nowatorskie studium poświęcone folklorowi w cyklu życia ludzkiego i w cyklu rocznym, nawiązujące do tzw. strefowej koncepcji czasu i wskazujące na nowe możliwości systematyki folkloru; opracowanie na temat specyfiki pieśni kaszubskiej oraz jej związku z folklorem Polski centralnej (ostatnia kwestia ma swój interesujący aspekt językowy, bowiem tradycyjny folklor pieśniowy na Kaszubach wyraźnie odbiegał od lokalnej gwary, ciążył ku polszczyźnie ogólnej); wreszcie studium na temat wykonawstwa pieśni, a także stosunku pieśni ludowych do pieśni popularnych i bardzo sensownie pomyślany „przegląd repertuaru pieśni ludowych” pióra Janiny Szymańskiej, dalej przegląd tańców i instrumentów; na koniec stosunkowo najbardziej tradycyjny rozdział „Charakterystyka gwar kaszubskich” (autorstwa Aliny Ściebory). Dodatkiem do całości, zgodnie z wymogami naukowymi, jest obszerny zestaw źródeł i literatura przedmiotu.

Nie będę tu dyskutować pewnych szczegółowych kwestii, związanych np. z ujmowaniem specyfiki poetyckiego języka pieśni ludowych (moim zdaniem, rację miał Friedrich Lorentz, pisząc we wstępie do „Pomoranisches Wörterbuch”, że już w pieśni kaszubskiej funkcjonuje swoista mowa artystyczna, Kunstsprache, a nie potoczna gwara – podobnie jest w pieśniach w innych regionach kraju), ani też zasadności przyjętej koncepcji morfologii tekstów pieśniowych. Do tych kwestii wrócę w innym miejscu, teraz chcę zastanowić się, co bezdyskusyjnie pozwala mówić o sukcesie naukowym. Przy tym jako „przybysz z głębi kraju”, dalekiego Lublina, staram się patrzeć na tom pieśni kaszubskich nie okiem regionalisty, lecz po prostu folklorysty, a więc niejako z perspektywy ogólnopolskiej. I nie ulega dla mnie wątpliwości, że opublikowanie „Kaszub” stanowi osiągnięcie naukowe tej miary, co ogłoszenie przed laty dwutomowego dzieła Juliana Krzyżanowskiego „Polska bajka ludowa w układzie systematycznym” (1962-3), czy wydanie 4-tomowej „Nowej księgi przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich”, opracowanej zespołowo pod red. J. Krzyżanowskiego w oparciu o dzieło Samuela Adalberga i wydanej w latach 1969-1978. Dzieła te stały się kamieniami milowymi w badaniach nad bajką i przysłowiem. „Kaszuby” stanowią kamień milowy w badaniach nad pieśnią ludową. Mimo odniesienia do repertuaru pieśniowego jednego regionu, tom „Kaszuby” ma rangę ogólnopolską. Co o tym stanowi? Kilka zasadniczych dokonań i nowatorskich rozwią-

zań wprowadzonych przez autorów. Wymienię kilka najważniejszych.

Kulturowość: pieśń w kontekście kultury

Pierwszy rys tomu „Kaszuby” rzucający się w oczy, to antropologiczne, a nie wąsko muzykologiczne podejście do materiału pieśniowego. Ta „wielka księga pieśni z Kaszub” – jak czytamy w „Przedmowie” – to „swoisty pomnik kultury regionu budowany przez pokolenia bezimennych twórców i nosicieli tradycji”, ukazujący „praktycznie cały repertuar autentycznych śpiewów ludowych zadowolonych w regionie i utrwalonych w źródłach”. Mamy w tomie 670 pieśni z ich wariantami i 82 melodie instrumentalne, również z wariantami, mamy opis tańców oraz instrumentów muzycznych, w tym takich jak bazuza, burczybas, diabelskie skrzypce, dudy, rogi i inne. Mamy znakomite opisy etnograficzne pokazujące, jak słowo i muzyka wpisywały się w obrzędy i praktyki domowe i doroczne, w życie codzienne i religijne. Ludwik Bielawski słusznie zrezygnował z proponowanego w tomie „kujawskim” podziału na część muzyczną i tekstową, wracając do integralnego opisu materiału, do modelu „kolbergowskiego”. Równocześnie „przebił” tamten model, wnosząc do opracowania nowoczesną świadomość metodologiczną, ukazując, jak pieśń funkcjonuje w kulturze, jak wiąże się z wierzeniami, praktykami, codziennością i – magią.

„Panchroniczność” i szacunek dla tradycji regionalnego zbieractwa

Autorzy opracowania zastosowali metodę „panchroniczną”, dążyli do ogarnięcia całego historycznego bogactwa repertuaru pieśniowego badanego regionu. Do zapisów nowszych, powojennych (głównie pochodzących z Akcji Zbierania Folkloru Muzycznego z lat 1950 – 1952) dołączyli materiały drukowane wcześniej, w wieku XIX i XX, wybierając z nich do swego zbioru po prostu to, co najlepsze. Dzięki temu nie tylko zasób pieśni znacznie się wzbogacił, ale też ocalono od zapomnienia niektóre zanikające elementy tradycji kaszubskiej, jak np. ścinanie kani. Dzięki uwzględnieniu danych starszych i nowszych, stworzona została pewna perspektywa historyczna, pokazano pewne tendencje rozwojowe repertuaru ludowego w tym regionie, a więc zanik jednych, ale też pojawianie się innych (m.in. pod wpływem działalności pisarzy regionalnych, takich jak Bernard Sychta). W tej historycznej perspektywie, możliwe się stało dokonywanie ocen współczesnego folklorizmu estradowego. Ocena ta wypadła negatywnie. Wedle opinii A. Mioduchowskiej, kaszubskie zespoły folklorystyczne zagubiły swoje korzenie, preferując raczej twórczość działaczy kulturalnych tego terenu niż autentyczny stary repertuar pieśniowy – choć – jak pisze wybitna folklorystka – „dawna pieśń ludowa istnieje na Kaszubach czysta, piękna, nieskażona”.

Ta opinia stanowi dobry komentarz do konfliktu, jaki powstał w latach 70. między jury Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą a ówczesnymi kierownikami zespołów kaszubskich, którzy niechęć do przedstawianego repertuaru odczytywali (niesłusznie) jako niechęć do regionu jako takiego i zrezygnowali z udziału w tej ważnej ogólnopolskiej imprezie.

Osobowość wykonawców

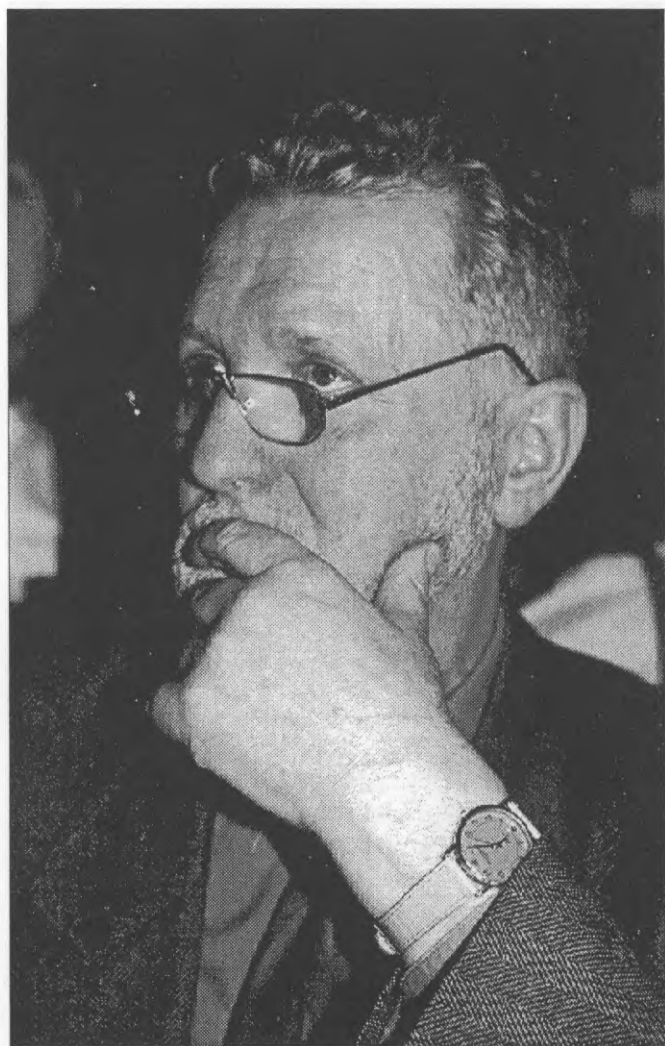
To dostrzeganie osobowości wykonawców, to trzecia, godna szczególnego podkreślenia nowość tomu kaszubskiego. Nie chodzi tylko o to, że zerwano z tradycyjną anonimowością wykonawców, że wymieniono ich po imieniu i nazwisku, bo samo podanie nazwisk nie załatwia sprawy, chodzi o to, że w osobnych biogramach pokazano drogę życiową 106 wykonawców, ich upodobania, repertuar, manery wykonawcze, ich osobowości, jeśli nie twórcze we właściwym sensie słowa, to w każdym razie ludzkie. Fragment w zeszycie pierwszym poświęcony wykonawcom jest jednym z najlepszych tomu „Kaszuby” i z pewnością zostanie dobrze przyjęty przez odbiorców i użytkowników książki.

Wkład autorów dzieła w systematykę pieśni

W polskiej folklorystyce dział pieśnioznawczy wyraźnie od pewnego czasu pozostawał w tyle za opracowaniami małych form ludowych i prozy ludowej. Myślę tu nie tylko o liczbie publikacji, ale przede wszystkim o niskim poziomie komentarzy i analiz. Słabością folklorystyki był brak systematyki pieśni, czemu próbował zaradzić w swoim czasie Julian Krzyżanowski. Jednak jego próby systematyki incipitowej nie powiodły się, inne zaś są słabo zaawansowane (myślę o systematyce deskryptorowej). „Kaszuby” stanowią pod tym względem przełom, wyznaczają nowy etap. Olbrzymia praca wykonana przez Aurelię Mioduchowską, polegająca na systematycznym zestawieniu danych bibliograficznych i wariantów dla każdej z 670 pieśni pomieszczonych w zbiorze, daje folklorystom do ręki znakomity przewodnik po nieprzebytej dotąd dżungli, stanie się on dla każdego zainteresowanego pieśniami ludowymi nieodzownym kompendium. Dla mnie osobiście i dla lubelskiego zespołu opracowującego „Słownik stereotypów i symboli ludowych” tom „Kaszuby” już na etapie udostępnienia nam wersji maszynopisowej, stał się najważniejszym punktem odniesienia przy badaniu wątków i motywów pieśniowych.

Klucz do poznania specyfiki pieśni kaszubskich

Uwzględnienie w komentarzach do pieśni publikacji dotyczących innych regionów Polski pozwala udzielić odpowiedzi na dręczące wszystkich regionalistów pytanie o to, co stanowi specyfikę regionu w porównaniu z innymi regionami? Jak repertuar regionalny, kaszubski, ma się do ogólnopolskiego? Co Kaszuby wyróżnia? W świetle podanej rozległej bibliografii wyraźnie rysują się bliskie po-



Jerzy Bartmiński

wiązania Kaszub z Polską centralną, folkloru kaszubskiego zwłaszcza z folklorem Wielkopolski (np. dominująca rola oracji w obrzędzie weselnym i in.), ale w pewnych typach pieśni także z folklorem Polski południowej (np. ballada „Pomorzanka, król i kat” okazuje się wariantem małopolskiej „Krakowianki, króla i kata” zapożyczoną z kolei z Czech). Ujawnia się – i to będzie dla wielu najciekawsze – swoistość repertuaru regionalnego: jest to np. pieśń „Hej żeglujże, żeglarzu”, spopularyzowana przez znakomite wykonawstwo Maryli Rodowicz. Osiągnięciem jest też stwierdzenie i udokumentowanie funkcjonowania na Kaszubach rzadkich już gdzie indziej pieśni, i to funkcjonowania w niezwykle pięknej postaci tekstowej (np. pieśń zaduszkowa nr 35 „W dzień zaduszny wiatr podwiewa”, pieśń o złym synu ukaranym piekłem, nr 80 i inne). Są to tylko niektóre korzyści podania tak bogatej bibliografii i opracowań poszczególnych wątków.

Chciałbym wierzyć, że wydanie „Kaszub” ożywi zainteresowanie folklorem pieśniowym małych ojczyzn lokalnych i regionalnych nie tylko na Pomorzu, że dla zespołów folklorystycznych i muzyków folkowych stanie się źródłem inspiracji – i że na następny tom serii „Polska pieśń i muzyka ludowa” nie będziemy czekali tak długo. ■

Ludwik Bielawski

GWIAZDKA WŚRÓD KASZUBÓW

Obiektywny opis pracy nad tomem „Kaszuby. Polska pieśń i muzyka ludowa – źródła i materiały” utrwalony jest we wstępie i posłowiu. Do podziękowań współautorom jeszcze powrócę. Wyjątkowość sytuacji spotkania wśród swoich skłania do zwierzeń bardziej osobistych, które częściowo wyjaśnia, jak dojrzewałem do podjęcia tematu i co on dla mnie znaczył. Splótł się z dziejami tej ziemi i smętnymi doświadczeniami mego pokolenia.

Rodzice moi pochodzili z południowych Kaszub. Do Chojnic, gdzie się urodziłem i gdzie wybudowali dom, przynieśli wiejskie zwyczaje i miejskie aspiracje. Matka dużo śpiewała, ale jej repertuar, zapewne ukształtowany na kursach nauczycielskich, stanowiły głównie pieśni popularne, narodowe i religijne. Starszy brat chodził na lekcje gry na skrzypcach, a ja uczyłem się gry na fortepianie. Trzecią klasę powszechną skończyłem, gdy wybuchła wojna. Ojciec zdążył nas wysłać do krewnych w głąb Polski, sam później ewakuował pocztę z Chojnic do Lwowa i w ten sposób uniknął śmierci, gdyż hitlerowcy rozstrzelali jego kolegów z poczty i brata, nauczyciela, krzewiciela tradycji kaszubskich. Matkę z sześciorokiem małych dzieci zapędziła zawierucha wojenna aż na Wołyń. Gdy Sowieci opanowali te ziemie i rozeszły się wieści o aresztowaniach i wywózkach Polaków, wracaliśmy przez zieloną granicę tam, skąd uciekaliśmy.

Niedługo po powrocie do Chojnic hitlerowcy zabrali nam dom i wyrzucili z mieszkania. Bez środków do życia przenieśliśmy się na wieś kaszubską, w Brusach i okolicach przyjmowali nas dziadkowie, krewni i znajomi krewnych. W domach powszechnie mówiono gwarą, ale w szkole, kościele, na ulicy obowiązywał oczywiście język niemiecki. Nie przypominam sobie z tych czasów żadnego wiejskiego wesela, doskonale pamiętam natomiast tradycyjny obrzęd pustych nocy, gdy w izbie przy otwartej trumnie ze zwłokami dziadka i gromnicami po boku, starsze osoby ze

wsii pod wodzą przewodnika śpiewały pogrzebowe pieśni, a ja próbowałem im wtórować.

Matce wydawało się, że nie mamy już nic do stracenia i nie podpisała volkslisty, myśląc zapewne, co by na to powiedział ojciec, gdyby wrócił po wojnie z wojskiem Andersa. Wciąż wierzyliśmy, że żyje. Gdy wywieziono nas do obozu w Potulicach, a mnie samego następnie do filii w Lisewie nad Drwęcą, gdzie kopaliśmy rowy strzeleckie, byłem znowu wśród Kaszubów. Jako najmłodszy w grupie sprawiedliwie dzieliłem przydziały żywności. Mieszkaliśmy w jurtach z dykty. Sypiałem na barłogu na ziemi obok starego Kaszuby. Nie skarżył się, ale widać było, że praca jest ponad jego siły. Pewnego ranka się nie obudził. Zabrało jego zwłoki i nikt nad grobem mu nie zaśpiewał.

Nadeszła Gwiazdka. Potrzeba tradycji świętowania musiała być wielka. Rowy kopaliśmy wówczas w pobliżu samotnej chałupiny. Udało mi się wymknąć spod kontroli wachmana. W chatce sprzedałem cywilne spodnie za pół dużego wiejskiego chleba. Gdy udało się go przemycić do obozu w wiązce drewna opałowego i minął paralizujący strach przed trafieniem do Strafkolonnie, gdzie ukraińscy gestapowcy bestialsko znęcali się nad więźniami, nastąpiła radość niesłychana, radość niemej Gwiazdki wśród Kaszubów, Gwiazdki w duszy tylko wyśpiewanej.

Po wyzwoleniu, jako ostatni z rodzeństwa, wróciłem do Chojnic. Dom był zajęty przez Rosjan. Rodzinę odnalazłem w pokoju u znajomych. Ojciec po przejściach w więzieniach i łagrach sowieckich rzeczywiście przeżył szlak wojenny z Andersem i długo bał się wracać z Anglii do Polski. Jedynym żywicielem rodziny był mój starszy brat, uczeń ślusarski. I znowu w trudnych czasach można było liczyć na pomoc na Kaszubach.

Trafiłem do Domu Dziecka Sióstr Franciszkanek, gdzie miałem wspaniałe warunki. Niezapomniana siostra Jolanta wprowadzała mnie w tajniki malarstwa. Moje umiejętności muzyczne wykorzystywano w programie wychowawczym. W nauce szkolnej, jak wielu po wojnie, byłem opóźniony. Nauczyciele walczyli z nawykami gwarowymi, bo pozbycie się ich stanowiło dopiero przepustkę do dojrzałości.

Z folklorem regionu jako problemem świadomie zetknąłem się biorąc udział w przedstawieniu szkolnym wesela kaszubskiego „Hanka się żeni” Bernarda Sychty. Przedstawienie przygotowała nauczycielka geografii, Iza Łukowicz, córka znanego chirurga, myśliciela i regionalisty chojnickiego. Jak później się przekonałem, podobną drogą regionalne pieśni i tańce poznawało wiele osób na Kaszubach. Uczniem byłem dobrym, a pianistą najlepszym w szkole, pełniłem też funkcję organisty w kościele gimnazjalnym. Przed maturą pytano nas, co chcemy studiować. Kiedy przyszła kolej na mnie, odpowiedziałem: „a ja to chciałbym jakąś specjalność”. Klasa wybuchnęła śmiechem. Nie byłem zdecydowany. Myślałem o astronomii, ale wyobraźnię moją pobudziła muzykologia, wiedza teoretyczna, filozoficzna i historyczna o muzyce. I rzeczywiście, bez problemu przyjęto mnie na muzykologię Uniwersytetu Poznańskiego. Były to czasy ogólnopolskiej Akcji Zbierania Folkloru Muzycznego. Powołano do życia ekipy terenowe, które wyszukiwały informatorów, a wozy transmisyjne Pol-

skiego Radia nagrywały pieśni i muzykę. Centrala była w Poznaniu. Dlaczego ekipę pomorską, z siedzibą najpierw w Gdańsku, a potem w Toruniu, pierwszą w Polsce, zlikwidowano, tego do dziś nie wiem. Jako student włączyłem się w akcje zbierania, transkrybowałem pieśni z nagrań z różnych regionów, zacząłem się specjalizować w etnografii muzycznej.

Byłem jedyny z Pomorza, toteż mi powierzono jako temat pracy magisterskiej opracowanie nie wydanej teki pomorskiej Oskara Kolberga. Ach, jak się rozradowałem, gdy zobaczyłem ręką Kolberga sporządzony szczegółowy opis podróży po Kaszubach.

Później jednak okazało się, niestety, że jest to tłumaczenie Kolberga wstępu do pracy rosyjskiego sławisty Hilferdinga, który tę podróż odbył. Kolberg natomiast prowadził badania głównie po prawej stronie Wisły, Kaszub dotyczyło zaledwie parę przykładów.

Po studiach, gdy przeniesiono centralę badań folklorystycznych do Warszawy, przenieśliem się i ja, i w Instytucie Sztuki pozostając do dziś. W Warszawie zorganizowaliśmy zespoły złożone z muzykologów i tekstologów do opracowania wybranych regionów. Było oczywiste, że ja powinienem zająć się Pomorzem. Nikt zresztą do tego się nie kwapił. W modzie była góralszczyzna, kurpiowszczyzna, regiony wschodnie. Aurelia Mioduchowska zgodziła się pracować ze mną i miała zająć się tekstami pieśni. Biedna Maryla, wierzyła zapewne, że zdąży również opracować folklor rodzinnej Lubelszczyzny. Przyjęliśmy bardzo ambitny program, który miał unowocześnić metody badań i konkurować z najlepszymi wzorami europejskiej folklorystyki, dobrze mi znanymi dzięki rozwiniętym kontaktom międzynarodowym. Maryla całe życie poświęciła realizacji programu. Nie dane jej było ujrzyć efektów. Zmarła w 1983 roku. Schorowana, w pośpiechu kończyła dzieło, które długo leżało na półkach. Nie było środków na publikację.

Dopiero w ostatnich latach dostępność komputerów sprawiła, że postanowiliśmy wydanie „Kaszub” wziąć we własne ręce. Cel był dwójaki. Chodziło nie tylko o przełamanie impasu wydawniczego, lecz także o skomputeryzowanie metod pracy naukowej. Uporaliśmy się z zapisem dialektologicznym, więcej problemów nastroczały zapisy muzyczne. Postanowiliśmy przede wszystkim włączyć melodie kaszubskie do elektronicznej bazy europejskich melodii ludowych. Bazę zainicjował Helmut Schaffrath z uniwersytetu w Essen, a po jego śmierci kontynuuje ją Ewa Dahlig w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie. Elektroniczna baza liczy już ponad 20 tysięcy rekordów, w tym 5 tysięcy polskich. Prace rozwijają się w kraju i za granicą, kolejny tom naszej serii dotyczyć będzie Warmii i Mazur, na Uniwersytecie Jagiellońskim powstaje baza staropolskich pieśni, licząca parę tysięcy pozycji.

„Kaszuby” są zapewne największą, źródłową publikacją folklorystyczną w świecie, udostępnianą równocześnie w formie elektronicznej. Fakt ten sprawia, że specjaliści już dyskutują o niej w Europie, Azji i Ameryce. „Kaszuby” są też największym przedsięwzięciem edytorskim zrealizowanym samodzielnie przez zespół folklorystów. Grupa entuzjastów kończących edycję „Kaszub” jest dziś z nami: Janina Szymańska współpracowała w ostatnich latach z Au-



Ludwik Bielawski

relią Mioduchowską, a po jej śmierci przejrziała całość, napisała część wstępów i opracowała indeksy. Krystyna Lesień-Płachecka uczestniczyła w pracach redakcyjnych i przeprowadziła korektę językową. Zbigniew Przerembski nadał melodiom ostateczną formę graficzną. Dział wydawniczy, reprezentowany przez Alicję Trojanowicz, pomnożył wielokrotnie nasze dzieło i opatrzył okładką projektu Wojciecha Markiewicza. Nie mogła nam towarzyszyć pani doc. Alina Ciebor, odpowiedzialna za redakcję dialektologiczną.

Prawdziwymi bohaterami dnia dzisiejszego są pokolenia Kaszubów, ciężko doświadczonych przez historię, nieufnych wobec obcych, tylko wybrańcom przekazujących w depozyt skarby własnej kultury, swe tradycyjne pieśni i tańce, obrzędy i zwyczaje. Dziś depozyt ten, utrwalony materialnie w wielkiej księdze, zwracamy prawowitym właścicielom. Zwracamy go współczesnym generacjom Kaszubów, którzy w samorządnej Polsce i jednoczącej się Europie mają szansę wzięcia swego losu we własne ręce. Wierzymy, że pamięć przeszłości ułatwi im mądre kształtowanie przyszłości.

Kaszuby różnią się od większości polskich regionów etnicznych. Formy starych, tradycyjnych obrzędów wymierały tu wcześniej niż w innych regionach, wyginęły w znacznym stopniu, zanim folklorysty zaczęli systematycznie

dokumentować folklor. Tradycje ludowe ożywił tu głównie świadomy swych celów ruch regionalny. Pod tym względem sytuacja jest tu bardziej podobna do tej, jaka panowała na przykład w Skandynawii, gdzie Kaszubi, biorąc pod uwagę sposób życia folkloru, czuli się u siebie, gdyby kontakty międzynarodowe były bardziej rozwinięte. Trudno natomiast znaleźć im uznanie na festiwalu folkloru w Kazimierzu Dolnym, gdzie z kolei świetnie się czują przedstawiciele bardziej zachowawczych regionów południowej i wschodniej Polski.

Mówiąc o Kaszubach, skłonni jesteśmy zapominać, że w istocie chodzi o żywych ludzi, z własną biografią, niepowtarzalną osobowością, znanych z imienia i nazwiska, reprezentujących swoje środowisko, ale przede wszystkim prezentujących siebie. To oni byli naszymi mentorami, im wyrażamy wdzięczność za spotkania, które nas wzbogacały. Ich sylwetki w miarę możliwości staraliśmy się utrwalić w publikacji, im i rodzinom składamy serdeczne dzięki. W tym kontekście warto przypomnieć współczesnego filozofa, Emmanuela Lévinasa, pochodzącego z sąsiedniego kraju nadbałtyckiego, który, nawiązując do mądrości etycznej Biblii uświadomił nam, że to twarz innego człowieka otwiera przed nami nieskończoność i jest źródłem transcendencji. Doświadczyć mógł tego każdy, kto miał szczęście nawiązać prawdziwy dialog z wykonawcami ludowymi w terenie, często, wydawałoby się, prostymi ludźmi, steranymi ciężką pracą na roli, kto mógł oglądać rozbłyski ich twarzy, gdy zwracali się z przeżyć swej młodości, ujawniali swój sposób odczuwania piękna i dobra, odkrywali świat sztuki ich życia.

Jeszcze raz dziękuję wszystkim bardzo serdecznie. ■

Tytuł pochodzi od redakcji



Od Kaszubów Ludwik Bielawski otrzymał ... „Alfabet kaszubski”

Brunon Synak

PIEKNA PIEŚŃ

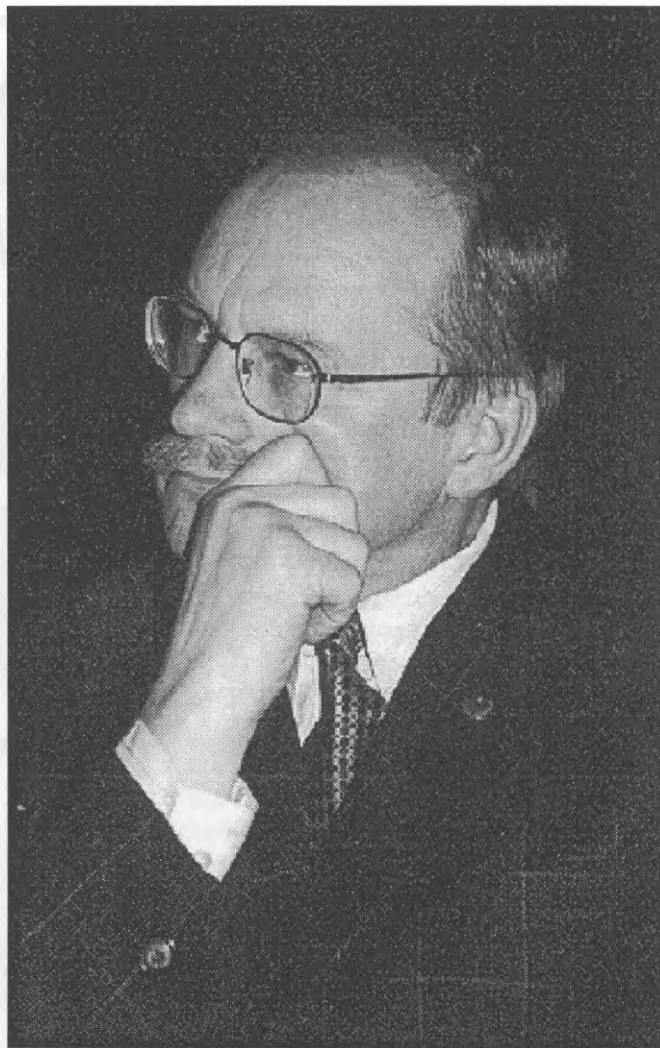
Niemало już napisano na temat dziedzictwa kulturowego Kaszub i Kaszubów, jednak wiedza o tym regionie i jego mieszkańcach nadal jest niepełna. Nie brakuje też uproszczonych sądów i stereotypowych wyobrażeń. Najbogatszym dorobkiem w ostatnich latach mogą pochwalić się językoznawcy, poszerza się i pogłębia wiedza historyczna, pojawiają się badania socjologiczne. Etnograficzne zainteresowanie Kaszubami ma szczególnie długą tradycję, i wiele już opracowań. Wśród autorów prac poświęconych różnym aspektom życia kulturowego Kaszubów, w tym także ich obrzędowości i pieśniom, wymienić można choćby takie znane postacie, jak Florian Ceynowa, Józef Łęgowski (Dr Nadmorski), Fryderyk Lorenz, Izidor Gulgowski, Jan Patock, Łucjan Kamiński, Bożena Stelmachowska, wśród powojennych zbieraczy i badaczy: Jan Rompski, Paweł Szeffa, a nade wszystko ks. Bernard Sychta.

„Wielka księga pieśni z Kaszub” Ludwika Bielawskiego i Aurelii Mioduchowskiej zajmie w tym szeregu pozycję czołową. Profesor Ludwik Bielawski, wybitny znawca muzyki ludowej w Polsce, oraz nieżyjąca już Aurelia Mioduchowska, prekursorka porównawczej analizy tekstowej pieśni kaszubskich, skrupulatnie wykorzystali cały niemal dotychczasowy dorobek w tej dziedzinie, łącząc go z bogatym materiałem zbierczym, zgromadzonym zwłaszcza na początku lat pięćdziesiątych w ramach Akcji Zbierania Folkloru Muzycznego przez ekipę pomorską (warto przypomnieć, że tą ostatnią kierowali, wymienieni już, znani Kaszubi – Paweł Szeffa i Jan Rompski). Dzięki temu ogromnemu, by nie rzec tytanicznemu, przedsięwzięciu autorów otrzymujemy dzieło niepowtarzalne w swojej skali, stopniu skrupulatności, profesjonalizmu i wierności materiałowej. Można powiedzieć, że jest to swego

rodzaju „Kaszubski Kolberg”, wypełniający zauważalną lukę w zakresie kultury kaszubskiej w dziełach wybitnego etnografa. Uznanie dla Ludwika Bielawskiego i Aurelii Mioduchowskiej jest tym większe, że troskę o wierność etnograficzną i obiektywizm analiz połączyli (co odczuwa się w wielu miejscach pracy) z życzliwym stosunkiem do kulturowego dorobku Kaszubów.

Autorzy zatrzymali w kadrze obraz świata kaszubskiego widzianego przez pryzmat pieśni i muzyki, który w tej formie w zasadzie już nie istnieje, a który kształtował się na przestrzeni mniej więcej 100 lat – pierwsze zapisy pochodzą z II połowy XIX w., ostatnie zaś z lat sześćdziesiątych obecnego stulecia. Przestrzenne ramy tego obrazu wyznacza zasięg kaszubszczyzny określony przez językoznawców, obejmujący z grubsza teren dzisiejszych powiatów kaszubskich województwa pomorskiego. Praca zawiera 752 utwory (pieśni i melodie), przedstawione zwykle w różnych wersjach językowo-tekstowych i melodycznych. Jest to, w moim przekonaniu, bardzo reprezentatywny zbiór pieśni i muzyki ludowej występujących na Kaszubach we wspomnianym okresie. Podkreślam – „występujących na Kaszubach”, a nie: „kaszubskich”. Utrwalone zostało bowiem wszystko, co wykonawcy znali i byli w stanie odtworzyć. Stąd ogromne zróżnicowanie pieśni i melodii, wiele odmienności i wersji językowych. Dobrze się stało, że autorzy starali się zachować maksymalną wierność utworów i ukazali – jakby to powiedziała A. Mioduchowska: „pieśń czystą, piękną, nieskażoną”, nie siląc się na nadanie jej jednolitej postaci językowej (jedyną przyjętą zasadą jest pisownia ortograficzna oraz wzbogacenie alfabetu szeregiem znaków dodatkowych, ułatwiających percepcję osobom bez przygotowania językoznawczego). Występujące różnice są bowiem nie tylko wynikiem indywidualnych zniekształceń czy wad wymowy informatorów, ale przede wszystkim odzwierciedlają odmienności dialektologiczne poszczególnych rejonów Kaszub, a nawet miejscowości. Dzięki takiemu sposobowi utrwalenia utworów, mamy do czynienia z nie fałszowaną rekonstrukcją folkloru muzycznego na Kaszubach – uzyskaliśmy obraz bardzo wierny, kompletny i wielobarwny, a jednocześnie czytelny i zrozumiały dla każdego odbiorcy.

W tym wielowymiarowym obrazie nietrudno dostrzec wielorakie wpływy kulturowe, wskazujące na podobieństwa i ścisły związek dziedzictwa kaszubskiego z dziedzictwem europejskim, słowiańskim, a zwłaszcza z kulturą różnych regionów naszego kraju. Pieśń jest tym elementem kultury ludowej, który zawsze najszybciej rozpowszechniał się. Działo się tak m.in. za sprawą marynarzy, osób powracających z wojska, rzemieślników zmieniających miejsca pracy, bardów, wędrowców i włóczęgów. „Nasza pieśń ludowa – pisał przed wojną znany Kaszuba Jan Patock – to ptak wędrowny: ani niebotyczne góry, ani szerokie rzeki, ani bezkresne morza zatrzymać jej nie mogą. Na skrzydłach melodii przelatuje swobodnie wszystkie, choćby największe zapory”. Niezależnie od uniwersalnego charakte-



Brunon Synak. Fotografie: Leonard Szmaglik

ru i silnego zintegrowania kaszubskiego folkloru muzycznego z folklorem polskim i całym zachodniosłowiańskim, zapisane pieśni wskazują na istotne odmienności regionalne i lokalne, na twórczy i oryginalny wkład Kaszubów i Pomorzan. Wybitny znawca folkloru muzycznego Wielkopolski i Kaszub Jan Patock pisał przed laty: „Główny zapis pieśni, ten, który Pomorzanie dzieli z całą Polską, został przez nich przekształcony tak znamienne, włożyli oni, zwłaszcza na Kaszubach, w jego przeistoczenie tyle twórczości własnej, że powstało z tego coś zupełnie oryginalnego, nasyconego na wskroś atmosferą tego właśnie kraju, umysłowością tego właśnie ludu”.

Szczególnie ważne jest, że sposób opracowania zebranych utworów daje niepowtarzalne możliwości przeprowadzania porównawczych analiz folkloru muzycznego na Kaszubach, zarówno w układzie diachronicznym, jak synchronicznym. Zawdzięczamy to nie tylko kilku zapisom tych samych utworów pochodzących z różnych miejscowości utrwalonych w różnych latach, ale przede wszystkim dodatkowym informacjom źródłowym podanym przy każdym utworze, odsyłającym czytelnika do źródeł wskazujących na podobieństwa danej pieśni, występujące w innych regionach czy nawet krajach. Ten porównawczy charakter

opracowania jest, w moim przekonaniu, jednym z największych walorów pracy.

Inną, trudną do przecenienia, zaletą tej książki, jest mocne osadzenie zebranego materiału w szerszej warstwie kulturowo-etnograficznej, a zwłaszcza ściśle powiązanie pieśni z kaszubską obrzędowością. Znajduje to wyraz zarówno w układzie strukturalnym pracy (odzwierciedlającym różne perspektywy czasowe człowieka), jak i w obszernej i ciekawej merytorycznej części wstępnej. W sumie czytelnik otrzymuje nie tylko interesujący materiał z zakresu folkloru muzycznego na Kaszubach na przestrzeni drugiej połowy poprzedniego i pierwszej połowy obecnego stulecia, ale także swoistą dokumentację życia społecznego, stosunków sąsiedzkich, rodzinnych, systemu wartości, wzorów zachowań itp. W prezentowanych pieśniach odnajdujemy też doświadczenia historyczne, stereotypy etniczne i narodowe, a także cechy osobowościowe, czy – szerzej – „stan kaszubskiej duszy”, z jej wyraźnie zaznaczającymi się cechami – religijnością, pracowitością, poszanowaniem rodziców, wiernością itp.

Można powiedzieć, że książka Bielawskiego i Mioduchowskiej ma przede wszystkim znaczenie historyczne. W ostatnich bowiem kilku dziesięcioleciach, a zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych, nastąpiły bardzo istotne zmiany w folklorze muzycznym na Kaszubach (podobnie jak w innych regionach). Książka ta uświadamia nam, z jednej strony, jak silnej erozji uległa muzyka ludowa na Kaszubach (podobnie jak w innych regionach), z drugiej zaś uwidoczniała, jak wielkie zmiany dokonały się w zakresie profesjonalizacji ujednolicenia tekstowego i językowego. Dzieje się tak zwłaszcza za sprawą renesansu kultury regionalnej, rozwoju zespołów folklorystycznych, nowych form społecznej nobilitacji kaszubszczyzny (np. nauczanie w szkołach, odprawianie mszy kaszubskich) oraz uzyskiwania przez nią statusu odrębnego języka. Trzeba dodać, że kwestia odrębności językowej Kaszubów była przedmiotem dyskusji w zasadzie od samego początku pojawienia się kaszubskiego regionalizmu i znajduje również swój wyraz w omawianej książce. Dlatego też stanowi ona doskonały punkt wyjścia do badań aktualnego stanu pieśni regionalnych na Kaszubach i śledzenia dalszych zmian pod tym względem.

Sumując, należy stwierdzić, że otrzymujemy opracowanie bardzo ciekawe, niezwykle bogate w żywy materiał etnograficzny, znakomicie poszerzające wiedzę o Kaszubach. Nikt, kto będzie zajmował się badaniem kaszubskiej kultury, książki tej nie może pominąć. Szczególną wartość ma ona dla samych Kaszubów, jako bogate źródło samowiedzy. Każdy mieszkaniec kaszubskiej ziemi odnajdzie w niej kawałek własnego świata, poczuje bliskość swoich stron, spotka znane osoby. Nie wyobrażam sobie, aby książka Ludwika Bielawskiego i Aurelii Mioduchowskiej nie znalazła się w każdej bibliotece szkolnej na Kaszubach jako podstawowa pozycja dla nauczycieli realizujących ścieżkę międzyprzedmiotową „dziedzictwo kulturowe i edukacja regionalna”.

Program wizyty Jana Pawła II na Pomorzu Nadwiślańskim

Gdańsk-Sopot

Sobota, 5 czerwca

- 11.30: przylot Ojca Świętego do Gdańska (lotnisko Rębiechowo)
- powitanie przez władze kościelne i państwowe
- przemówienie Ojca Świętego
- 12.30: przejazd do rezydencji metropolity gdańskiego w Oliwie
- 17.15: msza św. jubileuszowa z homilią na hipodromie w Sopocie
- 19.45: powrót do rezydencji metropolity gdańskiego

Niedziela, 6 czerwca

- 8.35: odlot do Pelplina

Pelplin

Niedziela, 6 czerwca

- 9.05: przylot
- 9.45: msza św. z homilią na Biskupiej Górze
- 12.00: modlitwa Anioł Pański i przemówienie Ojca Świętego
- 16.40: odlot do Elbląga

Elbląg

Niedziela, 6 czerwca

- 17.10: przylot
- 17.30: nabożeństwo czerwcowe i przemówienie Ojca Świętego na elbląskim lotnisku wojskowym
- 19.00: odlot do Lichenia

Bydgoszcz

Poniedziałek, 7 czerwca

- 9.45: przylot
- 10.00: msza św. z homilią na bydgoskim lotnisku wojskowym
- 13.15: odlot do Torunia

Toruń

Poniedziałek, 7 czerwca

- 13.35: przylot i przejazd do rezydencji biskupa toruńskiego przy ul. Łazienkiej
- 17.15: spotkanie z rektorami szkół wyższych z okazji rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika i przemówienie Ojca Świętego (Aula Wielka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika)
- 18.30: nabożeństwo czerwcowe i przemówienie Ojca Świętego na lotnisku Aeroklubu
- 20.00: odlot do Lichenia

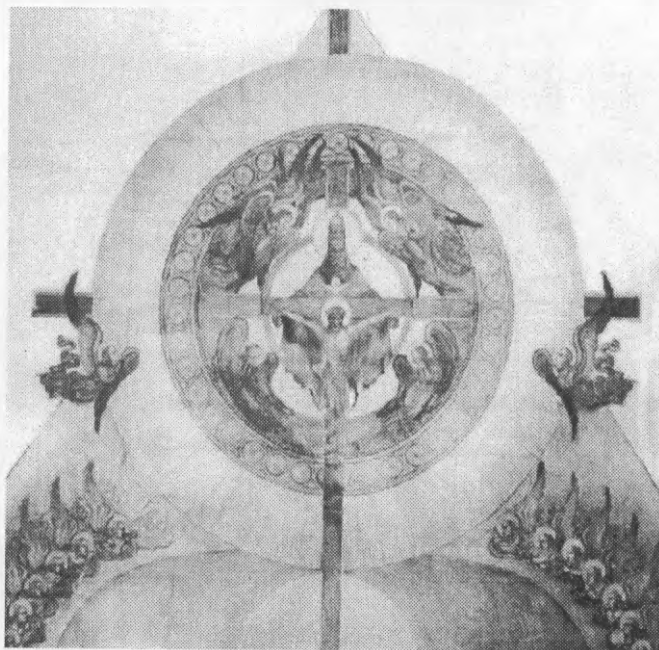
Już od jesieni ubiegłego roku trwają przygotowania do uroczystości, które odbędą się podczas wizyty apostolskiej Jana Pawła II 5 czerwca w Sopocie i dzień później w Pelplinie. Zarówno Kościół gdański jak i pelpliński, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oraz różne środowiska miłośników regionu pragną, by treści religijne wizyty Ojca Świętego na Pomorzu splotły się z elementami kulturowej specyfiki Kaszub i Kociewia.

Jak podkreślił podczas zorganizowanej 4 marca konferencji prasowej prezes Zrzeszenia Brunon Synak, tegoroczne powitanie papieża ma być szczególnym wyrazem wdzięczności za pamiętne słowa Jana Pawła II, wypowiedziane 11 czerwca 1987 roku w Gdyni: „Drodzy Bracia i Siostry Kaszubi! Strzeżcie tych wartości i tego dziedzictwa, które stanowi o Waszej tożsamości”.

Do Sopotu, jak poinformował wiceprezes ZKP Józef Borzyszkowski, przybędzie łodziami z Jastarni około 500 rybaków; będzie to nawiązanie do corocznych pielgrzymek łodziowych, z Półwyspu Helskiego na odpust św. Piotra i św. Pawła w Pucku.

Elementem artystycznym, oddającym ducha Pomorza, będą wkomponowane w ołtarz papieski w Sopocie krzyże, kapliczki i przydrożne świątki, wykonane przez kilkudziesięciu twórców ludowych z Kaszub, Kociewia, Krajny i Borów Tucholskich, symbolizujące kaszubskie drogi. Rzeźby, po zakończeniu wizyty papieskiej, mają

CZEKAMY NA PAPIEŻA



w większości wrócić do naturalnych dla nich środowisk.

Autorem projektu ołtarza, który stanie na Biskupiej Górze w Pelplinie, jest artysta plastyk z Sierakowic Jarosław Wójcik, twórca rzeźb sakralnych w wielu kościołach

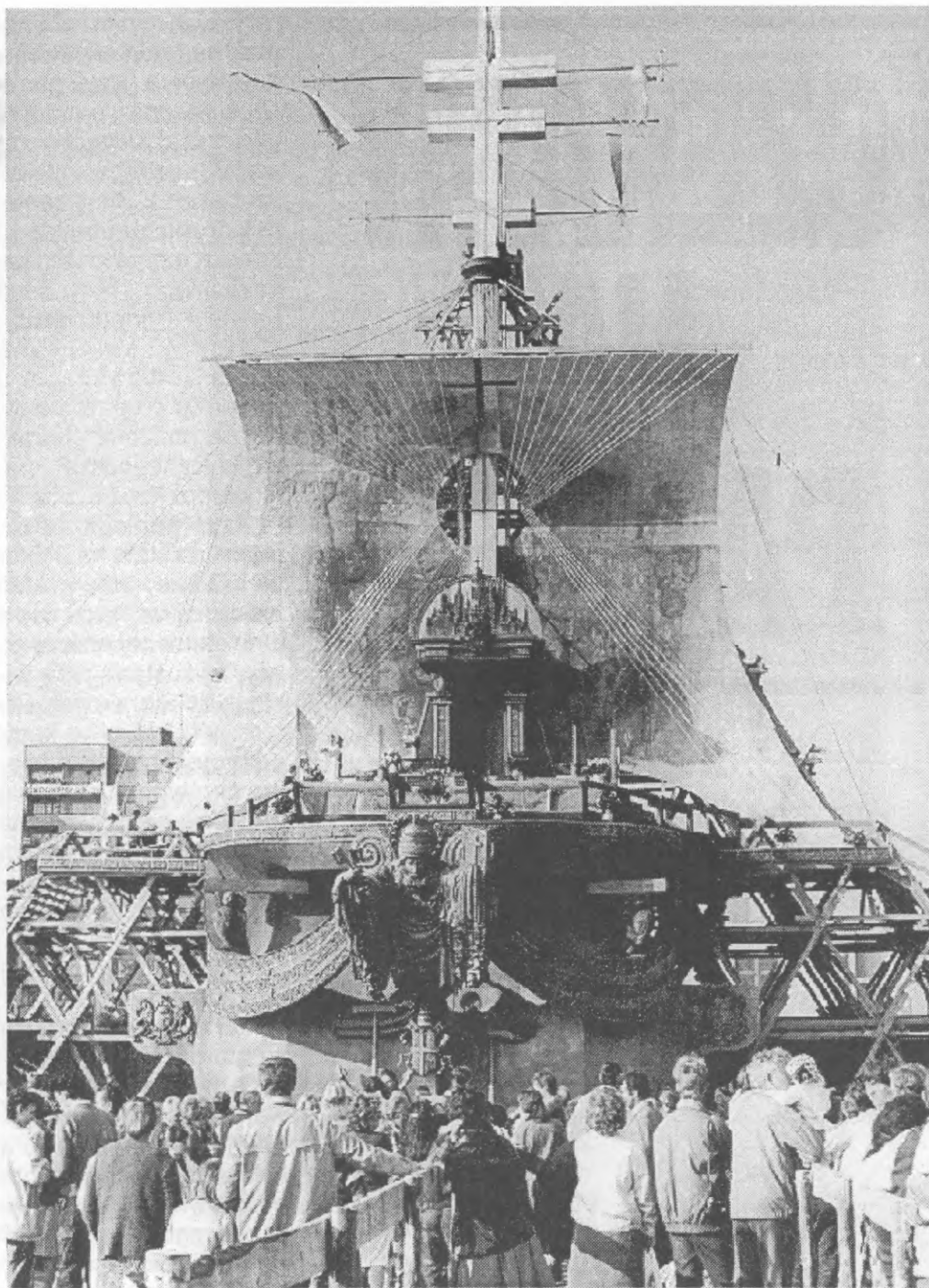
na Pomorzu. Jedną z głównych części ołtarza jest sieć (ze stali nierdzewnej), podtrzymywana przez dwa łabędzie, głęboko wpisane w pomorski krajobraz kulturowy i przyrodniczy. Niektóre części ołtarza artysta przyozdobił bardzo cha-

rakterystycznym dla naszej nadmorskiej krainy bursztynem (krzyż pasyjny, świeczniki, podpórka pod mszał z wygrawerowanym „alfabetem kaszubskim”). Białe zaplecek tronu papieskiego znaczą motywy haftu kaszubskiego i herb Jana Pawła II. Ponadto zakrycia ma być stylizowaną chatą kociewską, a u podnóża ołtarza zostaną zaznaczone charakterystyczne „oczka”, małe jeziora kaszubskie.

Krzyż papieski pozostanie na stałe na Biskupiej Górze, tron w kurii biskupiej w Pelplinie, a inne elementy ołtarza po wizycie zostaną przeniesione do Sierakowic. Ołtarz, włączony w kompozycję przestrzenną, ma zarówno upamiętnić papieską pielgrzymkę na Pomorze, jak i być wotum dziękczynnym gminy Sierakowice na 2000-lecie chrześcijaństwa.

Podczas tegorocznej pielgrzymki przewidziano koncerty kaszubskich zespołów folklorystycznych. Koncerty te, planowane na czas oczekiwania na Jana Pawła II, a także po zakończeniu mszy św. w Sopocie, mają być, zgodnie z zamysłem inicjatora występów, arcybiskupa gdańskiego Tadeusza Goćłowskiego, mocnym zaznaczeniem kaszubskości, podobnie jak swoją góralskość unaocznili Podhalanie w czasie ostatniej pielgrzymki papieża na Podkarpaciu.

Na występy zgłosiło się około 30 zespołów, czyli niemal wszystkie istniejące na Kaszubach i Pomorzu grupy taneczno-śpiewacze; razem połączone zespoły będą



Na przyjazd Jana Pawła II w 1987 roku do Gdańska artysta scenograf Marian Kołodziej zaprojektował nie tylko ołtarz, ale i cztery bramy powitalne, nawiązujące do wielowiekowej tradycji bram triumfalnych, stawianych przez gdańszczan na powitanie znamienitych gości, szczególnie zaś królów polskich.

Kołodziejowe dzieła odzwierciedlały legendarną i prawdziwą historię Gdańska, jego bogactwa i świetności. Genius loci miasta niepokornego i wolnego artysta wydobyl ze zróżnicowanej architektury, głęboko zakorzenionych tradycji mieszczańskich, morskich i kaszubskich.

Projekty, które w 1987 roku publicznie pojawiły się tylko na łamach naszego miesięcznika, nie doczekały się realizacji. Dziś, oczekując kolejnej wizyty papieża, przedstawiamy je raz jeszcze

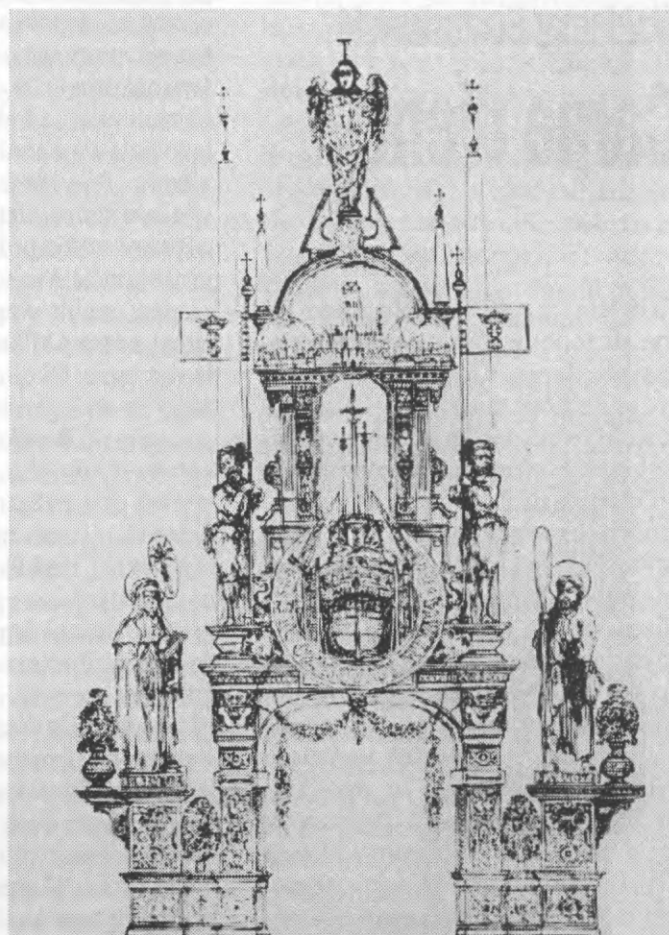
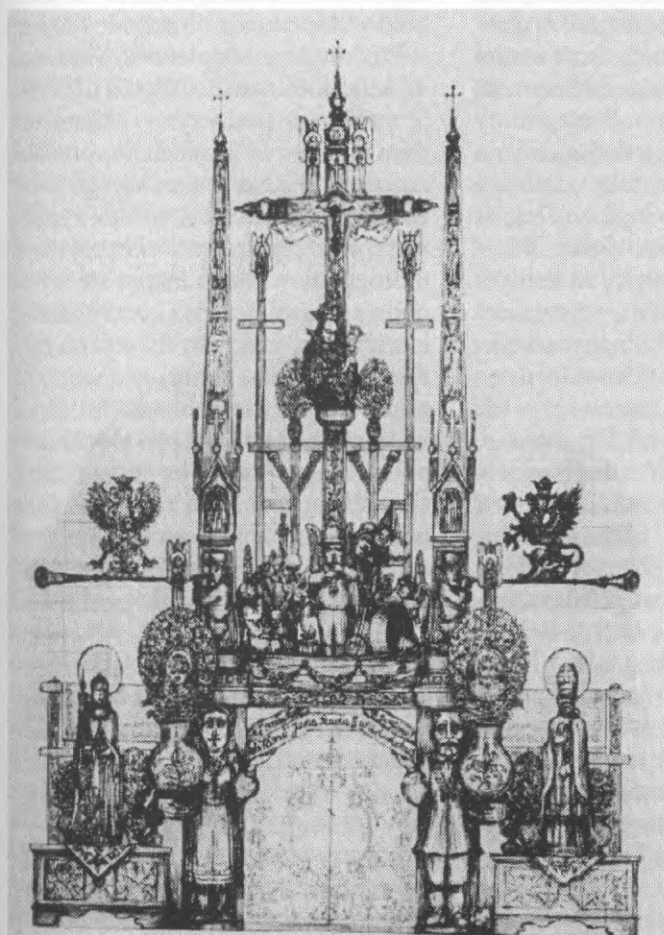
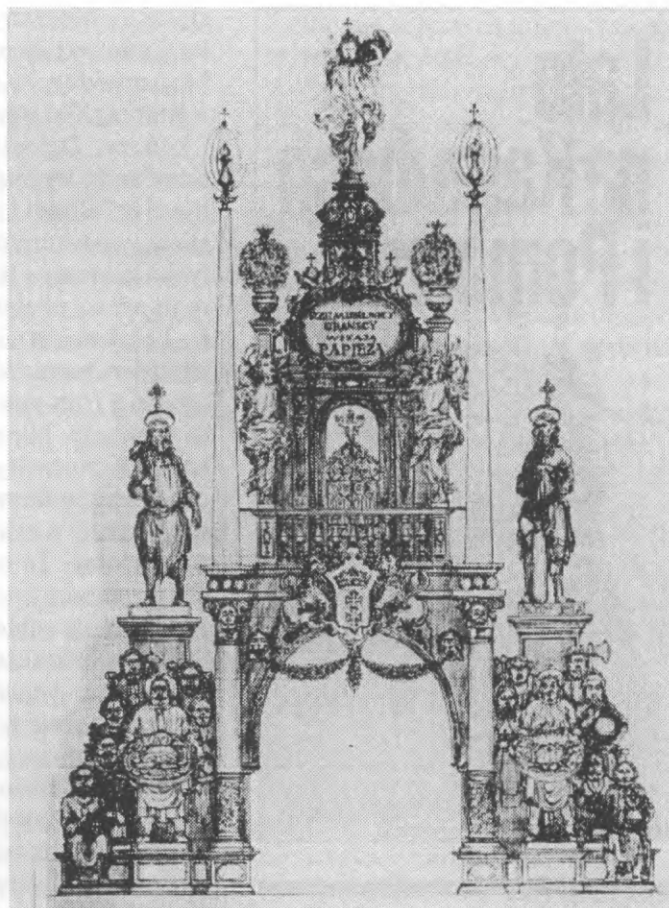
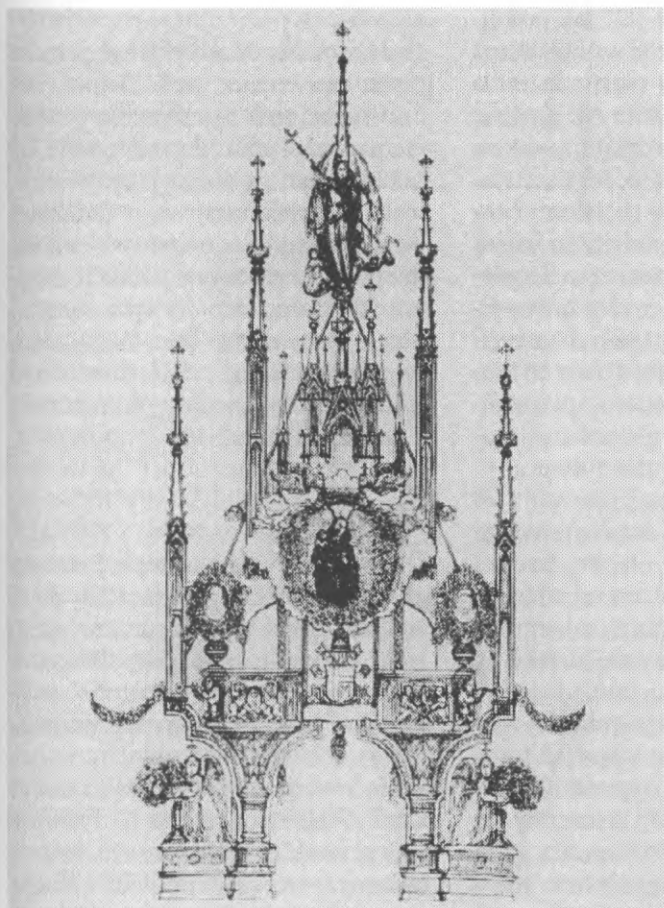
Fotografie: Alfons Klejna

liczyć ok. 800 osób. Głównym dyrygentem i autorem opracowania muzycznego jest Marian Wiśniewski z Bydgoszczy. Powołano także zespół koordynacyjny w składzie: Marek Czarnowski (Brusy), Franciszek Kwidziński (Kartuzy), Arkadiusz Goliński (Gdańsk). Przewidziano dwie główne próby dla grup zespołów z poszczególnych rejonów: w Brusach, Kartuzach i Wejherowie.

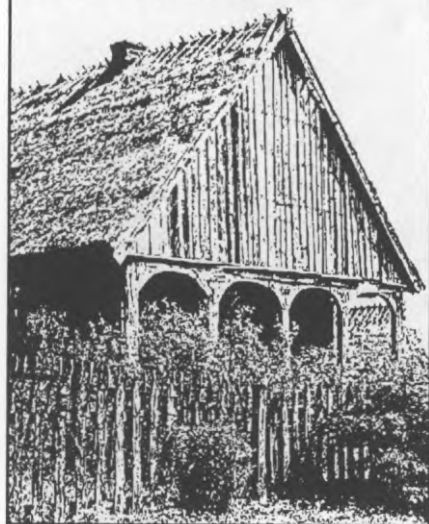
Na repertuar wielkiego chóru kaszubskiego złożą się utwory: „Barka” (muz. C. Gabarain, sł. ks. S. Schmidt, tłumaczenie: E. Gołąbek), „Hymn kaszubski” (muz. F. Nowowiejski, sł. H. Derdowski), „Zôrno Słowa” (muz. M. Wiśniewski, sł. S. Janke), „Matinkò Bòżò” (muz. W. Frankowska, sł. A. Nagel), „Hej mòrze”, „Zemia rodno”, „Kaszëbskò Królewò” (muz. i sł. J. Trepczyk); dodatkowo mogą być śpiewane: „Nie je ce żòł” (muz. i sł. A. Pepliński) i „Niebnò droga” (muz. W. Frankowska, sł. E. Pryczkowski).

Podczas uroczystych mszy św. papież otrzyma od Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego dary: w Sopocie – rzeźbę „Stolem”, wykonaną z bursztynu, srebra i czarnego dębu przez artystę plastyka Stanisława Podwysockiego oraz oprawiony w białą skórę modlitewnik kaszubski „Më trzimómë z Bògã”; w Pielinie między innymi kopię Madonny Szafkowej z Klonówki oraz ornat z haftem kaszubskim wykonany przez hafciarki z Tucholi.

s.j.



Lato na Kaszubach i Pomorzu



Waldemar Borzestowski
Carpe diem

Tu byłem szczęśliwy. Kolorowe zdjęcia, złożone w talie, tasuję i rozkładam przed sobą. Kiedyś potrafiła wróżyć przyszłość moja Mama. Nauczyła się stawiać perską kabałę podczas wojny, w bunkrze przeciwlotniczym w Gdańsku na Przeróbce. Angielskie i rosyjskie bomby gwizdząc spadały na stocznnię Schichaua, a ona pod ziemią pobierała nauki „czarnej magii”. Kiedy śmierć jak jaskółka wleciała do naszego domu na wzgórzach, Mama nie była tym zaskoczona. Od lat powtarzała: „umrę mając siedemdziesiąt dwa lata”. W swoich wróżbach była bardzo dokładna. Ja, rozkładając zdjęcia, spoglądam w przeszłość, przywołuję ją, wypełniam kolorem wspomnienia. To także wymaga specjalnych umiejętności, mam je w genach. Powracam więc do krainy mi-

stycznej. Moja myśl jest jak jaskółka. Znów jestem przed willą doktora Majkowskiego – to pierwsza fotka – Kartuzy. Tu wszystko zaczyna się i kończy. Dzieci wdrapują się po schodkach, trzymają się kutej, metalowej balustradki. Słynny Erem unosi się w powietrzu perlistym, barwa tynku jednoczy z barwą nieba. Dopiero teraz, na zdjęciu, widzę to w pełni. Ten dom jest niezwykle, przesiąkł atmosferą baśni. Wyjeżdżamy do Sianowskiej Huty autobusem z przystanku naprzeciw. Nie zamierzaliśmy szukać w Kartuzach domu autora „Życia i przygód Remusa”, dom pojawił się, wyszedł na nas zza rogu, wydał się znajomy. To on – pomyślałem i po raz pierwszy podczas tej podróży poczułem na sobie dotyk tajemnicy. Stało się. Wkraczamy na ścieżkę, w głąb zaczarowanego lasu. Autobus serpentyną drogi w mgnieniu oka wiezie nas na miejsce, autobus jak błyskawica. Wsiadamy i ogarnia nas zieleń. Przytykając oczy wznosimy się tak wysoko, jak tylko pozwala na to wyobraźnia, aby lepiej usłyszeć świergot ptaków, szelest liści. Trwamy tak urzeczni, dopóki nie przejeżdża obok nas pierwszy samochód, zaraz za nim świsnął drugi. To droga do Sianowa, Mirachowa, na Lębork. Przerывamy lewitację i zgrabnie zeskakujemy na ziemię. Przyjazna asfaltowa droga wiedzie nas najpierw lasem, dalej pagórkami wśród pól, ku wiosce. Witają nas krzyże. Wznoszą się na każdym niemal nagim wzgórzu, najczęściej jeden, czasem kilka. Robi to niezwykle wrażenie. Okolice te dawniej uważano za wylegarnię czarownic – tak napisano w „Bedekerze”. Czyżby więc krzyże miały chronić mieszkańców wioski opodal Sianowa i Staniszewa przed złymi mocami? Sianowska Huta jest mała, ma kilka charakterystycznych budynków – starą pruską szkołę z czerwonej cegły, niemal w każdej wsi na Pomorzu jest taka, piękny gmaszek, prawie dwór na wzgórku przy jeziorze, z datą 1914 zaznaczoną wyraźnie na frontonie, dwie rozwalające się ryglowe kaszubskie checze i nową remizę, obok której rozbito kilkadziesiąt namiotów. To oaza – młodzież, kilka zakonnic i księży. Są też w wiosce trzy kapliczki i dwa krzyże misyjne. Nasz domek zbudowano

za wsią, na podmokłej łące w pobliżu Jeziora bez Nazwy. Obok jeszcze niedawno kopano torf. Domek jest drewniany, zielony, z rzeźbionym bocianem na dachu. Za nim rośnie las sek mieszański, w nim są jagody i grzyby. Zaprzyjaźniamy się z domkiem powoli. Najpierw niepewnie rozkładamy swoje rzeczy na półkach, miejsc jest dużo, lecz my lękliwie grupujemy je w stertę. Taką mamy naturę, a jaka jest jego, czyli domku nad jeziorem? Czy ma duszę domek z bocianem na dachu?

Dzień drugi

O świcie przyglądam się z pomostu gospodarstwu za jeziorem. Biały dom, ten z datą 1914, wygląda uroczysto, obok, w tle, zabudowania gospodarcze z czerwonej cegły, na kamiennej, cyklopowej jak mury Tirynsu podmurówce. Z obory mali chłopcy wypędzają krowy, całe stado, kilkanaście sztuk. Wybiegają na łąkę. Przyjemny ziąb przenika mnie, odświeża. Jestem radosny, rozciągam ramiona i chwytam w nie wschodzące słońce. Słyszę krowy. Zapowiada się pogodny dzień.

Wędrowanie. Najpierw do Sianowa. To kilka kilometrów. Wśród pól czujemy się jak pielgrzymi. Mijani ludzie witają nas uśmiechem, przekazujemy sobie życzenie dobrego dnia. Czasami rozmawiamy krótko, życzliwie. Jak to pielgrzymi, wciąż pytamy o drogę, niby mamy mapę, ale wolimy się upewnić, a poza tym chcemy ich słuchać, nieznanym, wychodzącym naprzeciw, spoglądającym zza płotu. Chcemy ich poznać. Jesteśmy wyregulowani na odbiór. Obchodzimy kościół w Sianowie, przyglądamy się z bliska bocianom na gnieździe w pobliżu domu pielgrzyma. Skupieni wkraczamy do sanktuarium. Przekraczamy granice pewnej rzeczywistości. Odczuwamy to wyraźnie. Trwa msza. Od progu wita nas blask bijący od cudownej figurki. Niewiasta odziana w słońce wita nas łaskawym spojrzeniem. Kościół jest mały, ale w sam raz. W większym iskra świętości mogłaby zostać przytłoczona, wpaść w cień, a nawet zgasnąć, mimo tylu modlitw żarliwych wokół. Tutaj błyszczy, oświeca nasze oczy, wypełnia serca mocą. Jesteśmy. Mam ochotę pokiwać

dlonią na powitanie do Matki Boskiej i Syna. Spoglądają na nas życzliwie, wydają się bliscy, oczekujący naszej wizyty. Pogodne jest oblicze Marii, w pewnym sensie znajome, w pewnym sensie swojskie, a przecież jednocześnie pełne majestatu. Jak jednak nazwać ten majestat, który nie odrzuca, nie tłumii, nie zniechęca, lecz przywołuje, napelnia pokojem? Jezusek jest mały, Maria trzyma go w ramionach, tam na ołtarzu i wówczas, gdy on jest mały, Maria wydaje się być główną opoką przyszłego zbawienia ludzkości. Ta, co urodziła Boga, Boża rodzicielka. Zdejmuję plecak, naszą szafę z ubraniami i spiżarnię, kładę go obok na ławce. Przed nami, za nami wielu młodych. Modlą się, śpiewają klaszcząc. Rozglądamy się. Haft kaszubski zdobi liturgiczny strój kapłana, obrus przykrywający ołtarz. Z przyjemnością rozczytuję się w nim, teraz mądrzejszy dzięki obserwacji siebie i ziemi, z której pochodzi mój ród. W hafcie tym są wszystkie kolory tej niezwyklej krainy, ideogramy pojęć, pradawne, niemal runiczne znaki przekazywane z pokolenia w pokolenie. Odnajduję się w nich, blisko jest mi słońce, tak samo jak blisko było Prasłowianom umieszczającym jego symbol na popielnicach. Lubię żuki, które do naszego mieszkania na Garncarskiej latem wpadają co chwila przez okno, z kwiatów tulipany obdarzam najgorętszym uczuciem, bo są pysznie wiosenne, mocne, pachnące. W hafcie jest zieleń, żółć, niebieski, czerwony, kolory wymieszane w takich proporcjach jak teraz, latem widzę to wśród pól, lasów, nad jeziorami. Jest lipiec. Zbliżają się żniwa. Żłocisty jest kolor słońca, żłociste pola, to bogactwo natury wokół sprawia, że sami wewnętrznie czujemy się bogaci. Kościół w Sianowie spłonął dwukrotnie, ten, który teraz wznosi się nad jeziorem, otoczony cmentarnym murem, jest trzeci. Figurka kaszubskiej Madonny za każdym razem cudem uniknęła zagłady. Zaiste, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wokół dzieją się rzeczy nadzwyczajne. To miejsce kultu, do którego zmierzają pielgrzymki, zdaje się być obiektem ataków, ale czyich? Może czarownic? Czarcia Góra, inaczej Łyska, wznosi się dokładnie na

przeciw kościoła. W dawnych wiekach miały się tam odbywać sabaty. Postanawiamy zaraz po mszy wdrapać się na to wzniesienie. Złe kusi – mówią. Nas pokusiło.

Daremnie jednak usiłujemy wejść na tajemniczą górę. Broni się przed nami umiejętnie. Choć jej wierzchołek jest nagi, wokół niego, na stromych zboczach, wyrósł nieprzebyty gąszcz krzewów i pokrzyw, niżej wysoka trawa. W trawie ukrywają swoją niebezpieczną obecność zapadliska, osaczają nas z każdej strony. Zniechęceni oporem wycofujemy się. Rzeczywiście, na jej szczyt można się dostać tylko na miotle – mówi córka. Robimy zdjęcie, które po powrocie do Gdańska sprawi nam niespodziankę. Laboratorium Kodaka na Podmłyńskiej zatrzęsie się w posadach, zanim Czarcia Góra na fotce lekko usmalonej trafi do mych rąk. – Na przyszłość niech pan uprzedza o rodzaju fotek – uśmiecha się pan z laboratorium, gdy mówię mu, co zdjęcie przedstawia. Przyglądam się fotce, jest lekko prześwietlona. Widać wyraźnie Górę, a na jej zboczu, w trawie trzy postacie, kobiety – żona i córka – wznoszą ręce jak do lotu, syn między nimi, a przed nimi blask, niezwykajny, uderzający. Zarejestrowane na kliszy zostało zjawisko, którego nie dostrzegły nasze oczy. A więc Góra przemówiła. Przez chwilę byliśmy w jej mocy. Prawdziwy „Piknik pod Wiszącą Skalą”. Może gdybyśmy mieli ze sobą magnetofon, udałoby się zarejestrować muzykę, fletnię Pana. Powracając do Sianowa wciąż czujemy na sobie czyjś wzrok. Dziwne mrowienie przebiega mi po plecach. Tym razem idąc na skróty, docieramy w pobliże kościoła szybciej. To dziwne, myślę, że oba miejsca, tak różne, są blisko siebie; Sanktuarium Maryjne i Czarcia Góra. Czy wciąż toczy się tu między siłami dobra i zła bezpardonowa walka, o której zaświadczać mogą relacje o pożarach i zgłiszczach? Czy też może siły natury, czy, jak chcą słudzy kościoła, moce ciemności zostały ujarzmione na wiek wieków?

Wracamy przez pola tą samą drogą, którą przyszliśmy. Zmęczenie daje znać o sobie. Mija dzień. Słońce masuje nam barki. Docieramy do Sianowskiej Huty późnym popołudniem.

Piekielnie wyczerpani jemy kolację, myjemy się, ścielimy łóżka. Potem wychodzimy na werandę. Słońce jest już nisko nad horyzontem, promienie padają na Jezioro bez Nazwy z ukosa. Niewysokie fale połyskują niczym kryształowe okruchy rozbitego lustra. Jest pięknie. Po drugiej stronie jeziora, tam gdzie krótka, piaszczysta plaża, trwają przygotowania do ogniska. Słychać śpiew. Głos niesie się po wodzie, więc możemy powtarzać słowo po słowie pieśń o Chrystusie, w refrenie często pojawia się słowo „Alleluja!”. Brzmi uroczyście pod niebem, które staje się różowe, różowo-pomarańczowe, wreszcie czerwone, aby zgasnąć. Niebo śpiewające kolorami zmierzchu. W pewnym momencie naszą czujność budzą dziwne odgłosy za domkiem, słychać trzask łamanych gałęzi. Zaniepokojeni, ruszamy tam śpiesznie. Stajemy przerażeni. Horda młodych ludzi wyłamała niemal cały młodnik. To na kijki do pieczenia kiełbasy – tłumaczą. Działali, jak wszyscy barbarzyńcy w historii, spontanicznie, więc drzewka, które stawiały opór zostawiano nadłamane, łapiąc za rosnące po sąsiedzku w nadziei, że z nimi pójdzie łatwiej. Nie słyszeli ich krzyku, nie wzruszyła ich młodość dąbczaków, niewinność brzoź. Zwracamy im uwagę. Odchodzą ze śmiechem w inne miejsce. Jesteśmy zdenerwowani, zwłaszcza dzieci. To one ruszają pierwsze w kierunku plaży, gdzie płonie ognisko, skąd słychać „Alleluja!”. Żona idzie za nimi. Usiłuję ich zatrzymać. Pogardzą moją radą. Słusznie. Odcinam zniszczone gałęzie, porządkuję niczym ogrodnik naruszoną konstrukcję przydomowego raju. Łzy cisną mi się do oczu. Podążam powoli za rodziną, ich śladem. Już z daleka słyszę chichot młodzieży. Widzę, że dzieje się coś niedobrego. Młodzi księża przyjmują nas butnie. Przedstawiamy się, lecz oni nie chcą się przedstawić. Pozwalają, aby ich podopieczni obrażali nas bezkarnie. Padają pod naszym adresem wyzwiska, radzi się nam, abyśmy sobie poszli. Kiedy jeden z księży ostentacyjnie odwraca się do nas plecami, młodzież wiwatuje. Aplauz ten cieszy kapłanów, uskrzydla ich dowcip. Patrzą na nich i nie wiem co myśleć. Kim są,

przebierańcy? Ogarnia mnie smutek, mówię im o tym. Mają zabawę. – Dziękujemy za pouczenie. Spadaj. Z Bogiem – dowcipkują na pożegnanie. Odchodzimy przygnębieni. Po powrocie, na pomoście wypalam papierosa.

Nocą przyszła burza. Budzimy się, cztery osoby w dwóch łóżkach. Chyba jednocześnie. Jesteśmy bardziej zdziwieni niż przestraszeni. Oślepiająca jasność wkrada się nagle do naszego pokoiku, błyski pojawiają się wśród łąk i nikną. Niebo zdaje się być niżej niż zazwyczaj, huczy, dudni, jest ciężkie jak słoń, stado słoń przebiega po niebie, wysoko wznosząc trąby. Myślę z lękiem, jak Gallowie, że mogłoby nam spaść na głowy.

Wydani na łaskę i niełaskę piorunów znajdujemy się w stanie niepełnej świadomości. Podniebna wojna trwa kilka godzin, przewalają się nad naszym dachem fronty anielskie, diabelskie czy też jakieś inne. Grenadierzy repetują karabiny, oddają salwy, rusza konnica, iskry sypią się spod kopyt obficie, armaty wypływają z gardzieli pociski, mogące zabić naszego drewnianego bociana nieboraka. Właśnie zasypiam przytulony do poduszki, zmęczony niczym żołnierz w okopie podczas kanonady tak bardzo, że jest mu obojętne, co się wokół niego dzieje, kiedy wraży pocisk wpada do jeziora. Potężna eksplozja rozdziera powietrze. Wokół nas robi się jasno jak w dzień, albo jakby ktoś za oknem zapalił racę, taką, jakiej używa się na statkach sygnalizując zagrożenie. Trwa to ułamek sekundy. Potem ktoś z góry znów zarzuca na nas płaszczy ciemności. Nowe armie, które pojawiają się na niebie, zmieniają marszrute, jedne idą do przodu, drugie pośpiesznie rejterują. Krok za krokiem oddala się od nas miejsce walki. Odgłos werbli i fragoletów ginie za wzgórzami gdzieś obok Pomieczynskiej Huty. Powraca sen. Diabliki, które na czas burzy skryły się pod dach, wyglądają na świat Boży. Ryjki bagiennych stworków wychynęły z mroku, chwytając na nos krople deszczu. Pada aż do świtu. Łapię mój sen zanim zdoła uciec, wciskam go, popiskującego, pod poduszkę i zasypiam.

Dzień trzeci

Po całonocnej burzy z piorunami oaza zbiera swoje namioty, młodzież przygląda się nam wrogo, ale milczy. Na linkach rozwieszone powiewają dziesiątki ubrań, koce. Sprzęt, namioty suszą się na trawie. Wygląda to tak, jakby przeszedł tędy potop. Na skłonie wzgórza w kierunku remizy gniewna woda wyżłobiła głęboki rów. Czyżby Borowa Ciotka, opiekunka lasów, o której tyle opowiadają kaszubskie podania, postanowiła nauczyć ich moresu? Odwracamy głowy w słoneczną stronę. Unikamy ich spojrzeń. Usiłujemy zapomnieć o wczorajszym z nimi spotkaniu. Kiedy wracamy z naszej przechadzki do lasu, oazy już nie ma. Zniknęła, rozplynęła się w rozgrzanym powietrzu jak fatamorgana.

Podpatrujemy kamienie leżące w stertach na poboczach dróg, są różnej wielkości, barwy, przysiadamy na nich, ostrożnie wdrapujemy na szczyt, robimy im zdjęcia. To diabelski płon. Podobno wyrastają na polach jak ziemniaki. Jest ich mnóstwo w piaszczystej ziemi. W miejscach, gdzie po deszczu spływała woda, wychylały główki ku słońcu.

Mam przekonanie, że w poznawaniu świata wiele zależy od sposobu poruszania. Na ogół nie należy się spieszyć, mówi o tym także Pismo Święte ostrzegając, że „gubi drogę, kto biegnie zbyt szybko”. Wkraczając do lasu warto przypomnieć sobie scenariusz, nastrój „Snu nocy letniej”, a być może także wspomnieć sentencję jej autora, że „Gładka jest woda tam, gdzie strumień płynie głęboko”. Poszukując harmonii, wody głębokiej, zimnej, czystej, musimy być otwarci. Las jest domem, miejscem schronienia, przemieszczania pradawnych mocy, które w cieniu drzew czują się bezpieczne. Są lasy świetliste, wyłożone i wysrebrzone, śpiewające wesoło, roześmiane. Zbierając maliny czy jagody w takim lesie, czujesz na języku ich słodycz. Skaczesz niczym polny konik od krzewu do krzewu. Tu, tu! – wołasz współtowarzyszy wyprawy, zachwalasz wielkość jagód, mówisz – są jak wiśnie! Trafiasz także na miejsca groźne, przechodząc przezeń warto zewrzeć szeregi, przebiec truchtem podmokłe

ścieżki wśród bagnisk, gdzie komary ostrzą swój wilczy apetyt, a spotniałe oczy drzew błagają o litość. Strach jest strachliwy, boi się wesołości jak diabeł święconej wody. Pamiętaj o tym wędrowcze, gdy zobaczysz go przed sobą. Śmieję się, a szybko zjeździe ci z drogi. W lesie stapać należy inaczej niż w mieście, inaczej patrzeć, oddychać, właściwie to, aby dobrze się w nim czuć, trzeba zapomnieć o miejskich naukach. To warunek konieczny powrotu do raj. Świat natury jest nieufny wobec nas, którzyśmy go zdradzili.

Dzień czwarty

Zbieramy opał na pożegnalne ognisko. Dzieci przyniosły z pola miotłę, leżała na drodze polnej, spadła z trzonka. Do ogniska – śmieją się. Wysuszone witki dobrze się palą. Na miotłę upieczemy kielbasy. Skąd miotła na drodze wśród pól, w pobliżu naszego domku? Czyżby podczas ostatniej burzy przelatywały nad nami czarownice, te z Czarciej Góry? Zmierzcha, a więc powołujemy do życia ogień. Zaczynamy ostrożnie, coś tam płonie, coś tam pełga, chłód cofa się, my w kręgu ciepła czujemy się wspaniale. Kiedy robi się zupełnie ciemno, wilgoć osiada na trawie, ziąb staje się natarczywy. Coraz grubsze polana wędrują do ogniska. Zgłodniałe płomienie chwytają je. W koło słychać trzask, migają w powietrzu węgliki. Ogień bucha radośnie, jesteśmy bezpieczni. Jemy kielbasę, piję piwo. Rozglądamy się po świecie. Goreją nam twarze i oczy. Uczestniczymy w uczcie na skraju wielkiej nocy, Jeziora bez Nazwy. Kot sąsiadów przysiadła na kamieniu, którego siny grzbiet wynurza się z jeziornej toni. Z tej wyspy spogląda prosto w ogień. Zbliża się północ. Wśród ciemności jego oczy wpatrzone w ogień błyszczą niesamowicie, jakby ktoś w wodzie, zaraz pod powierzchnią zatopił dwie seledynowe żaróweczki. Potem, gdy ognisko zaczyna przygasać, opuszcza zręcznie swoje siedzisko i, żegnając się z nami, przechodzi obok nas, wyprężonym grzbietem ocierając się o nasze nogi. Im ciemniej na dole, tym jaśniej robi się tam, w górze. Niewiarygodna ilość gwiazd pojawia się nad

naszymi głowami. W mieście tego nie widać. Można by prawie sądzić, że gwiazd jest więcej niż przestrzeni granatowego nieba między nimi. Polyskując, różnią się między sobą rodzajem światła, niektóre są całkiem blade, inne goreją w przestrzeni niczym wulkany, są też takie, które polyskują w ciemni kosmosu nerwowo jak aparat fotograficzny fleszem. Obserwujemy także gwiazdy nieszczęśliwe, bez spadochronu rzucające się w objęcia zatury. Dwie przelatują nad nami, nad jeziorem, za las. Chciałbym tu wrócić – wyrażam życzenie. Podobno tak trzeba. Czy usłyszały?

Tej nocy śpię twardo. Słyszę jeszcze jak po dachu przebiega jakiś zwierzak, wiewiórka albo nasz znajomy, kot sąsiadów, czarniutki amator płomieni, miaukliwy sprzymierzeniec dziadka codziennie łowiącego płocie. Mój sen jest twardy jak sen zimowy drzewa. Rano budzę się mocny. Mimo to, a może właśnie dlatego chcę mi się płakać. A więc odjeżdżamy.

Dzień piąty

Ponownie w Kartuzach. Powrotna droga. Więcej czasu. Zwiedzanie. Kościół Wniebowzięcia NMP. Wnętrza. Zaglądamy do środka ze strachem. Uchylamy drzwi. Tak oto wygląda barok, jeżeli zedrzeć zeń pozłotę, wykraść szcudroblawy promień słońca ostatnim dniom września, październikowi, przedwcześnie wymieść z parkowych alei różnobarwne, opadłe liście klonu i kasztanowca, pozwolić, aby owoce: soczyste jabłka, słodkie gruszki, śliwki, zgniły na parterze, aby pleśń zielona pokryła młody chleb, który nie poznał noża. Straszne. Jak tu zimno, brrr. Ziab jest przyjacielem śmierci, a śmierć kończy zabawę. „Przeklinam śmierć, niesprawiedliwie jest nam dana” – napisał Miłosz. Wątpię, czy ten cytat spodobałby się kartuzom. Oni ze śmierci uczynili misterium. Gdyby pozostali tu do dziś, może obok browaru, słodowni i innych „interesów” prowadziliby także zakład fotograficzny. Czy ludzie przynosiliby tam do wywołania filmy, gdyby pojawiały się w prawym, dolnym rogu każdego zdjęcia, obok daty, sentencja przypominająca o przemijaniu – memento mori? Sopot, zdjęcie z wakacji, morze w tle,

plaża, my roześmiani i memento mori. Podczas urodzin, my i goście, okrągły stół w dużym pokoju, świeczki płoną na torcie i memento mori. Nie do zniesienia. Życie na cmentarzu. Listopad. Święto Umarłych. Gnijące liście. Szaruga. Błoto. Szybko zapadający zmierzch. Zimno. Anioł Śmierci z kosą w rękach bujający się nad wejściem do domu Bożego, wahadło klasztorного zegara, rach, ciach, rach, ciach bez końca. Żniwo. Co dziesiąty, co setny, co dwusetny nie dożyje następnej niedzieli. Ze ścian, z wysoka spoglądają na nas twarze umarłych dobrodziejów konwentu. Portrety mające zaświadczyć o ich pozycji i bogactwie ściemniały. Odeszli, a więc i my odejdziemy – mówi przewodnik sprzed wieków. Ten jest prawdziwie szczęśliwy, kto pozbył się nieznosnego brzemienia. Wlecemy za sobą cień śmierci, „cieniem się kładą dni nasze” – znów sentencja. Klasztor Kartuzów poraża jak spojrzenie węża, przykuwa do miejsca, sprawia, że czujemy się jak sparaliżowani w obliczu tego, co nieuchronne. Jest jak wytworna trumna czekająca na katafalku, aż pojawi się kondukt żałobników. Została porzucona, zapomniano już nawet, jak zwał się nieboszczyk, który w niej leży. Po wszechnie zaczyna się wątpić, żeby mógł to być ktoś stąd. Zbyt jest wielka ta trumna, ten kościół pradawny między dwoma jeziorami. W jej czarnych wnętrznościach ukrywa się gro- no świętych eremitów, których ciężko tak naprawdę odróżnić od dręczących ich diabłów. Mają twarze równie zapalczywe i złowieszcze. Praktyki codzienne jednych były wymyślnie okrutne i przerażające w takim samym stopniu, jak piekielne tortury drugich. Pierwsi byli masochistami, drudzy sadystami. Eremici z lubością umartwiali się, niszcząc swoje ciało i umysł. Odrzucali świat dany nam przez Boga. Żegnam ich z radością. Carpe diem, carpe diem! – krzyczy moje serce. Z radością też na zewnątrz odnajduję znajome niebieskie niebo, zielone drzewa, złote słońce i wszystkie swoje namiętności i demony, spośród których Gabriel Garcia Marquez wyróżnił w tytule do zbioru swoich opowiadań, szczególnie jednego – miłość.



Fot. Alfons Klejma

KAŁDUSKA ZAGADKA

Z zainteresowaniem przeczytałem dwa artykuły Dariusza Piaska („Pomerania” 1996, 1997) o wykopaliskach we wsi Kałdus w ziemi chełmińskiej. Pierwszy omawia wstępne rezultaty rozpoczętych w 1996 roku badań, drugi natomiast to wywiad z kierownikiem kałduskiej ekspedycji archeologicznej, doktorem Wojciechem Chudziakiem z Instytutu Archeologii i Etnologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Treść obu artykułów zdominowały fundamenty okazałej świątyni, odsłonięte na kałduskim ogromnym grodzisku, o powierzchni prawie 3 hektarów. Grodzis-

ko to leży w odległości 3 kilometrów na południowy zachód od Chełmna. Jego obecna nazwa: Góra Świętego Wawrzyńca, upamiętnia wezwanie małutkiej kaplicy, istniejącej na grodowym majdanie w XVII i XVIII wieku (jej ślady odsłonięto w 1957 r.). Grodzisko w Kałdusie uznawane jest powszechnie za pozostałość przedkrzyżackiego Chełmna – drewniano-ziemnej warowni z drugiej połowy X lub przełomu X i XI stulecia.

Zanim przed trzema laty doktor Chudziak rozpoczął systematyczne badania w Kałdusie, kopało tam wcześniej wie-

lu archeologów, wśród nich dzisiejszy profesor z Torunia, Andrzej Kola. Badacz ten już w 1973 roku natrafił na niewielki fragment kamiennego muru osobiwej budowli. To, co znalazł, uznał za relikwitu murowanego kościoła grodowego, zbudowanego na początku XI wieku i po dwustu latach zniszczonego wraz z piastowskim Chełmem przez pogańskich wojowników z pobliskich Prus. Dalszych prac poniechał, toteż jedno z największych odkryć polskiej archeologii XX wieku, wedle miary wyznaczonej przez odkrycie grodu kultury łużyckiej w pałuckim Biskupinie, trwale zostanie związane z nazwiskiem doktora Chudziaka. Wielostronnej prezentacji i ocenie wyników badań poświęcona będzie książka, którą doktor zamierza opublikować po zakończeniu kałduskich wykopalisk. Na dziś pozostają teksty w „Pomeranii”, niemniej i one, za sprawą ich autora i jego rozmówcy, dobrze orientują w materii zagadnienia.

Chodzi mianowicie o trójnawową, bezwieżową bazylikę, zakończoną od wschodu trzema półokrągłymi niszami ołtarzowymi, czyli absydami. Położono fundamenty, ale inwestycji najpewniej nie zdołano ukończyć. Do budowy użyto kamienia łamanego, z jakiego wzniesiono wczesnoromańskie budowle na Ostrowie Lednickim, w Gieczu, Poznaniu, Krakowie i Przemysłu. Kałduska świątynia miała blisko 40 metrów długości i 17 metrów szerokości, przy grubości murów dochodzącej do 2 metrów. Technika murarska oraz dane archeologiczne wskazują, że do prac budowlanych przystąpiono w pierwszej połowie XI stulecia. Swą wielkością i rozplanowaniem wnętrza świątynia ta odpowiadała jedenaściościanym kościołom katedralnym i klasztornym z terenu Wielkopolski, Śląska i ziemi krakowskiej (katedry w Poznaniu, Gnieźnie, Wrocławiu, Krakowie, kościoły opackie w Tyńcu i Mogilnie). Z racji samych tylko kosztów budowy, liczonych wówczas w tonach srebra, fundatorem obiektu musiał być jeden z ówczesnych władców naszego kraju: Bolesław Chrobry (992-1025), Mieszko II (1025-1034), bądź Kazimierz Odnowiciel (1034-1058).

Tak dużego kościoła z tak odległych czasów w Kałdusie nikt się nie spodziewał! To przecież najstarsza budow-



Gród w Kałdusie na tle grodów pogranicza Prus z ziemią chełmińską i Pomorzem Gdańskim na przełomie X i XI wieku (według Wojciecha Chudziaka). Rys. L. Łbik

ła murowana na całym Pomorzu i Mazowszu. Nie sposób precyzyjnie odtworzyć okoliczności budowy monumentalnej świątyni na majdanie peryferyjnego grodu, pełniącego straż na „gorącym” pograniczu państwa gnieźnieńskich Polan z ziemiami pogańskich Prusów. Trudno nawet snuć wiarygodne domysły na temat kto podjął trud inwestycji, kiedy, po co i dla kogo?

Na obecnym etapie badań doktor Chudziak opowiada się ostrożnie za biskupią katedrą, która mogła kontynuować krótki żywot katedry pomorskiej diecezji kołobrzeskiej, która upadła w najbliższych latach po roku 1000. Z czasem siedzibę biskupią miano przenieść z ziemi chełmińskiej na Kujawy, do Kruszwicy i Włocławka. Zwraca przy tym uwagę, że wczesnośredniowieczne Chełmno było bardzo ważnym węzłem drożnym, gdzie zbiegały się szlaki z południa (Małopolska, wschodnia Wielkopolska, Kujawy) nad Bałtyk oraz ze wschodu na zachód, z Rusi poprzez Mazowsze na Pomorze. U stóp wałów grodu i w jego niedalekim sąsiedztwie przebiegały też trakty z Wielkopolski i Kujaw do pruskiej Pomezanii (w okolicach Kwidzyna i Malborka). Sieć szlaków lądowych uzupełniała szeroko rozłana Wisła. Położenie na przecięciu dróg o dużym znaczeniu handlowym i strategicznym uwarunkowało rozwój grodowego Chełmna jako silnego ośrodka gospodarczego, politycznego (stolica kasztelanii) i, co za tym idzie, religijnego. Do dyskusji, która zapewne szybko nie umilknie, doktor Chudziak zaprasza nie tylko znawców architektury romańskiej, ale również historyków. Korzystając z zaproszenia, pragnę i ja wnieść do niej swoje trzy grosze. Może będą przydatne?

Na wstępie przywołać warto kronikę książąt polskich Anonima, zwane-go Gallem, z początku XII wieku. Czytamy tam, że za panowania Bolesława Chrobrego miała Polska aż dwóch metropolitów, czyli arcybiskupów, z podległymi im sufraganami, czyli biskupami. Jeden z tych metropolitów, jak powszechnie wiadomo, stał na czele ustanowionej w roku 1000 polskiej prowincji kościelnej. Rezydował w stołecznym Gnieźnie, skąd sprawował władzę duchowną nad diecezjalnymi biskupami z Kołobrzegu, Poznania,

Wrocławia i Krakowa. Długą listę gnieźnieńskich arcybiskupów otwiera Radzim-Gaudenty (zmarł po 1011 r.), czeski mnich z benedyktyńskiego klasztoru pod wezwaniem świętych Bonifacego i Aleksego na rzymskim Awentynie, przyrodni brat, towarzysz, a w roku 997 także świadek męczeńskiej śmierci pierwszego apostoła pogańskich Prusów, świętego Wojciecha.

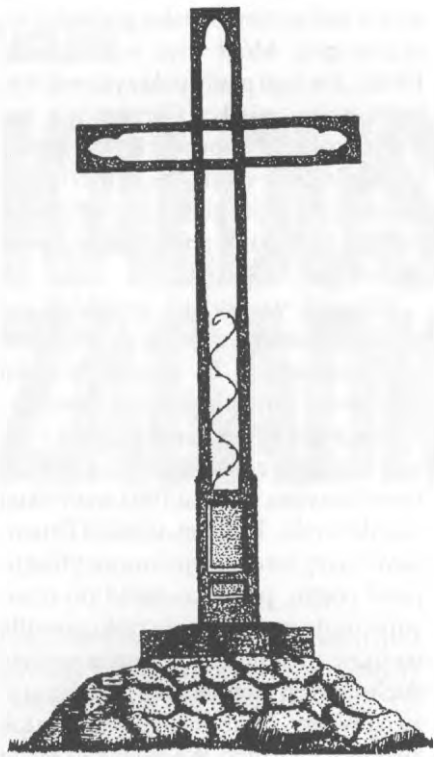
Drugiego metropolitę z Gallowej kroniki upatrywać należy w osobie Brunona (około 974-1009), potomka niemieckiego wielmoży z saskiego Kwerfurtu (Querfurt koło Halle). Dzieciństwo i wczesną młodość spędził przyszły metropolita w świetnej szkole przy katedrze w Magdeburgu, gdzie po zakończeniu nauki osiągnął godność miejscowego kanonika. Zdolny, energiczny i nadzwyczaj pobożny kanonik rychło został kapelanem młodego króla Niemiec, Italii i zarazem cesarza rzymskiego, Ottona III (983-1002), atoli w życiu dworskim nie gustował. W roku 998, gdy wspólnie z Ottonem znalazł się w murach Wiecznego Miasta, opuścił swego władcę i przywdział habit mni-si w słynnym naówczas klasztorze Świętych Bonifacego i Aleksego na Awentynie. Przyjął w nim zakonne imię Bonifacego. Niebawem jednak związał się z wielkim reformatorem życia zakonnego, pustelnikiem Romualdem z Camaldoli (późniejszym świętym), i zamieszkał w założonej przez niego pustelni Pereum koło Rawenny. Już wtedy zapewne zamierzał udać się z misją do Prus, śladami świętego Wojciecha, swego starszego kolegi ze szkolnej ławy w Magdeburgu i konfratry z klasztoru w Rzymie. Wierzył bowiem głęboko, że jedynie męczeńska śmierć za wiarę gładzi wszystkie grzechy i stanowi rękojmię pewności zbawienia.

Pierwsza sposobność ku temu nadarzyła się w roku 1001, kiedy z inicjatywy Brunona, walnie popartej przez Ottona III, wyruszyli do Polski dwaj pustelnicy z Pereum – Benedykt i Jan. Przyjęci gorąco przez Bolesława Chrobrego, osiedli w Międzyrzeczu nad Obrą bądź w Kaźmierzu pod Szamotułami. Bruno, złożwszy obietnicę, że do nich dołączy, pozostał na razie w Italii, by podjąć starania o uzyskanie formalnej zgody papieża Sylwestra II na prowadzenie akcji misyjnej wśród pogan. Uzyskał ją jesienią 1002 roku ra-

zem z paliuszem, oznaką godności arcybiskupiej. Mógł więc wyruszyć do Polski, ale jego plany pokrzyżował wybuch wojny między Chrobrym a nowym królem Niemiec Henrykiem II (1002-1024). Wojna ta, rozdzielana okresowymi rozejmami czy efemerycznymi traktatami pokojowymi, trwała w latach 1002-1018.

Wskutek wojennych powikłań nie zdołał dotrzeć na czas do swych włoskich konfratrów. Ci bowiem w roku 1003, wraz z trzema polskimi towarzyszami, ponieśli męczeńską śmierć z rąk żądnych łupu złoczyńców. Rychło ich kanonizowano. W roku 1004 arcybiskup magdeburski, Taginon, udzielił Brunonowi sakry jako misyjnemu arcybiskupowi pogan, przez co nabył on uprawnienie do wyświęcania biskupów dla terenów misyjnych. W towarzystwie duchownych niemieckich udał się zrazu na Węgry, gdzie głosił Ewangelię tak zwanym Czarnym Węgiem nad rzeką Cisą. Później spotykamy go na Rusi. W porozumieniu z kijowskim księciem Włodzimierzem Wielkim podjął wyprawę misyjną do czarnomorskich Pieczyngów. Wobec licznych nawróceń, wyświęcił dla nich biskupa, którego obarczył zadaniem kontynuowania zainicjowanej pracy. Być może już w latach 1005-1006 bawił w Polsce, na pewno zaś w roku 1008, gdyż wyświęcił i wysłał stąd biskupa do pogańskiej ciągle Szwecji, z Polski też wyruszył na ostatnią wyprawę. Podczas długich wędrówek wręcz nie wypuszczał pióra z ręki. Napisał „Żywot świętego Wojciecha” – i to w dwóch redakcjach: obszernej i skróconej – „Żywot Pięciu Braci Pustelników” – tych z Międzyrzecza lub Kaźmierza, wreszcie słynny „List do króla Henryka II”, w jakim podjął się roli mediatora w krwawym konflikcie polsko-niemieckim.

W pismach swych, zwłaszcza w „Liście”, sporo miejsca poświęcił charakterystyce swych stosunków z Bolesławem Chrobrym, którego szczerze podziwiał i uważał za osobistego przyjaciela. Do Henryka II napisał między innymi, że Bolesław chciał mu pomóc w dziele nawracania Prusów i postanowił przeznaczyć na ten cel wiele pieniędzy, lecz z powodu uwikłania w grzeszną nad wyraz wojnę nie ma obecnie czasu ani możliwości, by głębiej angażować się w działania misyjne.



Sześciometrowy krzyż nad jeziorem Niegocin koło Giżycka, postawiony w 1910 roku w domniemanym miejscu śmierci świętego Brunona z Kwerfurtu przez giżycką parafię ewangelicką

Niejedno jednak od księcia otrzymał. Jego krewniak i kolega ze szkoły w Magdeburgu, kronikarz i biskup merseburski Thietmar (975-1018), odnotował skrupulatnie, że Chrobry i możni dostojnicy księcia nie szczędzili Brunonowi hojnych darów, przy czym arcybiskup dzielił je między kościoły, ludzi ze swego otoczenia i ubogich, niczego dla siebie nie zatrzymując. Z kolei jeden z Brunonowych kapelanów, imieniem Wipert, który Polskę uważał za ojczyznę, stwierdził dostatecznie jasno, że to właśnie w naszym kraju mieścił się centralny, inaczej mówiąc katedralny ośrodek ogromnej, misyjnej metropolii, sięgającej od Skandynawii po północny brzeg Morza Czarnego.

Swe arcybiskupstwo i owczarnię opuścił Bruno zimą 1009 roku, gdy pruskie bagna i jeziora skula gruba warstwa lodu. Poszedł szukać upragnionego męczeństwa, jakie dotąd go omijało. Wątpić należy, by wyszedł z Wizny koło Łomży, jak sądzą niektórzy historycy, gdyż tamtejszy gród powstał dopiero w XII stuleciu. Towarzyszyło mu pięciu kapelanów: Tiemik, Aik, Hezich, Apich i poznany przez nas Wipert. Zrazu odnieśli duży sukces, bo udało

im się ochrzcić pruskiego „króla” imieniem Nethimer i grupę ludzi z jego otoczenia. Później jednak, zapewne w innych stronach, napadł na nich pewien „książę”. Brunonowi odrąbał głowę, czterech kapelanów powiesił, a piątego, Wiperta, oślepił. Tragedia rozegrała się 9 marca. Po jakimś czasie zwłoki męczenników, w tym szybko uznanego za świętego arcybiskupa, zostały wykupione przez Chrobrego. Jak powiada Wipert, nad ich grobami wzniesiono „monasteria”, co może oznaczać klasztory albo wysokiej rangi świątynie katedralne czy kolegiackie, skupiające wieloosobowe zespoły duchownych. Święty Piotr Damiani (1007-1072), autor napisanego około 1040 roku „Żywotu świętego Romualda”, mówi natomiast o jednym tylko kościele, postawionym nad mogiłą Romualdowego ucznia i towarzysza z włoskiego Pereum.

Nikt nie wie, gdzie Chrobry pochował Brunona i jego towarzyszy, gdzie przeto szukać trzeba kościoła czy kościołów, wzmiankowanych przez Wiperta i Piotra Damianiego? Z góry wykluczyć należy Gniezno i Poznań, bo tam cenne relikwie padłyby łupem Czechów, o których wiemy, że w roku 1038 wywieźli do Pragi ciała świętego Wojciecha, Radzima-Gaudentego i świętych Braci Pustelników. Miejsce pochówku lokowało się zatem poza stołecznymi grodami Polski Bolesława Chrobrego. Część relikwii świętego Brunona trafić mogła jako dar lub drogą sprzedaży do Kwerfurtu. W rodzinnym mieście misjonarza jego kult trwał bowiem do czasów reformacji, ogniskując się przy kolegiacie, jaką święty ufundował za swego życia. W Polsce natomiast kult ów zamarł najpóźniej w połowie XI stulecia, gdyż nie potwierdzają go najstarsze z zachowanych kalendarzy, pochodzące z lat panowania Kazimierza Odnowiciela. Pomijają one Brunona, znanego też ówczesnym pod zakonnym imieniem Bonifacy.

Upadek kultu wytłumaczyć można utratą relikwii. Coś takiego przydarzyło się Pięciu Braciom Pustelnikom po rabunku ich ciał przez Czechów, gdy w ciągu kilku dziesięcioleci zupełnie o nich w Polsce zapomniano. Kult Pięciu Braci odrodził się w naszym kraju dopiero w późnym średniowieczu, pod wpływem religijności czeskiej. Okazji

do zatrzymania Brunonowych relikwii wszak nie brakowało, zwłaszcza w latach 1030-1047, kiedy monarchią polską wstrząsały dramatyczne konflikty w rodzinie rządzących Piastów, bunt społeczny, antykościelne i polityczne, najazdy ruskie, niemieckie, czeskie, pomorskie i niewątpliwie pruskie. W liczbie grodów spustoszonych znalazła się również warownia chełmińska. Badania doktora Chudziaka ujawniły ślady jej zniszczenia i wyludnienia w drugiej ćwierci XI wieku. Odbudowano ją ponownie zasiedlono dopiero po kilkudziesięciu latach, u schyłku wymienionego stulecia.

Skojarzywszy dane archeologiczne z historycznymi, te zaś z faktami z życia i działalności misyjnego arcybiskupa pogan, świętego Brunona z Kwerfurtu, uznać można chełmiński gród w Kałdusie za okresową stolicę Brunonowej metropolii i siedzibę metropolitalnej kapituły. Blisko stąd było do granic Prus, blisko też do kujawskich i wielkopolskich centrów monarchii Chrobrego. Co więcej, arcybiskup i skupiony przy nim kler potrzebowali nie tylko dogodnej bazy do swych działań misyjnych, ale również stosownej archikatedry. Jeśli zaczęto ją wznosić za życia drugiego po świętym Wojciechu apostoła Prusów, to dzieło budowy przerwano być może na wieść o jego śmierci. Jeśli jednak świątynię zaczęto stawiać już po zgonie misjonarza, to wyznaczono jej zapewne rolę godnego mauzoleum grobowo-pielgrzymkowego dla czcigodnych relikwii arcybiskupa i zamęczonych z nim towarzyszy. Niewykluczone, że z grodu chełmińskiego zamierzano uczynić przy tej okazji stały ośrodek dalszych misji pruskich, do czego władców polskich obowiązywały niejako misje Wojciecha i Brunona, które głośnym echem odbiły się w całej Europie. Kryzys monarchii wczesnopiastowskiej pokrzyżował jednak zamierzenia. W przypadku pierwszej z przedstawionych możliwości fundatorem kałduskiej bazyliki mógł być jedynie Chrobry, w przypadku drugiej – w rachubę należałoby wziąć także osobę Mieszka II. Obaj władcy, ojciec i syn, cieszyli się przecież u swych współczesnych i potomnych sławą budowniczych licznych kościołów, protektorów duchowieństwa, obrońców i krzewicieli chrześcijaństwa. ■

Jerzy Treder

PREJS MRONGOWIUSZ I KASZUBY

Piotr Iwanowicz Prejs, rosyjski filolog, współtwórca słowianoznawstwa w Rosji; żył krótko w latach 1810-1846.

Urodził się w guberni pskowskiej, w rodzinie niemieckiego muzyka. Studia filologiczne ukończył na uniwersytecie w Petersburgu, gdzie został pierwszym profesorem katedry historii literatury i gramatyki porównawczej języków słowiańskich (1843). Wcześniej pracował jako nauczyciel w Dorpacie (Tartu) w Estonii. Wykłady na uniwersytecie rozpoczął dopiero po służbowych podróżach naukowych w latach 1839-42 (Polska, Niemcy, Czechy, Austria, Jugosławia), a miały one na celu pogłębienie znajomości słowianoznawstwa.

Miał naukowy talent i był ogromnie pracowity. Nieliczne prace zamieszczał przede wszystkim w „Czasopiśmie Ministerstwa Oświecenia”. Są to przeważnie sprawozdania z podróży (np. z Królewca i Pragi, 1840 r. czy Zagrzebia 1841 r.), rzadziej rozprawy, np. „O głągolskiej pismennosti” (współautor, 1856), „O poezji epicznej u Serbów”. Zostawił cenne uwagi o etymologii nazw słowiańskich bóstw i plemion, dawnym rozmieszczeniu Słowian na terenie Karpat i nad Dunajem, o związkach języków słowiańskich z pokrewnymi indoeuropejskimi, zwłaszcza z litewskim.

Na polecenie Carskiej Akademii Nauk w Petersburgu udał się na Kaszuby (1839), realizując m.in. dawne zainteresowania kanclerza i ministra oświaty, hr. M.P. Rumiancowa (1754-

1826) uwagami K.C. Mrongowiusza (1764-1855) o podobieństwach kaszubskiego z rosyjskim. Rumiancow w ogóle interesował się kulturą małych i mało znanych ludów. Jego list Mrongowiusz przedrukował we wstępie do swego słownika z 1835 roku.

Prejs w drodze na Kaszuby zatrzymał się w Królewcu, gdzie na początku stycznia 1839 roku rozmawiał z innym Rosjaninem – I.I. Srezniewskim, któremu surowa zima przeszkodziła w dotarciu tego roku na Kaszuby; musiał się zadowolić rozmowami z Kaszubami odbywającymi służbę wojskową w Berlinie i Wrocławiu, a także odpisem odkrytych w zgorzeleckim archiwum kaszubskich materiałów słownikowych po sorabiiście i slawiście K.G. Antonie (1751-1818), który z kolei otrzymał je w końcu XVIII

w. od pastora Ch.W. Hakena ze Słupska. Były to zatem materiały sprzed pół wieku.

Notabene, Srezniewski pozostawał w listownym kontakcie z F. Ceynową, który potem, na prośbę petersburskiej akademii, opiniował jego „Uwagi nad mową kaszubską”. Ceynowa nie tylko opatrzył je krytycznymi uwagami, ale, nie wiadomo dlaczego, przetłumaczył na kaszubski. To chyba pierwsza naukowa praca napisana po kaszubsku, niedokładnie wydrukowana w „Gryfie” (przez W.A. Francewa), jak to możemy dziś stwierdzić, porównując to z rękopisem (w posiadaniu prof. H. Popowskiej-Taborskiej) wydobyty z archiwalnej teczeki Srezniewskiego. Warto by ją wydać od nowa, najlepiej wraz ze znalezionym też przez H. Popowską-Taborską rękopiśmiennym słowniczkiem z 1850 roku „Eine kleine Sammlung kaschubischer Wörter, welche eine grössere Ähnlichkeit mit der russischen als mit der polnischen Sprache haben” („Mały słowniczek kaszubski wyrazów bliższych rosyjskiemu niż polskiemu”), od dawna uznanym za zaginiony. Wstępnie opisała go już H. Popowska-Taborska. Ma 1062 oddzielne hasła, a więc wcale nie jest taki mały. Ceynowa w ten sposób wchodził do historii slawistyki.

Oceniając rozprawkę Srezniewskiego, Ceynowa pominął jego „Kaszubski słowniczek”, sporządzony na podstawie materiałów Antona, napisał bowiem w „Mójich spóstrzeżenjach prze przezeranju wuvog Jsmaela Sreznjevskjeho nad mową Kaszebską” („Gryf” IV 1912 nr 4): „Antonov zbior słow tesz wópuszczaję, bó vkrotce zamiszlaję vedac całi słownjk kaszebski”. Otóż ostatnio w „Studiach z filologii polskiej i słowiańskiej” (t. 34, Warszawa 1998) A.D. Duliczenko opublikował ów „Kašebkij slovarik” z końca XVIII w., a H. Popowska-Taborska porównała go z oryginalną wersją rękopiśmienną, znajdującą się w Zgorzelcu, o której przed laty pisał F. Hinze („Studia z fil. pol. i słow.”, t. 5, 1965). Bardzo to ważne znaleziska dla początków badań mowy Kaszubów.

Prejs rezultaty swej naukowej podróży zawarł w raporcie „Donesenije P. Prejsa G. Ministru Narodnawo

Praswieszczenija, iz Berlina, ot 20 Ijunija 1840 goda" („Żurnal Ministerstwa Narodnawo Praswieszczenija", Petersburg 1840). Raport ten został dwukrotnie wydany po polsku. Raz pod tytułem „O narzeczu kaszubskim z raportu p. Preissa do Ministra Oświecenia Publicznego w Rossyi. Z Berlina 20. czerwca 1840 r. przesłanego" („Orędownik Naukowy" nr 26-27, 1843, Poznań), drugi raz wspólnie z dziełkiem Ceynowy, pod łącznym tytułem „Kile słow wó Kaszebach e jich zemi przez Wójkasena tudzież Rzecz o języku kaszubskim ze zdania sprawy Prajsa" (Kraków 1850), gdzie rozdział o języku kaszubskim („Ze zdania sprawy Prajsa do ministra oświecenia w Rosyi, z Berlina 20 czerwca 1840 r. przesłanego"), a w nim słowniczek około 255 wyrazów wziętych, jak się okazało niedawno, a zatem niemal po 150 latach, z rękopisu Mrongowiusza. Jego pełniejszą wersję odkrył Z. Szultka w archiwum szczecińskim (już wydana), natomiast „skróconą" z teczki Prejsa z archiwum w Petersburgu H. Popowska-Taborska, która opisała relacje między obu rękopisami. Tę petersburską mutację wyzyskał Prejs. Zawiera ona ponad 255 wyrazów, licząc osobno warianty słowotwórcze (np. *wieszczerzyca* i *wieszczerka*) i wyrazy w zdaniach, np. *ja mam ruchen dosc*. Niektóre wyrazy Mrongowiusza opuścił, np. *skarnia*, zastępując je wyrazami z innych źródeł, np. z tzw. Ojczenasz ze Szczenurza (pocz. XIX w.): *przyndź*, *wetpost* ‘odpuść’, *webaw*.

W wydaniu krakowskim – zawierającym mniej błędów i częściej potem wyzyskiwanym (np. przez F. Ceynowę i A. Hilferdinga) – interesująca jest przedmowa wydawcy (i tłumacza?) Ł. Łukaszewicza. Drukując ten „pierwszy owoc pióra kaszubskiego", tj. tekst Ceynowy, dodał on „pierwszą pracę naukową we względzie języka kaszubskiego" – sprawozdanie Prejsa. Wyzyskując jego wnioski, udzielił Kaszubom „braterskiej przestrogi": „Poczynającym pisać po kaszubsku ośmielać się jednak zalecić na przyszłość głębszą naukę języka polskiego jako konaru, którego kaszubski gałązką. W tak ważnym przedmiocie jak język igrać nie wolno, a widzimy się czyjekolwiek zawsze albo

śmieszne, albo zgubne. Naczelnym prawidłem dla pisarzy kaszubskich powinno być dążenie do jak największego zbliżenia się do języka polskiego".

K.W. Wójcicki, redaktor „Biblioteki Warszawskiej", folklorysta i parmiolog, historyk amator i współredaktor „Encyklopedii" Orgelbranda, który odwiedził Kaszuby, krytycznie ustosunkował się do sprawozdania Prejsa. Nie pojmując wniosków Rosjanina, dość zawile zresztą sformułowanych, pisał: „Zakończenie to nie daje jasnego pojęcia przedmiotu, bo jeżeli dialekt kaszubski (...) należy do języka polskiego (...), to już żadnych wątpliwości w tym względzie być nie może". Stwierdzenie Prejsa, że kaszubszczyzna „jest gałęzią mowy Lachów" wcześniej tak skomentował: „Z bardzo pewnego źródła wiadomo nam, że Mrongowiusz wcale nie podziela tego zdania, jakie mu Prejs podaje, owszem stale utrzymuje, że język kaszubski jest narzeczem polskim".

Prejs napisał w swym raporcie o pobycie w Gdańsku, m.in. u Mrongowiusza, o wiadomościach uzyskanych od niego czy od pastorów Marwicza i Borkowskiego (lapidarnie scharakteryzował ich Ceynowa w „Mójich spóstrzeżeniach") oraz „po wielkiej części (...) od samych Kaszubów", co już dość wątpliwe (ok. 30 wyrazów?). W. Pniewski w pierwszej monografii o Mrongowiuszu napisał: „Otrzymawszy potrzebne mu informacje, podążył teraz Prejs z listem polecającym Mrongowiusza do Łukaszewicza do Poznania, gdzie przez pewien czas pracował w Bibliotece Raczyńskich". Nie wiemy, kim bliżej był i co tam robił Łukaszewicz, który pojawia się już w kontekście Ceynowy. W bibliotece berlińskiej znalazł „mały zbiór wyrazów", czyli tzw. Ojczenasz ze Szczenurza „w języku Kaszubów" i katechizm z 1643 roku „w tém narzeczu", czyli M. Pontanusa, przy czym poznał jego drugie wydanie z 1752 roku, językowo całkowicie zmodernizowane (wyd. K.C. Mrongowiusza, Szczecin 1852 r.). Słowniczek Prejsa wykorzystał m.in. Hilferding, nadto znalazły się jego odpisy w rękopisach czeskiego sławisty Franciszka Czelakowskiego (J. Petr), które-

go wykładów słuchał Ceynowa we Wrocławiu, i niemieckiego teologa, i orientalisty Johanna G.L. Kosegar-tena (Z. Szultka).

A co Prejs stwierdził w odniesieniu do kaszubszczyzny? Otóż nie powiedział nic od siebie, lecz przejął od Mrongowiusza nie tylko materiały, ale też jego poglądy, które dzięki temu upowszechniły się w sławistyce wraz z nazwiskiem Prejsa. Na podstawie obserwacji kaszubskiego akcentu, wyrazów z zakończeniem *-iszcz* typu *ogniszcz* i np. wyrazów *szczezule* i *tanga* (ros. cheszują duga, raduga) Mrongowiusz spostrzegł, że ta „gałąź już konająca mowy słowiańskiej, wiele ma podobieństwa z językiem rosyjskim", ale nigdzie i nigdy nie utrzymywał, że istnieją między nimi silniejsze związki. Prejs skonstatował: „cały układ jego, cała budowa, przekonywają, że jest gałęzią mowy Lachów" i bliżej: „Dialekt kaszubski, jak dialekt Słowian nadbałtyckich należy bezsprzecznie do języka polskiego", a potem jeszcze: „Zdanie to moje zgadza się zupełnie ze zdaniem Mrongowiusza, który uważa Kaszubów jako szczątki Wendów, przejmując wyrażenie w tym znaczeniu, jakie do tego szczepu w północnych Niemczech przywiązują. Ci zaś, którzy bezwarunkowo Kaszubów do plemienia polskiego odnoszą, w ogóle tylko rzecz uważają i w tym stosunku mają słuszość bez wątpienia".

Ostatnie zdanie dowodzi, że Mrongowiusz dostrzegał oczywiście wielowiekowe wpływy języka polskiego na kaszubszczyznę, ale twierdził, że kaszubszczyzna jest częścią mowy staropomorskiej, „siostrą wendyjskiej", tj. Słowian nadbałtyckich, blisko związanej z połabskim; notabene, stąd też poszły późniejsze poglądy innego Rosjanina, Hilferdinga o mowie *laska*, tj. lechickiej. Jako filolog i poliglota zauważył niektóre cechy podobne między kaszubskim a rosyjskim, ale te potem niepomniernie zostały wyekspozowane przez zainteresowanie się Rosjan Kaszubami.

Choć Prejs powołuje się na Mrongowiusza (m.in. w słowniczku pod kilkoma hasłami), to nigdzie wyrażnie nie oświadczył, że wszystko jemu zawdzięcza, poza 30 (?) wyrazami i ewentualną możliwością osobistej we-

ryfikacji materiałów i sądów na Kaszubach. Wobec tego za „własność” Prejsa do niedawna uchodziły: 1. słowniczek ok. 255 wyrazów, w istocie Mrongowiusza; 2. pierwszy (krótki) naukowy opis kaszubszczyzny, w rzeczywistości całkowicie zbudowany na szczegółowych obserwacjach zawartych w powyższym słowniczku Mrongowiusza; 3. pogląd na miejsce kaszubszczyzny wśród języków słowiańskich, mianowicie, że posiada ona nieco cech bliższych z rosyjskim niż polskim, ale z polszczyzną wykazuje wiele podobieństw z powodu wielowiekowych wpływów („Ponieważ naukę religii prowadzili polscy nauczyciele i posługiwali się polskimi książkami”), jednak genetycznie jest ona „siostrą wendyjskiej”, tj. Słowian nadbałtyckich, bliska czy tożsama z wymarłą ostatecznie w XVIII w. połabską. Trzykrotnie zatem Prejs odebrał Mrongowiuszowi w sławistyce palmę pierwszeństwa! Na pewno głęboko to przeżył, zachowując jednak do końca życia na ten temat milczenie.

Dzięki Prejsowi charakterystyka ta utrwaliła się w nauce, w sławistyce. Zaaprobował ją wspomniany już wybitny autorytet Srezniewski, który miał potem naukowy wpływ na L. Malinowskiego, ucznia wielkiego słoweńskiego sławisty F. Miklosicha, cytującego w swym słowniku etymologicznym języków słowiańskich (1886) m.in. F. Ceynowę i A. Hilferdinga. Ten ostatni zweryfikował i pogłębił pogląd Mrongowiusza (w ujęciu Prejsa) po osobistych badaniach na Połabiu (1854) i na Kaszubach (1856), o czym napiszę później. Jak więc z tego widać, na przełomie XVIII i XIX w., a potem w latach dwudziestych i trzydziestych XIX w. istniało spore zainteresowanie problematyką kaszubską w świecie (Berlin, Petersburg, Wiedeń), jakby nieco wtórnie w Polsce (Gdańsk, Warszawa, Kraków).

(M.in. na podstawie następującej literatury: H. Popowska-Taborska „Dzieje kolejnych wydań kaszubskiego słownika P.I. Prejsa”, „Slavia Occ.” XL 1993; „Prejs Piotr Iwanowicz” (w:) O. Kolberga „Dzieła wszystkie”, t. 39. „Pomorze”; M.G. Bułachow „Wastocznoślawianskije jazykowiedy”. Bibliograficznojęzykowy słownik, t. 1, Minsk 1976) ■

Ewa Rogowska

Z kaszubskiego zielnika



Sasanka

W kwietniu i maju w naszych lasach i na niektórych łąkach kwitnie sasanka, w polskiej terminologii botanicznej zwana *sasanką zwyczajną*, a w łacińskiej *Pulsatilla vulgaris* Mill. Roślina ta w Polsce została objęta całkowitą ochroną, gdyż należy ona, niestety, do gatunków ginących. Ze względu na dekoracyjność liści i kwiatów często natomiast sadi się ją w ogrodach, zwłaszcza zaś w ogródkach skalnych, i tam teraz tę bylinę z silnie rozgałęzionym kłaczem, różyczką liści i kilkoma pojedynczymi łodyżkami zazwyczaj widzimy.

Delikatne, pierzaste, pocięte na wąziutkie łatki liście sasanki w okresie kwitnienia są niewielkie (mają około 1 cm długości), a rozwijają się całkowicie dopiero pod koniec lata; ich charakterystyczną cechą jest srebrzyste owłosienie. Owłosione są również łodyżki, początkowo mające od 5 do 20 cm wysokości, po przekwitnięciu dorastające nawet do 50 cm. Stopniowo zmienia się również kształt i barwa kwia-

tów sasanki: najpierw są one dzwonkowate i ciemnofioletowe, później miaseczkowato rozchylone i jasnofioletowe, czasami nawet białe. Niezależnie natomiast od barwy kwiatów, płatki na zewnętrznej stronie są zawsze filcowate. Zwracają też uwagę liczne żółte pręciki, krótsze od płatków.

Sasanka, jak większość roślin należących do rodziny jaskrowatych, jest rośliną trującą, jej ziele jednak uważano kiedyś w lecnictwie ludowym za środek uspokajający oraz uśmierzający bóle porodowe. Nalewkę spirytusową z ziele sasanki stosuje się też przy koklusz i bronchicie, a także do nacierania w bólach reumatycznych. Poza tym kompresy z odwaru ziele łagodzą objawy po ukąszeniu przez owady, a nacieranie sierzści zwierząt domowych sokiem z liści sasanki odstrasza owady i zabezpiecza przed pokąsaniem.

Mając tak charakterystyczny wygląd i dość liczne zastosowania, sasanka była i jest jedną z najlepiej rozpoznawanych roślin wiosennych. Świadczy o tym m.in. jej stosunkowo liczne nazwy.

W dawnej polszczyźnie roślina ta znana była jako *sasanka*, *sasane*, *sasanki*, *sne*, *sasanki rane*, ale też jako *zawilec* – pod tą ostatnią nazwą występował już wówczas również *zawilec gajowy* (łac. *Anemone nemurosa* L.). Polskie regionalne nazwy sasanki to m.in. *dzwoneczki łąkowe*, *czarne ziele*, *wietrznica*, *maczki zajęcze*, *sosenka*.

Kaszubskie słowniki rejestrują co najmniej cztery jej nazwy i wyrażenia: *grużdźelnica*, *marszewne zwonuszczi*, *szadé zwonuszczi* i *kurzé oczé*, a ponadto mogą się do niej odnosić dwie nazwy nadawane zazwyczaj fiołkowi: *jas-trowi kwiótk* i *proliszczk*.

Nazwę *grużdźelnica* 'sasanka łąkowa, *Pulsatilla pratensis* L.' zanotował na północy Kaszub – jako wychodzącą z użycia – w tomie swojego „Słownika gwar kaszubskich” ks. Sychta, co przejął od niego Friedhelm Hinze do IV tomu „Pomoransches Wörterbuch” i Jan Trepczyk do „Słownika polsko-kaszubskiego”. Rzeczownik *grużdźelnica* jest derywatem od czasownika *grużdźeć* *są*, znaczącego m.in. 'kurczyć się z zimna'. Od tego samego znaczenia tego czasownika zostały utworzone w kaszubszczyźnie także rzeczowniki *grużdźółka*, *grużdźańc*, *grużdźeła*, *gru-*

dżoch 'mężczyzna kurczący się z zimna, zmarzlak' i *grużdżelëca* 'kobieta, której zimno', też zanotowane przez Sychtę. Grużdżelnica to zatem etymologicznie 'zmarzluch', co świetnie pasuje do sasanki, której srebrzyście owłosione łodygi, liście odziomkowe i łodygowe, a także filcowate od zewnątrz płatki okwiatu nadają wygląd rośliny okutanej w ciepłe futerko. W polszczyźnie znane było nawet porównanie zmarznąć jak sasanek; użył go np. w jednym z listów Henryk Sienkiewicz, pisząc: „Zmarzłem jak sasanek i cały następny dzień musiałem poleżeć w mchu”.

Te same skojarzenia wykorzystała w swoim wierszu dla dzieci „Sasanka” Elżbieta Ostrowska:

– Czy ci czasem nie jest
chłodno wczesnym rankiem?
– zapytał raz motyl
liliową sasankę.

A sasanka na to:
– zimna się nie lękam.
Chroni mnie puchowa
srebrzysta sukienka.

Nazwa *grużdżelnica* ma zatem w odniesieniu do sasanki charakter metaforyczny.

Zestawienie *marszewné zwonuszczi* 'sasanka otwarta, *Pulsatilla patens* [L] Mill' jako północnokaszubskie zarejestrował Sychta (t. III), a za nim Hinze (t. III). Rzeczownik *zwonuszczi* tłumaczy się tu podobieństwem kwiatów sasanki, zwłaszcza we wczesnym stadium rozwoju, do dzwonka (nawet w pracach botanicznych określa się ich kształt jako „dzwonkowaty”), przy czym liczne żółte pręciki, krótsze od listków okwiatu, wyraźnie widoczne na tle fioletowych płatków, przypominają serce dzwonu. To podobieństwo zdecydowało również o powstaniu niemieckich nazw sasanki: *Schelle* i *Finger-Kuhschelle* / *Wiesen-Kuhschelle* (*Schelle* to 'dzwonek', a *Kuhschelle* to 'dzwonek zakładany na szyję krowom'),

z którymi nazwa kaszubska może pozostać w związku. Przymiotnik *marszewné* odnosi się natomiast do liści sasanki, rzeczywiście uderzająco podobnych do natki marchwi.

Zestawienie *szadé zwonuszczi* 'sasanka otwarta, *Pulsatilla patens* [L] Mill' podał z Puckiego ks. Sychta (t. V), a za nim dwukrotnie Hinze (t. III i IV). Przymiotnik *szadé* określa tu w przybliżeniu kolor kwiatów sasanki. Są one właściwie fioletowe, najpierw ciemno, potem jasno, a niekiedy pod koniec kwitnienia stają się nawet białe, jednak ich barwa wydaje się nieco stłumiona ze względu na filcowate owłosienie płatków od ich zewnętrznej strony – zwłaszcza z pewnej odległości – wyglądają, jakby naprawdę były *szadé*. Dlatego również w cytowanym wierszu E. Ostrowskiej pojawiła się metaforyczna „srebrzysta sukienka”, a nie na przykład „sukienka fioletowa”.

Zestawienie *kurżé oczé* zna z Redy ks. Sychta (t. III), a od niego przejął je Hinze (t. III). Nazwa ta zapewne oddaje podobieństwo skupienia licznych żółtych pręcików, okolonych fioletowymi, dłuższymi od nich płatkami okwiatu, właśnie do kurzych oczu. Wyrażenie *kurżé oczé* mogłoby się wprawdzie odnosić również do rośliny stanowiącej lekarstwo na kurzą ślepotę, żadne źródła nie wspominają jednak o takim zastosowaniu ziela sasanki.

Zarejestrowane, za rękopiśmiennym zbiorem Roppla, przez Hinzego (IV t.) wyrażenie *jastrowi kwótk* może się – według danych tego słownika – odnosić bądź do sasanki łąkowej (łac. *Pulsatilla pratensis*), bądź do zawilca żółtego (łac. *Anemone pratensis*). Zestawienie to stanowi wierną kalkę złożenia *Osterblume* (od *Ostern* 'Wielkanoc' i *Blume* 'kwiat'), będącego w języku niemieckim nazwą różnych kwiatów kwitnących na wiosnę, zwłaszcza narcyza, sasanki, pierwiosnka i zawilca. Podobnie zbudowane zestawienia: *wielkanocny kwiótk* i *marcowi kwiótk* znane są ponadto w kaszubszczyźnie w

znaczeniu 'fiołek wonny, *Viola odorata*', co potwierdza Hinze (t. IV i III), do którego zostały one przejęte z rękopiśmiennego zbioru Leona Roppla.

Wyraz *proliszczk* jako nazwę sasanki notuje natomiast jedynie Jan Trepczyk w „Słowniku polsko-kaszubskim”, podczas gdy pozostałe źródła słownikowe podają inne znaczenie tego wyrazu lub jego wariantów. Najczęściej mianem tym określa się 'fiołek wonny, łac. *Viola odorata*'. Takie znaczenie przypisuje postaciom *proliszk*, dawniej znanej w Wejherowskim i *prolëszka*, dawniej znanej w Pomieczyńskiej Hucie, Rębie i Otalżynie, ks. Sychta (t. V), a za nim Hinze (t. IV), a formom *proliszcz* i *prolëszczk* – „Pomoranisches Wörterbuch” (t. I), tej pierwszej za Pobłockim, drugiej za Biskupskim. Zresztą również Jan Trepczyk wprowadził do swego „Słownika polsko-kaszubskiego” wyrazy *prolisz(cz)k* i *prolëszka* jako nazwy fiołka. W znaczeniu 'przylaszczka' wyraz *proliszczka* notuje natomiast Jan Muszyński w artykule „Ludowe kaszubskie nazwy roślin”, zamieszczonym w piśmie „Acta Societatis Botanicorum Poloniae” (1936 r.).

Nazwa *prolisz(cz)ka* kontynuuje staropolską nazwę fiołka: *przylaszczka* / *przelaszczka*, służącą w dawnej polszczyźnie, aż do początków XX w., również do nazwania *przylaszczki* (łac. *Hepatica nobilis*), podobnie jak fiołek kwitnącej wczesną wiosną na obrzeżach lasów drobnymi fioletowymi kwiatkami. Natomiast sasanka mylona była raczej z zawilcem niż z fiołkiem lub przylaszczką, choć pewne podobieństwo pomiędzy sasanką, fiołkiem i przylaszczką oczywiście istnieje. Wszystkie te rośliny mają drobne kwiatki o fioletowej barwie i rozwijają się wczesną wiosną. Może zatem nazwa *proliszczk*, znana na Kaszubach przede wszystkim w znaczeniu 'fiołek wonny' i – rzadziej – 'przylaszczka', odnosiła się w niektórych okolicach również do sasanki? ■

**Otwarty Fundusz Emerytalny EGO zarządzany przez Powszechne Towarzystwo Emerytalne
BIG Banku Gdańskiego S.A. poszukuje osób do współpracy
w zakresie rozpowszechniania produktu OFE EGO na zasadzie wynagrodzenia prowizyjnego.
Jeżeli jesteś nie karany, dynamiczny i łatwo nawiązujesz kontakty
– zadzwoń pod numer 0 603 78 69 35 do Bogdana Pustelnika**

WCZORAJ I DZIŚ GDYŃSKIEGO MUZEUM

Tomasz Rembalski

Prowadzone na szeroką skalę prace ziemne w przedwojennej Gdyni przyczyniły się do odkrycia wielu zabytków archeologicznych. W związku z tym w końcu 1928 r. powołano do życia Towarzystwo Opieki nad Wykopalskimi w Gdyni, którego pracami od 1929 r. kierowała dr Janina Krajewska. Towarzystwo zajmowało kilka pomieszczeń w nie istniejącej już dziś willi Tusia, usytuowanej u zbiegu skweru Kościuszki z ul. Waszyngtona, gdzie dziś stoi gmach dowództwa Marynarki Wojennej.

W styczniu 1932 r. towarzystwo przyjęło nazwę: Miejskie Muzeum Etnograficzne, tworząc, obok istniejącego działu prehistorycznego, dział etnograficzny. Z każdym następnym rokiem dorobek muzeum stawał się bogatszy, mimo to nie było zgody władz na formalną działalność, w związku z czym nie można było organizować wystaw. Zgodę taką otrzymano dopiero w lipcu 1936 r. i pod nazwą Muzeum Miejskie placówka otworzyła swoje pomieszczenia wystawowe. Mieściła się na pierwszym piętrze (wynajętym) willi przy ul. Świerkowej (obecnie 39) w Orłowie.

Działalność Muzeum Miejskiego w Gdyni przerwał wybuch II wojny światowej. W październiku 1939 r. niemieckie władze okupacyjne usunęły dr Janinę Krajewską ze stanowiska kierownika muzeum, a w listopadzie tego roku wydaliły z miasta. Zbiory muzealne uległy częściowo zniszczeniu i rozproszeniu (sprawa do dziś nie jest wyjaśniona).

Po zakończeniu wojny nie wznowiono działalności muzealniczej. Idea reaktywowania muzeum odżyła dopiero w 1961 r. Nie od razu jednak postulaty intelektualistów, Koła Starych Gdynian czy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego znalazły zrozumienie u władz. Pierwsze kroki poczyniono dopiero w 1968 r. Wykupiono wówczas od starej gdyńskiej rodziny Skwierczów budynek, pochodzący z pocz. XX w., przy ul. Sta-

rowiejskiej 30, zwany Domkiem Abrahama. Nazwa związana jest z działaczem niepodległościowym Antonim Abrahamem (1869-1923), który spędził w tym domu ostatnie lata swojego życia. Po zakończeniu prac remontowych i adaptacyjnych w 1970 r., budynek przekazano Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gdyni, która ulokowała tu nowo stworzony Dział Gromadzenia i Udostępniania Materiałów i Zbiorów Dotyczących Historii Miasta Gdyni. Wkrótce nazwę zmieniono na Dział Historii Miasta Gdyni MBP, którą kierował historyk Maciej Rdesiński.

Zaczęto gromadzić materiały historyczne, przygotowując podwaliny pod przyszłe muzeum miejskie, które w założeniach miało obrazować powstanie miasta i portu oraz ich rozwój. Przyszła placówka miała zrezygnować z działalności prowadzonej przez Muzeum Miejskie w latach 1936-1939 bowiem w regionie gdańskim istniały już muzea o profilu archeologicznym i etnograficznym.

Podstawowy zasób fotogramów, książek oraz opracowań bibliograficznych dotyczących Gdyni, a znajdujący się w różnych bibliotekach na terenie Polski – przekazany został działowi przez inż. Jerzego Heidricha, ówczesnego kierownika Miejskiej Pracowni Urbanistycznej Gdyni. Prócz tego część zbiorów ze swojej biblioteki przekazał Gdański Urząd Morski. W lokalnej prasie lat siedemdziesiątych co jakiś czas ukazywały się apele o przekazywanie bądź choćby zgłaszanie ważnych dla życia miasta archiwów i pamiątek, które spotkały się z przychylnym odzewem gdyńskiej społeczności.

Przełom w sprawie muzeum nastąpił dopiero w grudniu 1982 r., kiedy Ministerstwo Kultury i Sztuki wyraziło zgodę na powołanie, z 1 stycznia 1983 r. Muzeum Miasta Gdyni. W lipcu tego roku dyrektorem placówki mianowany został

Wojciech Zieliński. Następnych kilka lat pracownicy muzeum przeznaczyli na: selekcję, kwalifikację, wycenę, skatalogowanie i zarejestrowanie zbiorów odziedziczonych po Dziale Dokumentacji Historii MBP. Od początku gdyńskie muzeum składało się z trzech działów: Dokumentacji Historii Miasta, Sztuki i Zbiorów, Naukowo-Oświatowego wraz z biblioteką oraz pracowni fotograficznej i plastycznej.

W kwietniu 1988 r. z pracy w muzealnictwie zrezygnował Wojciech Zieliński. 1 września tego roku nominację na dyrektora otrzymała dotychczasowa jego zastępczyni Stefania Lemańska.

Po wyborach samorządowych w 1990 r., muzeum z instytucji państwowej stało się gminną. Uzyskano większą samodzielność w decydowaniu o własnych sprawach, w tym finansowych, chociaż te ostatnie, niestety, nie polepszyły się. Nowy ustrój państwa przyniósł również zmiany w prawach własnościowych muzeum. Okazało się, że umowa zakupu Domku Abrahama w 1968 r. miała pewne uchybienia, i że prawowitym właścicielem obiektu jest Jan Skwiercz. W 1992 r. zapadła decyzja sądu w tej sprawie – w muzeum zaczęto liczyć się z możliwością wyprowadzki. Ostatecznie jednak w 1993 r. władze miasta podpisały z Janem Skwierczem umowę dzierżawną. Domek Abrahama mógł dalej funkcjonować jako muzeum.

Kolejnym ciosem dla gdyńskiego muzeum i jego sympatyków była, wymuszona nowymi planami urbanizacyjnymi (budowa Światowego Centrum Handlowego – WTC), wyprowadzka z pawilonu wystawowego przy ul. Waszyngtona. W grudniu 1997 r. wszystkie obiekty muzealne przeniesiono do niewielkiego, dzierżawionego obiektu po byłym przedszkolu przy ul. Chrzanowskiego 14.

Stała siedziba Muzeum Miasta Gdyni to największa bolączka tej instytucji, towarzysząca jej od zarania, hamująca jej normalny rozwój i funkcjonowanie. Już w latach siedemdziesiątych opracowano projekt budowy gmachu muzealnego, który miał stać przy ul. Migali (obecnie Wójta Radtkego). W latach osiemdziesiątych planowano zagospodarować dwa zabytkowe dworki z lat 1929 i 1935 przy ul. Korzeniowskiego. W 1985 r. wstrzymano projekt, a budynki wkrótce rozebrano. Fatum nad muzeum wisi do dziś, gdyż nie tak dawno (gru-



Wnętrze Muzeum Miejskiego w Gdyni, 1939 r.
Fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

dzień 1998 r.) upadł projekt adaptacji budynku przy ul. Morskiej.

Dzisiejsze Muzeum Miasta Gdyni, od maja 1998 r. kierowane przez wyłonioną w konkursie nową dyrektorkę Dagmarę Płaza-Opacką, to przede wszystkim 48 154 obiekty muzealne, zgromadzone w poszczególnych działach i kilkadziesiąt wystaw zorganizowanych w ciągu szesnastu lat istnienia. Przykładem może tu być choćby ostatnia „Hej kołęda, kołęda”, zapoczątkowująca cykl wystaw „Cztery pory roku na Pomorzu”, która cieszy się dużym zainteresowaniem zwiedzających.

Największy w muzeum jest Dział Dokumentacji Historii Miasta, którego zbiory liczą 45 745 obiektów, w tym 16 462 zarejestrowane w inwentarzu jako najcenniejsze. Podstawę stanowią tu fotografie i pocztówki w liczbie 35 217. Najstarsze pochodzą z przełomu XIX i XX wieku. Jest na nich utrwalona historia wsi gdyńskich i Gdyni oraz portu. Zdjęcia uwieczniają twarze i życie codzienne jej mieszkańców, a także turystów, ludzi kultury, nauki i dygnitarzy państwowych. Dumą muzeum jest spuścizna po znanym przedwojennym fotografiku Henryku Poddębskim. Od roku trwają prace nad stworzeniem komputerowej bazy danych w programie „Kustosz”; do pamięci komputera wprowadzono już ponad 2600 fotografii. W przyszłości umożliwi to szybsze odszukiwanie zdjęć, a tym samym usprawni pracę w

muzeum. Bardzo cenny, liczący 7572 pozycje, jest zbiór najróżniejszych dokumentów: zaświadczeń, legitymacji, dyplomów, świadectw, reklam itp. Wśród nich są mapy i plany obrazujące rozwój Gdyni. W kolekcji plakatów zdecydowana większość dotyczy Gdyni. Trwają próby zgromadzenia przedmiotów codziennego użytku, wyposażenia wnętrz mieszkalnych i lokali publicznych. Dotychczas zgromadzono 1478 przedmiotów kultury materialnej. Wśród nich warto wspomnieć o pamiątkach po znanych osobistościach gdyńskich (m.in. po inż. Tadeuszu Wendzie), zbiorze znaczków na szpilce dotyczących Gdyni i morza, czy naczyniach z zastawy GAL (Linia Gdynia Ameryka). Nie brak tu również przedmiotów związanych z Kaszubami, jak choćby czepiec ślubny z 1869 r., należący do matki Jana Radtkego, pierwszego polskiego wójta Gdyni.

Dział Sztuki zgromadził łącznie 2409 obiektów, w tym aż 2318 zarejestrowanych w księdze inwentarzowej. Kolekcja medalierstwa obejmuje 798 muzealiów, malarstwa i grafiki 742. Na dalszym miejscu znajdują się tkaniny, rzeźby i ekslibrisy. Wszystkie wymienione eksponaty dotyczą twórczości artystów gdyńskich i związanych z Gdynią. Zaczątek (około 500 obiektów) kolekcji Działu Sztuki pochodzi z Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdyni. Najstarszym obrazem, pochodzącym z 1902 r. jest „Gdynia” Kazimierza Pochwalskiego. Największa w dziale jest spuścizna (581 eksponatów) po Maksymilianie Kasprowiczu (1906-1986), przekazana przez jego spadkobierców w 1990 r. Na drugim miejscu należy wymienić kolekcję po Wacławie Szczeblewskim (1888-1965) i stworzonej przez niego Pomorskiej Szkole Sztuk Pięknych w Gdyni. Najcenniejszym obrazem w tym zbiorze jest „Kobieta w kuchni” z 1914 r. (bogate archiwum osobiste artysty i szkoły przechowywane jest w Dziale Dokumentacji). Z innych znanych artystów należy wymienić: Mariana Mokwę (1889-1987), Antoniego Suchankę czy Stanisława Rolicza (+1997), po którym odziedziczono sporo „gdynian”, a także duży zbiór metalowych matryc graficznych. Muzeum kolekcjonuje również sztukę współczesną, tworzoną w ostatnich latach. Jej początkiem są prace nagrodzone w biennale Salon Sztuki Gdyńskiej.

Zadaniem Działu Naukowo-Oświatowego jest organizacja wystaw, konkursów, prelekcji i odczytów oraz oprowadzanie wycieczek. Ponadto dział dysponuje zbiorem taśm dokumentujących wystawy, fonotekę historii miasta „Czas Gdyni”, a także około siedemdziesięcioma fotogramami ukazującymi miasto w latach trzydziestych, zniszczenia wojenne i nowe dzielnice, autorstwa Janusza Uklejewskiego oraz port Haliny Wasielke.

Biblioteka muzeum liczy 7345 pozycji. Większość (około 4000) tytułów pochodzi jeszcze z Miejskiej Biblioteki Publicznej, dalsze to efekty zakupów lub dary. Zbiory dotyczą historii Pomorza i Gdyni, nauk pomocniczych historii, a także historii sztuki. Bogato reprezentuje się literatura fachowa dotycząca morza i portu. W zbiorach znajdują się m.in. przedwojenne przewodniki po Pomorzu i Gdyni. Można tu wymienić tak bardzo rzadkie pozycje, jak: Zofii Hartingh „Przewodnik po Ziemi Kaszubskiej” z 1909 r., Aleksandra Majkowskiego „Zdroje Raduni. Przewodnik po Szwajcarii Kaszubskiej” z 1913 r., Antoniego Chołoniewskiego „Nad morzem polskim” z 1912 r. oraz Bernarda Chrzastowskiego „Na kaszubskim brzegu” z 1920 r. Ciekawostką są książki adresowe Gdyni, informatory dotyczące portu z lat międzywojennych czy polskie książeczki do nabożeństwa z XIX w. Cenny jest również, liczący 1600 tytułów, zbiór prasy międzywojennej: gdyńskiej, pomorskiej i morskiej, z przewagą tej ostatniej. Biblioteka ma prawie cały komplet czasopism „Morze” i „Gryf”, z lat 1908-1933, poza tym można skorzystać z „Dziennika Gdyńskiego”, „Wiadomości Portu Gdyńskiego” i innych.

Tak przedstawia się „wczorajszy i dzisiejszy” obraz Muzeum Miasta Gdyni. A jakie jest jego „jutro”, a przede wszystkim, kiedy pojawi się stała siedziba muzeum? Siedziba na miarę XXI wieku, z możliwością organizowania nowoczesnych wystaw. Już najwyższy czas podjąć konkretne decyzje, gdyż w przeciwnym razie gdyńskiemu muzeum grozi przestarcie się w izbę pamięci, bądź składnicę muzealiów najbogatszego miasta Polski! Ostatnio wieść niesie, że w tym roku mają być rozpoczęte prace przy budowie wspólnego gmachu z Muzeum Marynarki Wojennej, przy ul. Zawiszy Czarnego.

W NIEBIE TEŻ GRAJĄ ORGANY

Jolanta Nitkowska-Węglarz



Fot. Jan Maziejuk

Prospekt organów w kościele św. Jacka

„Wejściem i wyjściem, początkiem i końcem/ jesteś nasz Panie, napełnij nam sobą ręce!” – ten tekst pieśni, w czterech językach, pod dwo-

ma linijkami nut, napisał w 1962 r. Joachim Schwarz. Niedawno tę pieśń zamieściła w żałobnych listach do przyjaciół jego żona Meh-

thild Schwarz. Zawiadamiała, że po długiej i ciężkiej chorobie Joachim „odszedł drogą pokoju, którą przyszedł” oraz prosiła wszystkich bliskich, by nie składali kwiatów i kondolencji, a pieniądze, jakie chcieli na ten cel przeznaczyć, wpłacili na rekonstrukcję organów w kościele św. Jacka w Słupsku.

Joachim Schwarz miał w chwili śmierci 68 lat. Odszedł ze świata w dniu, kiedy Fundacja Polsko-Niemiecka przyjęła do rozpatrzenia jego wniosek o dofinansowanie remontu słupskich organów. Tyle jeszcze miał zrobić, tyle jeszcze planował koncertów, podróży... Nie zdążył.

Miesiąc przed śmiercią pisał: „Ze szczególnym zaangażowaniem traktuję restaurowanie barokowych organów kościoła św. Jacka w Słupsku. Celem wsparcia restaurowania rozgłosiłem wśród moich przyjaciół, interesantów i członków mojego chóru *zbiórkę datków na ten cel*. Oprócz tego wygłaszam odczyty wsparte przezroczami na temat Słupska, zwracając się z prośbą o datki pieniężne. Dotychczas mogłem przekazać Stowarzyszeniu Rekonstrukcji Organów 1500 DM. Akcja zbierania datków jest kontynuowana. (...) W celu fachowego wsparcia przy restauracji organów poleciłem z polskiej strony prof. Adamskiego i prowadzącego klasę muzyki organowej w szkole muzycznej pana Bogdana Narlocha (obaj są z Koszalina). Prof. Adamski wspierał już restaurację organów z Polanowa. Obydwaj muzycy są mi znani osobiście. W przyszłości planuję zwiększenie działalności koncertowej w kościele św. Jacka przy współudziale organistów polskich i niemieckich. Planowane są także polsko-niemieckie koncerty chórów. Dla mnie szczególnie ważne jest wspieranie niemiecko-polskich kontaktów między młodymi ludźmi i wzajemne zapraszanie ich do siebie w celu realizacji różnych tematów związanych z kulturą. Młodzi Niemcy,

z którymi pracuję, nie mają historycznych uprzedzeń. Moim zdaniem, przyjaźń między narodami zależy od ludzi, którzy z całym przekonaniem pośredniczą w przekazywaniu ważności stosunków Polaków i Niemców. Ja myślę i działam – ekumenicznie oraz po europejsku. Zobowiązuje mnie do tego myśl: muzyka jest językiem obejmującym wszystkie narody, jeśli służy pokojowi. To jest i pozostanie celem mojego życia”.

Trudno nazwać tekst skreślony przez Joachima inaczej, niż jego duchowym testamentem – zobowiązującym młodych do kontynuacji rozpoczętego przez niego dzieła – budowania międzynarodowego porozumienia przy pomocy języka muzyki.

Joachim Schwarz był bez wątpienia apostołem muzyki, i taki powinien zapisać się w pamięci słupszczan.

Kiedy w ubiegłym roku Joachim Schwarz odbierał w Słupsku dyplom Honorowego Członka Stowarzyszenia Rekonstrukcji Organów Kościoła św. Jacka, zostawił kilku mieszkańcom swoją książkę biograficzną „Na wschodzie wschodzi słońce”. Jest to nietypowa biografia słupszczanina, który świat traktuje jako wielkie poletko Pana Boga, który nawet sytuacje dramatyczne przeżywa z cichą pokorą i ogromną pogodą ducha. W marcu 1945 roku, tuż po wejściu Rosjan do miasta, J. Schwarz, 15-letni wnuk organisty z kościoła Zamkowego w Słupsku, zwraca się do Boga: „Jeśli pozwolisz mi odnaleźć moją rodzinę, zrobię w swoim życiu coś dobrego dla Ciebie”. Czy to przyrzeczenie dane Bogu uczyniło go później duchownym i rzecznikiem dialogu Polaków i Niemców? Być może, choć pewnie nie bez znaczenia były tradycje rodzinne.

Schwarz pisze bowiem, że drogę życiową wyznaczył mu dziadek: „Do zakończenia II wojny światowej często chodziłem do ów-

czesnego kościoła Zamkowego, gdzie dziadek – Gustaw Schwarz był starszym parafii ewangelickiej. Jako uczniowi wolno mi było grać na organach. Przeżycia te w decydujący sposób ukształtowały moją drogę zawodową i stały się jednym z powodów, dla których los organów z tego kościoła jest dla mnie nadal ważny. (...) Muzykę kościelną studiowałem w Wyższej Szkole Muzycznej w Hamburgu, a dyrektorem Instytutu Muzyki kościelnej jestem od 1972 r. W latach 1978-93, jako wykładowca w ewangelicko-luterańskim Kościele Krajowym Hannoveru zajmowałem się kształceniem i doskonaleniem zawodowych organistów. (...) W 1991 r. przyjechałem do Słupska i zapragnąłem, by w miastach Pomorza dać koncerty chóru. Dr Jan Turkiel – ówczesny pracownik sekretariatu biskupiego Kościoła katolickiego w Koszalinie pomógł nam zorganizować koncerty: w Koszalinie, Słupsku, Uście i Darłowie”.

W 1992 roku Joachim Schwarz z drzeniem rąk usiadł za pulpitem swoich ukochanych z dzieciństwa organów, w kościele św. Jacka w Słupsku. „Uświadomiłem sobie, że organy trzeba gruntownie wyremontować, bowiem ucierpiały one z powodu starości i niewystarczającej konserwacji” – napisał w swojej biografii. Od tego dnia Schwarz stał się gorącym orędownikiem ratowania organów i budowania pomostów między młodzieżą Słupska i Fassbergu.

Odszedł nie wypełniwszy swojej misji do końca. Nie zagrał w Słupsku skomponowanych przez siebie koncertów, nie doczekał rozpoczęcia prac restauracyjnych barokowych organów. Odszedł za wcześnie... Jest prawdopodobne, że dobry Bóg pozwoli mu dokończyć, rozpoczęty w 1992 roku, wielki, organowy koncert pokoju, gdzieś w szczęśliwych zaświatach, gdzie „muzyka jest językiem obejmującym wszystkie narody”. ■

recenzje

JAN LIPUSKI

MODLIĆ SIĘ PO NASZEMU

Dziewięćdziesiąt lat temu, gdy zaczęły ukazywać się pierwsze numery „Gryfa”, Aleksander Majkowski i inni młodokaszubi nie wyobrażali sobie obecności kaszubszczyzny w Kościele. Wręcz uważali, że godziłaby w nienaruszalne tabu, mogłaby poważnie zaszkodzić nie tylko mowie, ale i całemu ruchowi kaszubskiemu. Sądziłi tak, mimo że ich poprzednik Florian Ceynowa bardzo udanie przetłumaczył z niemieckiego „Pjnc głownech wóddzłov evangjelickiego katechizmu” (1861) z dziesięcioma przykazaniami, modlitwami „Wierzę w Boga”, „Ojczy Nasz”, liturgiami chrztu, eucharystii, spowiedzi powszechnej i modlitwami codziennymi.

Niewiara i obawy młodokaszubów przez kilkadziesiąt lat udzielały się środowisku piszących po kaszubsku. Nie było także przyzwolenia na traktowanie kaszubskiego jako samodzielnego języka. Opinie o kaszubskim jako samodzielnym języku mogły pojawić się publicznie dopiero w rewolucyjnych latach osiemdziesiątych. W tym też czasie zaczęto odprawiać pierwsze msze św. z kaszubską liturgią słowa. Co więcej, kuria biskupia w Pelplinie wydała opracowaną przez ks. Jana Walkusza antologię kaszubskiej poezji religijnej „Świāti dźel dëszë” (1981), oddział gdański ZKP przygotowane przez Władysława Kirstei-

na i Jerzego Stachurskiego „Kaszëbscë kòlādë ë gòdowé spiëwë” (1982), a ks. F. Grucza wydał własnym sumptem „Mszô Swiätô” (1885). Po kilku latach niemal jednocześnie ukazały się aż dwa kaszubskie przekłady Nowego Testamentu, autorstwa ks. Franciszka Gruczy (1992) i Eugeniusza Gołąbka (1993).

Pod koniec 1998 roku zaistniał kolejny fakt potwierdzający narastającą żywotność kaszubszczyzny w Kościele. Nakładem oddziału gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Wydawnictwa Rost w Gdańsku ukazał się kaszubski modlitewnik „Më trzimómë z Bògã” w przekładzie i opracowaniu Eugeniusza Gołąbka i Eugeniusza Pryczkowskiego. Modlitewnik został zaopiniowany pozytywnie przez prof. Edwarda Brezę i ks. dr. Jana Walkusza, uzyskał także Nihil obstat i Imprimatur, oficjalną zgodę władz Kościoła gdańskiego na druk i rozpowszechnianie publikacji.

Modlitewnik ma dobrą prasę i sprawnie zorganizowaną promocję. Od momentu wydania przeciętnie co tydzień, przy okazji odprawianych mszy św. z kaszubską liturgią słowa, odbywają się spotkania z autorami połączone z masową sprzedażą „Më trzimómë z Bògã”. Jak informują wydawcy, w połowie marca sprzedano już ok. 3 tys. egzemplarzy, co, jak na publikację w języku kaszubskim, jest ogromnym osiągnięciem. Większy jednak od handlowego jest już teraz sukces kulturowy. Skaszubione modlitwy, teksty liturgiczne, a także nabożeństwa i pieśni kościelne mają szansę upowszechnić się wśród licznej rzeszy wyznawców Kościoła rzymskiego na Kaszubach.

Poza przekładami polskich tekstów kościelnych, autorzy modlitewnika za-

mieścili liczny wybór kolęd i pieśni kaszubskich. Te ostatnie należą już do stałego repertuaru spotkań religijnych na Kaszubach i bardzo wyraźnie odzwierciedlają naszą regionalną specyfikę, w tym szczególnie kult Matki Boskiej Sianowskiej i Swarzewskiej. Niewątpliwie najpopularniejszą pieśnią w tym wyborze jest napisana i skomponowana przed trzydziestoma laty „Kaszëbskô Królewô” ze słowami i muzyką Jana Trepczyka.

Modlitewnik z całą pewnością wyszedł w sprzyjającym czasie: Kościół żyjącego duchem Soboru Watykańskiego II, z jego wytycznymi zalecającymi dostosowanie liturgii do miejscowej tradycji oraz pontyfikatu Jana Pawła II, który nie tylko w encyklikach i oficjalnych dokumentach daje wyraz fascynacji bogactwem kultury i tradycji, pielęgnowanymi przez małe narody i grupy etniczne. Publikacja wyszła także w okresie, gdy jeszcze wciąż używane są rodzime zwroty np. „Bòże pòmógój!”, „Ôstańta z Bògã”, „Szczesc Bòże”, potwierdzające żywotność autentycznych form modlitewnych, a wierni z najstarszego pokolenia po cichu modlą się właśnie po swojemu albo kaszubią polskie formuły pacierza i teksty pieśni.

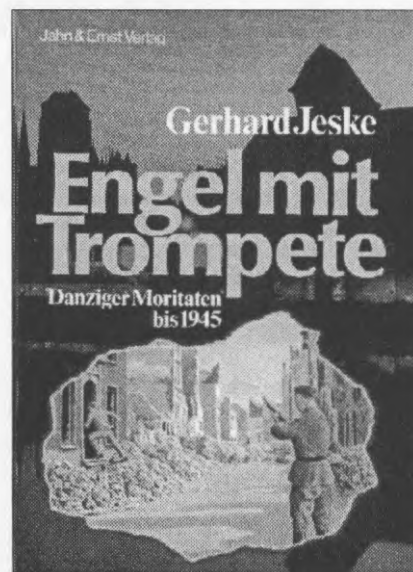
„Byłoby dziwne, gdybyśmy posługiwali się tym [kaszubskim] językiem w codzienności, w pracy Zrzeszenia, a nie rozmawiali w tym języku z Bogiem” – pisze w słowie wstępnym książkę metropolita gdański ks. arcybiskup Tadeusz Gocłowski. Natomiast ks. Jan Walkusz podkreśla: „Jaczi zrobimë ùżëtk z te mòdlëtnika i w jaczim dzëlu gò wëkòrziştómë na co dzëń – zanòlëzi le òd nas samëch”. Te słowa można odczytać jako apel do członków i sympatyków ZKP, że właśnie oni szczególnie powinni popularyzować w swoich środowiskach przekonanie, że Bóg rozumie po kaszubsku i absolutnie już nic nie stoi na przeszkodzie, by modlić się do Niego po naszymu.

Ukazanie się kaszubskiego modlitewnika bez przesady można nazwać milowym krokiem w dziele nobilitacji kaszubszczyzny, procesie kształtowania się języka literackiego. Co więcej, skutki tego najnowszego osiągnięcia Kaszubów będą na pewno powszechne i długotrwałe.

Më trzimómë z Bògã. Kòscelnë mòdlëtwë i spiëwë. Przełożëł i przërëchtowëł Eugeniusz Gołąbk i Eugeniusz Pryczkowski. Wydawcy: Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Oddział w Gdańsku, Wydawnictwo Rost, Gdańsk 1998

JÓZEF BORZYSZKOWSKI

ANIOŁ Z TRĄBITĄ
GERHARDA JESKEGO



„Engel mit Trompete. Danziger Moritaten bis 1945” – to tytuł tomu wspomnień Gerharda Jeskego, znanego w środowisku kaszubsko-pomorskim fotografa, Niemca, gdańszczanina z Hamburga, wydanych właśnie w Hamburgu. O pracy tej słyszeliśmy już kilka lat temu, bo autor sporo musiał się natrudzić, zanim znalazł wydawcę. Książka miała (i mogła) być jednocześnie wydana w Gdańsku, także po polsku, o czym mógłby sporo powiedzieć nie tylko przedstawiciel wydawnictwa „Marpres”, które gotowe i dziś wydać te wspomnienia, jeśli autor zbierze pieniądze (!?), nie tylko na druk, ale też na tłumaczenie wspomnień, rekomendowanych przed kilkoma laty m.in. przez prof. Jerzego Sampa.

Gerhard Jeske w środowisku niemieckich gdańszczan jest postacią szczególnie interesującą, jednak nie przez wszystkich akceptowaną. Jego lewicowe poglądy, antynazistowska po wojnie działalność, krytyczne opinie o wewnętrznej polityce Niemiec oraz o stosunku do Gdańska i Polski,

Më trzimómë z Bògã

Kòscelnë mòdlëtwë i spiëwë

Przełożëł i przërëchtowëł
Eugeniusz Gołąbk
Eugeniusz Pryczkowski

GDUŃSK 1998



Teatr Miejski w Gdańsku, 1930 r.

przez długie lata powodowały, iż był w niektórych kręgach izolowany, a jego praca dezawuowana. Jednakże nigdy nie brakowało mu przyjaciół, do których należał m.in. zmarły przed rokiem gdańszczanin, historyk kultury, poeta i pisarz Hans Georg Siegler, laureat Medalu im. B. Chrzanowskiego „Poruszył wiatr od morza”. Obydwaj przygotowali przed wieloma laty jeden z pierwszych przewodników-albumów, dotyczących Gdańska i Pomorza, oddających pełną historię i współczesność naszego kraju, nie tylko jej niemiecki wymiar, ale także kaszubsko-polski.

A przecież obydwaj mieli wystarczająco wiele powodów, by źle wspominać Polaków, nie godzić się z faktami, by ulegać ogólnoniemieckim nastrojom i chęciom zapomnienia o nazistowskiej przeszłości i odpowiedzialności niemieckiej, nie tylko za rok 1945.

G. Jeske urodził się w Gdańsku w 1929 roku na Dolnym Mieście w protestanckiej rodzinie niemieckiej, która od czasów reformacji zamieszkiwała ziemię pomorską między Bydgoszczą, Piłą i Słupskiem, czyli, jak sam mówi, głównie na południu Kaszub i Pomorza Wschodnim.

Wojna brutalnie przerwała w miarę spokojne życie rodziny Jesków, za którą praktycznie została odpowiedzialna matka, pracująca na pocztach. Gerhard jako wrażliwy chłopiec mocno przeżył wybuch i wszelkie okropności wojny, zaczynając od prześladowań Polaków, pędzonych do Victoria Schule. Dwa razy stał też przed ogrodzeniem KZ Stutthof, obserwując nieludzkie traktowanie więźniów, zwłaszcza Żydów. Przeżył ewakuację swojej szkoły na wieś w okolicy Wyrzyska, gdzie spędził zimę 1943/44. Jesienią 1944 rozpoczął się – jego zdaniem – koniec historii miasta Danzig.

Wszystko to relacjonuje na kartach swoich wspomnień, nie żałując czytelnikowi fotografii. W czerwcu 1945 roku Jeskowie opuścili Gdańsk, docierając do Szlezewiku-Holsztyna, gdzie również było bardzo trudno przeżyć – znaleźć pracę i wyżywienie. Kilkunastoletni Gerhard pracował wówczas m.in. przy budowie ulic. W 1947 roku wstąpił do ewangelickiego domu zakonnego w Rickling, gdzie po 5 latach studiów i praktyk zdał egzamin na diakona. W 1959 roku, nie znajdując w tej służbie duchowej ojczyzny, porzucił urząd diakona i osiadł w Hamburgu. Zaczął uprawiać fotografię i grafikę, wkrótce został członkiem Związku Zawodowego Artystów. Na życie zarabiał m.in. jako kierownik takśówki. Swoje prace, poza albumami, prezentował na różnych wystawach, m.in. w 1981 roku w Kaszubskim Parku Etnograficznym we Wdzydżach zbiór zatytułowany „Kaszuby. Kraj i ludzie”. Od kilkunastu lat współpracuje z rozgłośniami radiowymi i ośrodkami telewizji kablowej w Hamburgu, Berlinie, Kilonii i Flensburgu, prezentując przede wszystkim własne filmy i reportaże o historii i współczesności Gdańska, Kaszubów i Pomorza. Z powodzeniem uprawia grafikę komputerową. W Gdańsku przyjaźni się m.in. z Gerardem Knoffem – znanym czytelnikom „Pomeranii” działaczem polskim w WM Gdańsku i więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych.

Wspomnienia G. Jeskego ukazują życie codzienne w hitlerowskim Gdańsku, los jego dorosłych mieszkańców oraz dzieci i młodzieży – naukę, pracę, zabawę i doświadczenia z Hitlerjugend. Szczególnie przejmujące są obrazy z końca wojny, tragedie ludzi, ale też wspaniałych obiektów, niszczonego wskutek działań różnych uczestników tego światowego kon-

fliktu, nie tylko spod sztandaru Armii Czerwonej.

Obraz samego wyzwolenia – zdobycie Gdańska – odbiega nieco od czarno-białych schematów znanych po stronie polskiej czy niemieckiej. Jestem pewien, że wspomnienia Jeskego nie wzbudzą powszechnego aplauzu. Zmuszają nas bowiem do innego spojrzenia na relacje niektórych Niemców i Polaków, a także na prace historyczne. Gdańskie moritaty (pieśni, opowieści o morderstwach i innych strasznych wydarzeniach) G. Jeskego wymagają spokojnej lektury i głębszej refleksji, a niewątpliwie także dyskusji, również historyków. Mam nadzieję, że ta bardzo cenna książka ukaże się, mimo trudności, także w Gdańsku, w wersji polskiej.

Gerhard Jeske, *Engel mit Trompete. Danziger Moritaten bis 1945*, Hamburg 1998

BOLESŁAW SPRENGEL

Z ARCHIWUM PRZEŻYĆ

Pisząc, że „pamięć człowieka starego staje się selektywna”, pamiętnikarz może odgradzać się od spraw, których nie ma ochoty powierzyć potomnym lub wytłumaczyć się z zarzutu mijania się z prawdą. Jest to też wygodny i elegancki sposób na spuszczenie zasłony nad postępami innych. Dla Jerzego Serczyka selektywna pamięć oznacza wybór tylko tych faktów, które „mówią” najczęściej o autorze i świecie go otaczającym oraz zmaganiach jednostki wystawionej na wichry wielkich dziejowych burz.

Dlatego J. Serczyk w wydanej właśnie autobiograficznej książce „Minęło życie” skupił się na tych wspomnieniach, które uznał nie tylko za ważne dla siebie, ale również znaczące dla czasów, w których mu przyszło żyć. W pierwszym z siedmiu rozdziałów pisze o swoich przodkach i dzieciństwie spędzonym w Warszawie, a potem w

Toruniu. Odrębne rozdziały poświęcił latom okupacji i pracy konspiracyjnej. Tyle samo miejsca poświęca powrotowi do Torunia, studiom i pracy naukowej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Dalej wyjaśnia, jak to się stało, że zajął się badaniami nad historiografią. Bardzo osobisty charakter mają jego wspomnienia o krótkim i nieudanym związku z partią oraz go-rącym i trwałym uczuciu do żony.

Wspomnienia Jerzego Serczyka to książka szczególna. Wolna od typowego dla autobiografii gadulstwa i koncentrowania się na własnej osobie. Znamienny jest też stosunek do osobistego lub pośredniego uczestnictwa w ważnych wydarzeniach historycznych. Często powierza im rolę drogowskazów, ułatwiających czytelnikowi poruszanie się w opisywanym świecie. Taką rolę im wyznacza, pisząc o młodzińskich związkach rodziców z miejscami znanymi z „Wesela” i Lucjanem Rydlem, synem poety. W relacji o latach wielkiego kryzysu ekonomicznego przypomina o zwalnianiu z posad państwowych kobiet, których mężowie mieli stałą pracę. Swoim dzieciństwem ilustruje przedwojenny model wychowania. Narodziny polskiej radiofonii pokazuje z punktu widzenia słuchacza. Godne odnotowania są tu jego cierpkie uwagi na temat programu telewizyjnego.

Z dużą szczerością i klasą pisze o swoich pierwszych sympatiach, męskiej inicjacji, dylematach dojrzewającego chłopca. Chociaż zaskakuje stwierdzeniem: „mając lat jedenaście wiedziałem już wszystko, co w tej materii wiedzieć należy”. Cenne są jego uwagi o zamykaniu przedwojennego społeczeństwa do munduru jako wyznacznika statusu społecznego.

Historycy obyczajów pełnymi garściami będą mogli czerpać z jego relacji na temat życia codziennego, zwyczajów towarzyszących przyjęciu pierwszej komunii i latach okupacji. Autor, wytrawny znawca źródeł historycznych, nie mógł się tu powstrzymać przed wytknięciem pamiętnikarzom czasów wojny, że pomijali, koncentrując się na bojowych przewagach, czas kosztownej nudy i szarżyny. Także badaczom zarzuca, że zbyt mało uwagi poświęcają tzw. małym realiom czasów okupacji. Odnotowuje nawet wpływ utraty niepodległości na język. „Okupacyjny czas terazniejszy nie miał swojej nazwy. Czasem, ale nie była to reguła, mówiło się »za Niemca«”. Wskazuje na zainteresowanie i znaczenie niemieckich komunikatów wojennych. Uczciwie pisze o poprawie warunków mieszkaniowych w Krakowie po utworzeniu getta. Nie kryje nawet, że także wśród polskiej młodzieży popularne były wówczas płyty z

niemieckimi szlagierami, do których do-rabiano polskie teksty. Pojedyncze trupy niemieckich żołnierzy bez butów na ulicach Krakowa to jeden z naj-trwałej zachowanych w pamięci obra-zów pierwszego dnia niepodległości.

Swoich kolegów z toruńskiego cechu historyków Serczyk pokazuje w różnych nietypowych sytuacjach. I nie są to ploteczki dobrze poinformowa-nego, a autor wspomnień na pewno do nich należy, tylko różne mało zna-ne obrazki z życia toruńskiej elity in-telektualnej. Jest to pierwsze tak ob-szerne pokazanie kulisy życia toruńskiej kadry naukowej. Wiele postaci pomi-ja, inne zaledwie wzmiankuje. Tylko nielicznym poświęca więcej miejsca. Z reguły są to ludzie mu najbliżsi. Bar-dzo analitycznie podchodzi do budzą-cej wiele kontrowersji osoby rektora Witolda Łukaszewicza. Nie pomija bynajmniej niebadawczych zaintereso-wań toruńskiej Służby Bezpieczeń-stwa uczelnią i swoją osobą.

Najczęściej na kartach książki Ser-czyka pojawia się jego żona Barba-ra. W zapiskach z okresu po jej śmier-ci najwięcej miejsca zajmują już tyl-ko badania naukowe. Wspomnienia za-kończył 26 stycznia 1998 roku. Ich swoistą kontynuacją są cotygodniowe felietony drukowane w toruńskich „No-wościach”.

Jerzy Serczyk, *Minęło życie*. Wydawnic-two Adam Marszałek, Toruń 1998

JOANNA SCHODZIŃSKA

MONOGRAFIA MIASTA

W powojennej historiografii ziemia wej-herowska doczekała się kilku opraco-wań, z których jedno traktują o całej ziemi, drugie, częściowe, tylko o mie-ście. Część z nich była pokłosiem kon-ferencji naukowych organizowanych we współpracy z Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej. Tak-że i w wydanie omawianej monogra-fii Wejherowa muzeum ma swój wkład, nie tylko jako użyczające swych zbiorów,

ale i jako jej wydawca, w 30-lecie swojego istnienia. Koszty finan-sowe publikacji pokryła Rada Miasta Wejherowa.

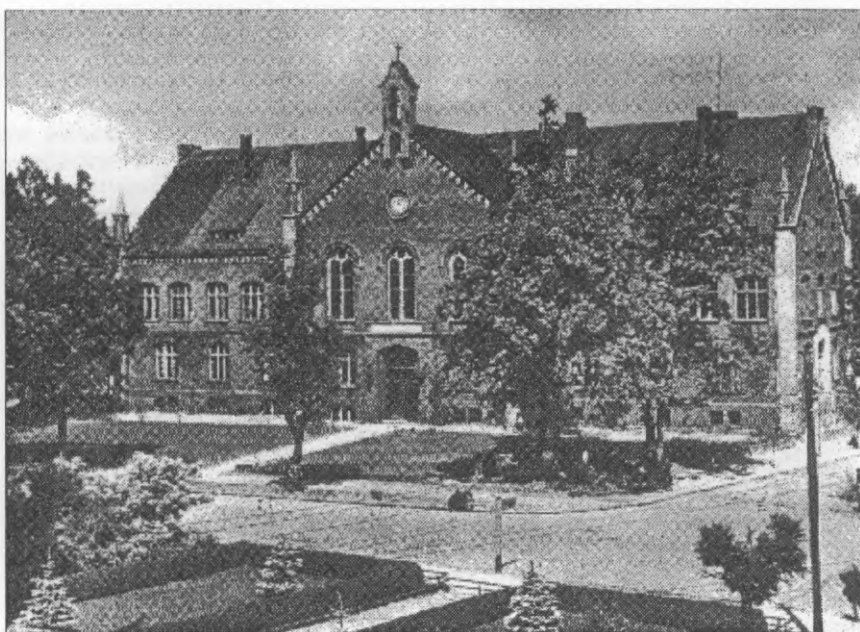
„Historia Wejherowa” ukazała się pod redakcją prof. Józefa Borzyszkowskiego, mającego doświadczenie w przygotowaniu tego typu publikacji. Wystarczy tutaj przypomnieć chociażby jego opracowania o Karsinie, Nado-lu, Lipuszu, Dziemianach, Wielu czy Brusach. Także Błażej Śliwiński i Kle-mens Bruski, autorzy monografii, ma-ją w swym dorobku naukowym po-dobne opracowania dziejów miast po-morskich (m.in. Rumia, Puck, Koście-rzyna, Kartuzy).

Autorzy monografii, jak napisał we wstępie J. Borzyszkowski, bazując na opracowaniach swoich poprzedników, podjęli własne poszukiwania archiwal-ne i nowe badania analityczne, zwa-szczą w odniesieniu do XIX i XX wie-ku. Przeanalizowali m.in. kilkanaście zespołów akt miasta Wejherowa w Ar-chiwum Państwowym w Gdańsku, do-tąd rzadko lub wcale nie wykorzysty-wanych przez historyków.

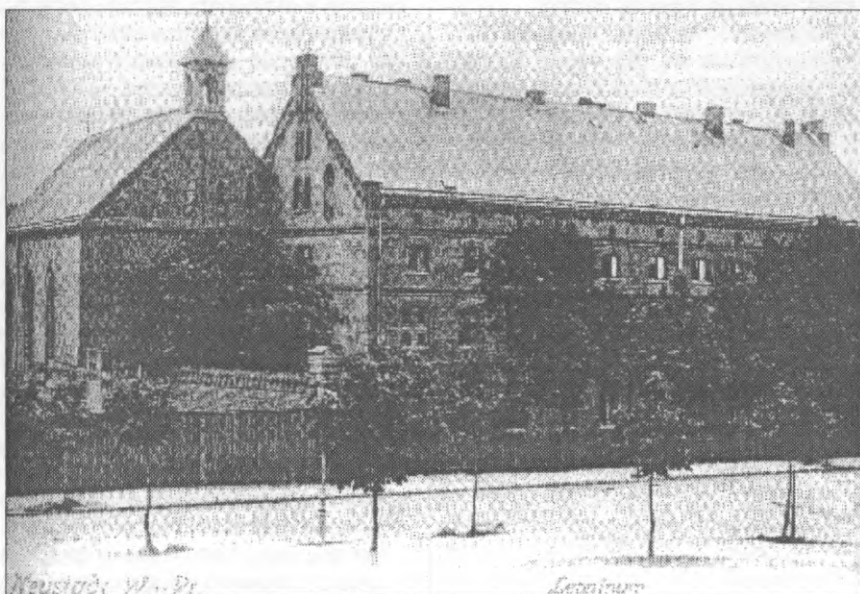
Część pierwszą – Wejherowo – naj-dawniejsze dzieje – składającą się z dwóch rozdziałów, napisali trzej auto-rzy: Klemens Bruski, Aleksander Klemp i Błażej Śliwiński. B. Śliwiński, K. Bruski omówili naturalne środowisko geo-graficzne, w jakim wyrosło miasto, rolę jaką spełniały przed jego powsta-niem osady w Luzinie, Nanicach i Śmiechowie, zaprezentowali rodzinę Wejherów, a przede wszystkim sylwet-kę założyciela miasta Jakuba Wejhe-ra. Okoliczności lokacji opisane zo-stały m.in. na podstawie kroniki wej-herowskiego franciszkanina Grzegorza Gdańskiego.

Kolejny rozdział traktuje o dziejach miasta od momentu jego założenia po rok 1772. Jego autor A. Klemp spor-tretował w nim kolejnych właścicieli Wejherowa i ich wkład w kształtowa-nie oblicza społecznego i przestrzen-nego miasta. Obraz życia miejskiego uzupełnia opis wejherowskiego rze-miosła i handlu, analiza składu spo-łeczno-zawodowego i wyznaniowego mieszkańców oraz rozwój miejskiego szkolnictwa wspieranego przez stypen-dia rodziny Przebendowskich.

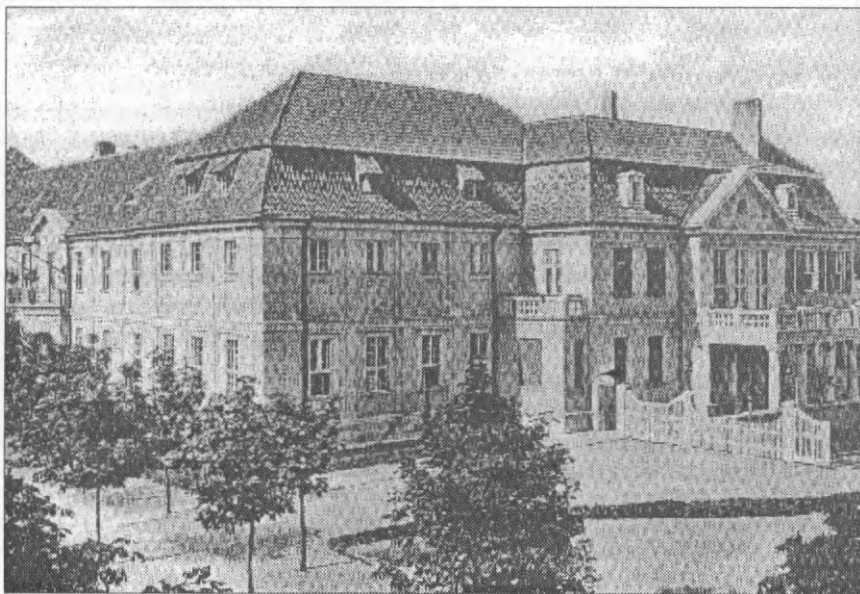
Autor wyeksponował niezmiernie ważny aspekt w dziejach Wejherowa od samego początku istnienia miasta, a mianowicie jego rolę jako centrum życia religijnego regionu. Powstanie Kalwarii Wejherowskiej, czwartej po kal-wariach w Zebrzydowicach, Pakości i na Żmudzi w państwie polsko-litewskim, uczyniło z miasta cel piel-grzymek z całych Kaszub. Dało to po-czątek rosnącej z czasem regional-nej funkcji miasta, także w wymiarze kulturowym.



Gimnazjum przy ul. Sobieskiego



Collegium Leoninum, około 1905 r.



Starostwo, lata 20.

Przejęcie Prus przez Fryderyka II rozpoczyna drugą część monografii. Jej autor, J. Borzyszkowski, szczegółowo analizuje bogaty materiał źródłowy, omawia zmiany, jakie zaszły w systemie zarządzania miastem oraz w jego rozwoju gospodarczym i społecznym w związku z przejęciem miasta przez państwo pruskie, a to wszystko na tle przemian politycznych, gospodarczych i społecznych w całym regionie.

Godne polecenia są partie materiału dotyczące codziennego życia w „kaszubskiej Jerozolimie”. Wzbogacając tekst cytataми wspomnień dawnych wejherowian udało się autorowi odtworzyć wierny obraz życia społecznego i kulturalnego w XIX-wiecznym Wejherowie. Integracyjnym elementem obu części jest opis roli kalwarii i, ogólnie, spraw religii w życiu miasta i okolic. Ciekawym fragmentem jest prezentacja miejskich nekropolii wykorzystująca bogaty materiał przechowywany w archiwum parafialnym św. Trójcy.

Przełomową datą w dziejach miasta jest rok 1920 i powrót Wejherowa w granice odrodzonej Rzeczypospolitej. Bogusław Breza, autor trzeciej części traktującej o latach 1920-1945, rozpoczyna swój wykład od omówienia trudności, jakie musiały przeżywać nowe władze miasta. Dotyczyły one zarówno spraw zupełnie formalnych, np. brak kadry urzędniczej znającej język polski, jak też poważnych problemów gospodarczych. Opis politycznego życia w międzywojennym Wejherowie oparł autor na solidnej analizie zachowanych w archiwum gdańskim protokołów z posiedzeń Rady Miejskiej i magistratu oraz materiałów Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu. Podtrzymując ciągłość wykładu poprzednich autorów, zrelacjonował dalsze losy wejherowskiego szkolnictwa, przeobrażeń w gospodarce komunalnej oraz działalności polskich spółek i organizacji społecznych z okresu zaboru. Prezentując rolę Wejherowa w rozwoju ruchu kaszubskiego omówił m.in. inicjatywy wydawnicze, w tym kontrowersyjnego „Przyjaciela Ludu Kaszubskiego”.

Osobny rozdział poświęcił kwestii mniejszości niemieckiej, ważnej nie tylko ze względu na obecność Niemców, ale też z uwagi na przygraniczne położenie Wejherowa i bliskość Wolnego Miasta Gdańska.

Okres okupacji hitlerowskiej to tragiczne dla miasta lata. W wyniku eksterminacyjnej polityki niemieckiej w lasach piaśnickich i obozach koncentracyjnych śmierć poniosło wielu wejherowian. Zaslugą autora jest uzupełnienie dotychczasowych opracowań o nazwiska wielu pomordowanych mieszkańców miasta i sprostowanie niektó-

rych pomyłek w opisach wojennych losów.

Ostatnią, czwartą część monografii, pióra Cezarego Obracht-Prondzyńskiego, otwiera moment wkroczenia Armii Czerwonej. Autorowi udało się uniknąć stereotypowego podejścia do lat PRL. Najnowsza historia, chociażby ze względu na obecność tych, którzy ją tworzyli, wymaga wyważonych sądów. Specyficzny nastrój peerelowskiej rzeczywistości udało się autorowi odtworzyć m.in. dzięki częstemu cytowaniu ówczesnych przemówień czy sprawozdań.

Wiele miejsca w tej części zajęła analiza przemian społecznych i gospodarczych (związanych chociażby z planowaną elektrownią jądrową w Żarnowcu). Z pewnym sentymentem stwierdza Obracht-Prondzyński, iż „minął już czas małego kaszubskiego miasteczka na północy Kaszub”, podkreślając jednocześnie zadania, jakie stają przed miastem obecnie.

Opis dopełnia przedstawienie Wejherowa jako ośrodka wielu inicjatyw w ruchu kaszubsko-pomorskim.

Polecając czytelnikom tę publikację dodać należy, iż wyposażono ją w bogaty – trafnie dobrany zbiór fotografii. Można tam znaleźć nie tylko znane zdjęcia wejherowskich zabytków, ale i wiele scen rodzajowych, portretów mieszkańców czy członków władz miejskich. Co ważne, uniknięto ich przypadkowego rozmieszczenia oraz, czego niestety często brakuje w podobnych wydawnictwach, zachowano proporcje w prezentacji zdjęć w poszczególnych okresach historycznych. Wyrwykowe korzystanie z tekstu ułatwia znacznie indeks osobowy i wykaz tabel.

Z drobnych uwag – brak indeksu nazw geograficznych i spisu ilustracji (jest tylko wykaz fotografów i miejsce pochodzenia). Przydałby się też wykaz skrótów przywołanych w przypisach materiałów archiwalnych. Tym bardziej, że brak konsekwencji w ich stosowaniu, np. Archiwum Państwowe w Bydgoszczy pojawia się zarówno w skrócie APB, jak i AP Bdy, to samo w odniesieniu do archiwum w Gdańsku (APG lub AP Gd).

Ogólne wrażenie jest jednak bardzo pozytywne. Wejherowo zyskało solidnie przygotowane opracowanie swych dziejów, do którego warto zajrzeć, nie tylko po poszerzyć swoje dotychczasowe wiadomości, ale i poznać wiele nowych, interesujących faktów.

Historia Wejherowa, pod red. J. Borzyszkowskiego. Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Wejherowo 1998

JERZY SZUKALSKI

NAJLEPSZY Z DOTYCHCZASOWYCH

Po dłuższym czasie, bo po dziewięciu latach, kiedy to warszawskie Wydawnictwo Sport i Turystyka opublikowało przewodnik Franciszka Mamuszki „Sopot i okolice”, ukazał się na półkach księgarskich, dzięki pomocy Urzędu Miasta w Sopocie, ten nowy przewodnik, ograniczający się swą treścią wyłącznie do miasta Sopotu, bez obszarów przyległych. Jest on skromny pod względem edytorskim, ale za to opracowany bardzo szczegółowo i sumiennie, tak, że pod tym względem można go już na wstępie niniejszej recenzji określić jako najlepszy z dotychczasowych. Jest to równocześnie przewodnik nietypowy, bo autor nie oprowadza turysty po określonych trasach, lecz na tle ogólnych wiadomości o mieście i ważniejszych dat z jego dziejów przechodzi do charakterystyki osobliwości przyrodniczych Sopotu oraz do nie mniej konkretnej prezentacji zabytków i osobliwości sopockiej architektury. Poszczególne jej obiekty ukazane zostały ulicami, w ujęciu alfabetycznym. Wszystko to w części trzeciej przewodnika „Co warto zobaczyć w Sopocie”, najobszerniejszej, zajmującej grubo ponad połowę publikacji (123 strony). Jest to równocześnie najcenniejsza część przewodnika, obfitująca w liczne, nieznane większości turystów szczegóły i bogato zilustrowana. Nic dziwnego, skoro zawarte w niej wiadomości wyszły spod pióra i częściowo z fotograficznego obiektywu wyjątkowego znawcy Sopotu, jakim jest niewątpliwie Marek Sperski. Szkoda jedynie, że zdjęcia są bardzo małe i jednakowej wielkości, niezależnie od walorów przyrodniczych czy architektonicznych prezentowanego obiektu.

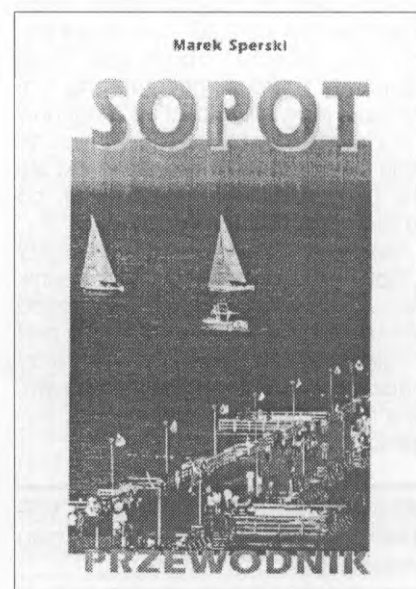
W tekście dotyczącym elementów przyrodniczych Sopotu, za nadzwyczaj wartościowe uznać należy szczegóły odnoszące się do założeń parkowych i ogrodowych lub zespołów willowo-ogrodowych, skwerów i drzew pomnikowych oraz roślinności w ogóle, znajdujących się zarówno na obszarze zur-

banizowanym, jak i w jego najbliższym otoczeniu. Nie pominięto też tak istotnych dla krajobrazu Sopotu komponentów, jak wody Zatoki Gdańskiej, plaża i wydmy, sopocka skarpa oraz rozcięta licznymi dolinami i obficie porośnięta lasami strefa krawędziowa wysoczyzny. Należyte miejsce znalazły też sopockie potoki.

Obszerniejszy jest tekst poświęcony ulicom Sopotu i ich zabudowie (75 stron). Jest to w pełni uzasadnione, bo w mieście zachowało się wiele cennych obiektów architektury, które autor w miarę możliwości, wynikających z ograniczonej objętości przewodnika, szczegółowo i ze znanstwem opisał. Przy nazwach ulic za niezwykle celowe uznać trzeba podanie ich dawnych nazw niemieckich i nazw powojennych, które po zmianach ustrojowych w kraju zostały zmienione oraz krótką prezentację ich patronów.

Na pozostałą treść przewodnika składają się dwie jego nie mniej szczegółowo opracowane części: „Życie społeczne i kulturalne” oraz „Szlachetne zdrowie...”. Zawierają one to, co na ogół w przewodnikach nazywa się informacją praktyczną. Tu jednak informacja jest tak obszerna i tak bardzo uszczegółowiona, że można śmiało powiedzieć – doprowadzona do perfekcji.

Prócz zachwyty nad treścią nowego przewodnika po Sopocie, niejako obowiązkiem recenzenta jest wskazać też na błędy zawarte w publikacji, bowiem bezbłędnych opracowań, obejmujących tak szeroką tematykę, praktycznie nie ma, bo przecież autor przewodnika nie może się znać na wszystkim. Wielu z nich, zwłaszcza z zakresu geografii i terminologii fizyko-geograficznej można było uniknąć, gdyby tekst przed jego opublikowa-



niem poddany został recenzji wydawniczej przez osobę kompetentną. Wówczas nie doszłoby do takich błędnych określeń, jak np. stroma krawędź (s. 9), dolna krawędź Wysoczyzny Gdańskiej (s. 20), górne piętra dolin (s. 21), górna krawędź (s. 45), zbocza wysoczyzny (s. 62), grzbiet wzgórza, zwarty grzbiet wzniesień, pasmo wzniesień oddzielających dolinę (s. 65). A poza tym stwierdzono bez sensu, że Trójmiejski Park Krajobrazowy wchodzi w skład obszaru chronionego krajobrazu (s. 20), że doliny Górnego Sopotu są wyżłobione przez podlodowcowe strumienie przed 14-12 tysiącami lat (s. 21) itd. Niekiedy autor przyjął też dla bogato urzeźbionego sopockiego odcinka strefy krawędziowej Wysoczyzny Gdańskiej wręcz terminologię górską, np. przełęcz pomiędzy Łysą Górą i Orlim Wzgórzem, przełęcz po północno-wschodniej stronie Opery Leśnej i w kotlinie zamkniętej od zachodu stokami Orlego Wzgórza (s. 68). I jeszcze jedno tego rodzaju stwierdzenie: Potok Gdynia... wypływa z podmokłej kotliny zagłębionej w stromym zboczu wysoczyzny, a poniżej źródeł spływa Gdynia naturalną kamienną kaskadą (s. 81).

Z innych uwag krytycznych trzeba wymienić brak spisu literatury, bo to, co zamieszczone zostało na stronie 36 pod tytułem „Co warto o Sopocie przeczytać”, to zaledwie 10 pozycji, z których pięć jest autorstwa F. Mamuszki, w dodatku bez zachowania chronologicznej kolejności, a w spisie miejscowej prasy zabrakło „Pomeranii” i „Jantarowych Szlaków”. Nie ma też podpisów pod fotografiami, ale są one bardzo dobrze dopasowane do tekstu, więc można było je pominąć, nie wolno jednak było pominąć objaśnień do mapy – załącznika bez tytułu, zamieszczonej w trzeciej kolejności. Całkiem niepotrzebnie natomiast męczył się autor przy opisie położenia Sopotu, obliczając jego szerokość i długość geograficzną, tym bardziej jego odległości od biegunów i od najdalej oddalonego fragmentu lądu na Oceanie Spokojnym. Nikt się nie będzie nad tym zastanawiał, bo to nie ta skala zainteresowania.

Mamy więc nowy, najdokładniejszy z dotychczas wydanych, przewodnik po Sopocie, opracowany w sposób niekonwencjonalny i wyczerpujący pod względem treści. Wymienione błędy będzie można usunąć w następnym, oby nie tak skromnym edytorsko, wydaniu.

Marek Sperski, Sopot. Przewodnik. Wydawnictwo Bryza, Gdańsk, brak roku wydania

JÓZEF BORZYSZKOWSKI

„ROCZNIK TORUŃSKI” – PODWÓJNY JUBILEUSZ

Najnowszy – 25 tom „Rocznika Toruńskiego” ma charakter jubileuszowego wydawnictwa już z tytułu swego numeru. Drugi jubileusz, w dziale „Kronika” obchodził wydawca – Towarzystwo Miłośników Torunia, co odnotowano w tomie. O „Jubileuszu 75-lecia Towarzystwa...” pisze Karola Ciesielska, jedna z filarów zarówno towarzystwa jak i grona współtwórców „Rocznika”. Obecny prezes towarzystwa, profesor Marian Filar, we „Wstępie” m.in. tak pisze: „Być może zabrzmi to nieskromnie, ale trudno byłoby na naszym rynku wydawniczym znaleźć periodyk poświęcony w istocie wyłącznie historii jednego miasta, który zdobyłby i zachował taki poziom i znaczenie. To oczywiście przede wszystkim »zasługa« naszego pięknego miasta, którego przebogata historia stwarza wdzięczny grunt dla takich działań. To zasługa naukowego środowiska toruńskiego, ludzi wysoce kompetentnych i, co najważniejsze, silnie związanych emocjonalnie ze swoistym, niepowtarzalnym toruńskim »genius loci«, których to pisarskiej działalności »Rocznik« używa swych łamów. To zasługa mecenasów »Rocznika«, którzy wspierają finansowo jego wydanie, rozumiejąc, iż tworzy on trwały wkład w budowie »toruńkości« oraz poczucia więzi duchowej miasta i jego mieszkańców, bez których nie znaleźlibyśmy się na światowej liście dziedzictwa kulturowego ludzkości w tak doborowym towarzystwie. Ale to głównie zasługa »ludzi Rocznika« – Sekcji Wydawniczej To-Mi-To oraz jego kolejnych redaktorów, ze wymienię tu dwóch ostatnich: dr. Tadeusza Zakrzewskiego oraz obecnego – dr. hab. Bogusława Dybasia, przedstawiciela młodej generacji, który udanie przejął redaktorską buławę od zasłużonych weteranów. Bez ich bezinteresownego, głębokiego zaangażowania i kompetencji nie byłoby owych tomów, z których to ostatni – 25 oddajemy dziś pod osąd Czytelników z nadzieją, iż dla dobra naszego mia-

sta i jego mieszkańców będziemy to robić przez długie jeszcze lata.

Oddawany Państwu do rąk tom 25 »Rocznika« jest szczególny nie tylko ze względu na swój okrągły numer i to, że wychodzi w roku 75-lecia To-Mi-To. Odnosi się on – nie przez okolicznościowe laurki, lecz przez solidne i wiele nowego wnoszące artykuły – do innych rocznic i jubileuszów: przypadającego w 1998 r. 75-lecia istnienia Książnicy Miejskiej, 60-lecia przyłączenia Podgórza do Torunia oraz obchodzonych w 1997 r. rocznic związanych z osobą wielkiego torunianina Samuela Bogumiła Lindego. Zawiera kolejną obszerną część Bibliografii Torunia. Przede wszystkim jednak tom 25 »Rocznika Toruńskiego« zawiera próbę odniesienia się do wspomnianego już wydarzenia o historycznym znaczeniu – to niewątpliwie znakomicie koresponduje z ukierunkowaniem »Rocznika Toruńskiego« na historię miasta, także na historię – zabytki, tradycje – stanowiące scenografię współczesnego życia społecznego, politycznego i przede wszystkim kulturalnego. W tym bowiem, jak się nam wydaje, tkwi najgłębszy sens badania i upowszechniania historii (w najszerszym tego słowa rozumieniu) Grodu Kopernika. Dobrze byłoby, aby »Rocznik Toruński« na miarę swoich możliwości (wynikających przede wszystkim z częstotliwości ukazywania) stał się – w kontekście wpisu na listę UNESCO – forum rozmowy i ewentualnie dyskusji na temat perspektyw związanych ze znalezieniem się miasta w tak elitarnym towarzystwie, na temat historii miasta jako wartości żywej i ważnej dla współczesności oraz na temat wynikającej przede wszystkim z wydarzeń »historii najnowszej«, historii dochodzącej do ostatnich niemal dni, kondycji miasta jako ośrodka życia kulturalnego, społecznego i politycznego”.

Przytoczyłem słowa prezesa prawie w całości, gdyż zawierają one nie tylko najważniejsze informacje o toruńskich jubileuszach, ale też o zawartości prezentowanego tomu. Otwiera go artykuł Lecha Witkowskiego „Genius loci Torunia: między dziedzictwem i odpowiedzialnością”, który można dedykować także gdańszczanom, zwłaszcza władzom Gdańska i innych najważniejszych w przeszłości i dziś ośrodków Prus Królewskich – Pomorza nad Wisłą.

Z. Witkowski stwierdza: „Duch miasta nie bierze się znikąd i nie wydaje się, aby mógł przetrwać w każdych warunkach. Dźwiga go dziedzictwo, ożywia go odpowiedzialność za przyszłość – bez tej dwoistej filozofii miasta jego byt byłby zagrożony martwością, wyjałowieniem, prowincjonalnością, a z czasem wręcz barbarzyństwem, któ-

rych przykładów tyle mamy wokół; wszędzie tam, gdzie życie kultury nie jest (nie było) integralnie włączone przez lata, ba, przez wieki w kulturę życia miasta, tam z czasem inaczej się myśli, inni ludzie zaczynają częściej stanowić rezerwar elit, tam też łatwiej o grę pozorów, o zastępcze przedmioty spalania emocji i potencjału twórczego. Dochowywanie wierności „duchowi miejsca” to nie tylko gest wspaniałomyślności historycznej, ale dramatycznie doniosła szansa kreowania oblicza miasta na miarę jego nowoczesności, zakorzenionej w historii, wyrosłej z historii ponad nią. I tak jak z autentyczną relacją mistrza i ucznia – tylko wyrastanie ponad historię jest dochowywaniem jej wierności, na jej miarę. (...)

Duch miasta w Toruniu zdaje się mieć w przededniu nowego stulecia pod wieloma względami swój okres dojrzałości i pomyślności i oby mu nigdy w przyszłości nie zaszkodziły doraźne koalicje i kompromisy polityczne czy partyjne; i on to pewnie spowodował ostatnio wymowną i godną powściągliwość mieszkańców miasta w manifestowaniu pragnienia bycia siedzibą wojewódzką. Ostatecznie u nas akurat wiadomo, że co innego zaświadcza o statusie kulturowym Grodu Kopernika, którego z Gdańskiem (jeśli już nie wspominając o skojarzeniach z „małym Krakowem”) łączy coś więcej niż tylko fakt, że mamy dwa największe kościoły Mariackie, obok krakowskiego, czy dwa wielkie nazwiska astronomów, z gdańskim Heweliuszem. (...)

Kolejny raz też okazało się, jak wiele swemu miastu mogą dać jego wielcy mieszkańcy. Tylko czy zawsze o tym włodarze różnych szczebli są wystarczająco skłonni pamiętać i to zanim można odsłaniać pamiątkowe tablice? Prowincjonalność to stan ducha zbiorowości, niezdolnej do odwracania relacji między centrum i peryferiami, jeśli nie umie ona otworzyć się na to, co stanowi o jej wartości kulturowej, co tę wartość ożywia i umacnia. Nawet wielkie i bardziej historyczne miasta, więc i Toruń nie jest tu wyjątkiem, muszą czuwać nad odrostami prowincjonalności, a wielkie wydarzenia czy momenty – a taki z pewnością przeżywamy, nie tylko ze względu na sam akt wpisu na listę dziedzictwa – służą kolejnemu »odnawianiu znaczeń«, jak to postulowała Maria Janion, nadawaniu im kształtu i oblicza przemawiających do wyobraźni nowych pokoleń, bo inaczej pokolenia te będą same obchodzić historię dookoła i z daleka, jeśli historia nie będzie ich obchodzić do żywego i z bliska. (...) Genius loci kultury i nauki w Toruniu żyje w najlepszej symbiozie z duchem pogranicza kulturowego, otwarcia, przerzucania

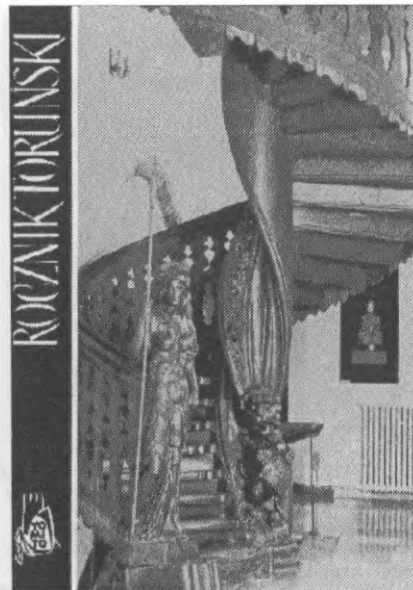
pomostów, wyciągania dłoni, jeśli już nie po zgodę, to przynajmniej po cudze racje. (...) Historycznie byłoby ważne, aby funkcja oddziaływania i »ogromna rola« także toruńskiego przecież Radia Maryja nie przyćmiły autentycznej kulturowej rangi odnowienia czy wręcz renesansu toruńskiej tradycji dialogu między religiami, w postaci Colloquium Charitativum. To zresztą, co w naszej kulturze cenimy i nagłaśniamy najbardziej, w przeciwieństwie do usuwanego w cień czy w przemilczenie, mówi znacznie więcej o nas samych niż nam się zwykle wydaje. (...)

Tym bardziej tak bardzo bolą także w Toruniu dające o sobie znać lokalne małości, partykularyzmy, jałowe spory i antagonizmy, niepozorne w skali, choć często groźne kulturowo gesty i zachowania ludzi z układów, bodaj czy nie będące skazą w każdym środowisku. Tym bardziej tak niezwykle cieszą kolejne lokalne inicjatywy i pomysły w kulturze, śmiało otwarcia naszej »małej Ojczyzny« kopernikańskiej na świat; tak ważą niepozorowane dofinansowania, często większe niż gdzie indziej, choćby i o rozmiarach na miarę możliwości, czy gesty doceniania przez władze akademickie i samorządowe potrzeb kultury, ludzi kultury i nauki. Tym bardziej cieszy, że niedawny wpis na listę dziedzictwa kulturowego dopełnia zadawniony fakt wpisywania się Torunia jego realnymi kontaktami i działaniami w międzynarodową przestrzeń żywej teraźniejszości kulturowej. Ta zawsze żywi się autentycznym oddechem dziejów, jak na uliczkach Starego Miasta w Toruniu. Choć należy pamiętać, że jak to trafnie zauważył Władysław Stróżewski, »genius loci jest wymagający«, trudno go zadowolić; nigdy więc nie pozwoli nam spocząć na laurach, nawet tak spektakularnych jak firmowane przez UNESCO.

W tych ostatnich słowach zawarto szczególnie ważne ostrzeżenie, o którym zapominają często nie tylko pseudopolitycy czy niby-społecznicy, także niektórzy intelektualisci.

„Gdańsk bogaty, Królewiec wielki, Elbląg warowny, Toruń – piękny” – opowiadali niegdyś ludzie na Pomorzu. „Część z tych prawd przestała obowiązywać. Zniknęła w mrokach dziejów wielkość Królewca, warowność Elbląga, nadszarpnięte zostało bogactwo Gdańska – tylko Toruń pozostał piękny” – tak zaczyna się tekst artykułu Krzysztofa Mikulskiego „Przestrzeny i społeczny rozwój Torunia do końca XVIII wieku”.

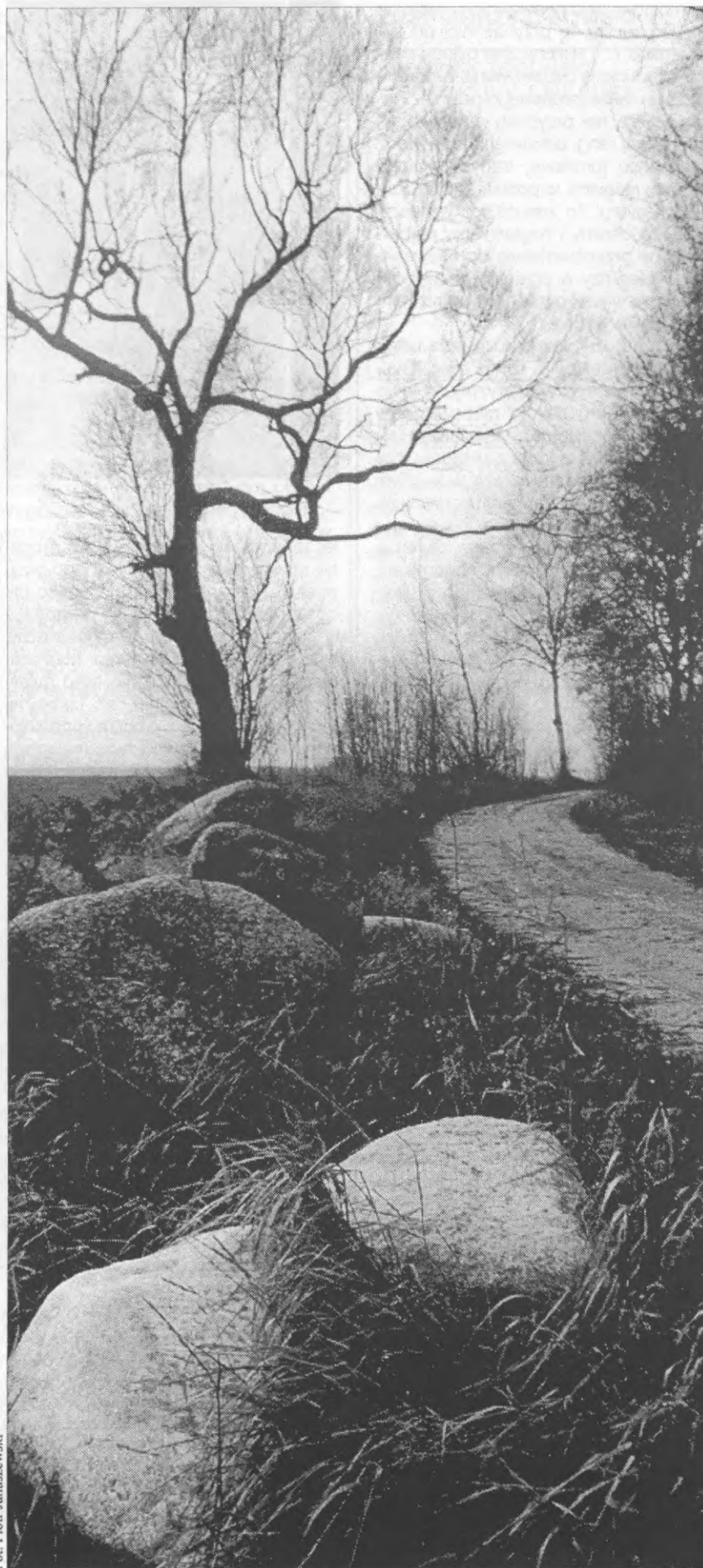
Podobnych, równie ciekawych starzych i nowych stwierdzeń znajdujemy w tym tomie „Rocznika Toruńskiego” więcej, a dotyczą one zarówno historii, jak i współczesności, w tym „Spo-



łeczeństwa obywatelskiego w procesie stawania się. Analiza jednego przypadku” Romana Bäckera. Cytując tak obszernie niektóre artykuły, pragnę też wyrazić, jako jeden z czytelników, wdzięczność twórcom tomu. Mam nadzieję, że sięgną doń nie tylko miłośnicy Torunia w Toruniu, ale także miłośnicy i włodarze Pomorza, podzielonego na trzy województwa, mającego nadal ogrom wspólnych zadań, tak w dziedzinie rozwoju gospodarki, nauki i edukacji, jak i ochrony i wzbogacenia dziedzictwa kulturowego. W tej ostatniej materii doświadczenia Torunia godne są szczególnej uwagi. Na zakończenie pragnę zwrócić jeszcze uwagę na dwa teksty – profesora Andrzeja Tomczaka „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej w Toruniu” i Urszuli Zaborskiej „Bibliografia miasta Torunia za lata 1994-1997” (wraz z indeksem osobowym). Oba w różny sposób prezentują i dokumentują ogrom organicznej, codziennej pracy, w tym pomorskich kobiet, które urzeczywistniają mit pomorskiej sumienności. Są nimi m.in. prof. Elżbieta Zawacka i mgr Urszula Zaborska, reprezentujące m.in. z profesorem Andrzejem Tomczakiem toruńskie – skromne liczebnie, ale bogate w dokonania indywidualne i zbiorowe – środowisko Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

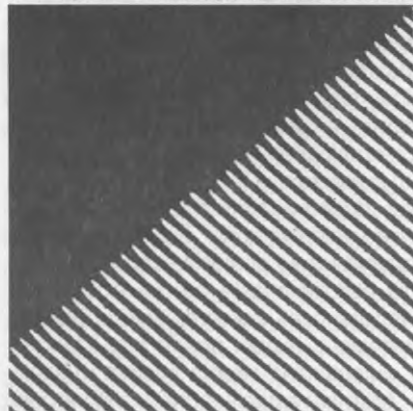
W imieniu „Pomeranii”, Instytutu Kaszubskiego i Zarządu Głównego ZKP w Gdańsku tą drogą śię To-Mi-To i Redakcji „Rocznika Toruńskiego” najserdeczniejsze jubileuszowe gratulacje i najlepsze życzenia dalszej owocnej pracy. Genius loci Torunia to także genius loci „Pomeranii”.

Rocznik Toruński, t. 25. Towarzystwo Miłośników Torunia, Toruń 1998



Fot. Piotr Januszewski

REGAŁ REGIONALNY



PAWŁA DZIANISZA

W kleszczach tajemnic

Bibliotekarze pewnie wiedzą, jak zachęcić do czytania. Ich wydawnicza seria zapowiada: tajemnice, sensacje, nieznanne wydarzenia, zapomniani bohaterowie. Autorka zdaje się dobrze czuć w tym programie, nawet bowiem naturalne sensacje opakowuje w sensacyjność, a tam gdzie im trochę nie dostaje, sięga po broń czasem zawodną: epatuje. Jest jednak w jej opowiadaniach sporo rzeczy ciekawych, na swój sposób tajemniczych, niektóre – jak historia śmierci „Wilhelma Gustloff’a” – wstrząsające. Pomorze Środkowe ukazuje się pod piórem wytrawnego dziennikarza krainą ciekawą i kuszącą do dalszych poszukiwań tajemnic. I lepiej – do ich rozwikływania.

Jolanta Nitkowska-Węglarz, „Tajemnicze Pomorze”. Wyd. Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Zarząd Okręgu, Słupsk 1998

Më trzimómë z Bògã

Bariera oddzielająca do niedawna język kaszubski od liturgii została – jak się zdaje – przełamana. „Niech nikogo nie dziwi, że odrodzenie za naszych dni kultury kaszubskiej, języka kaszubskiego objęło również płaszczyznę religijną, bo ona w życiu Kaszubów zawsze zajmowała pierwsze miejsce” – pisze na początku abp Tadeusz Gocłowski, metropolita gdański. Dla Kaszubów nastał więc czas oswojenia się z modlitwami kaszubskimi, kaszubską mszą św., litaniami, różańcem, drogą krzyżową, katechizmem, pieśniami religijnymi na dzień zwykły i na święta. Przełożelë i przerwëchtowëlë te kóscélne

módlętwę i spięwę oddani sprawie specjaliści, opiniodawcami są prof. dr hab. Edward Breza i ks. dr Jan Walkusz, co jest bardzo dobrą rekomendacją.

Më trzimómë z Bògã. Kòscélnë mòd-lëtwë i spiëwë, przëlòżëlë i przërëch-towëlë Eugeniusz Gołąbk i Eugeniusz Pryczkowski. Wyd. ZKP Oddział w Gdańsku, Wyd. Rost, Gdańsk 1998

Plon wiślanego sympozjum

Dobry obyczaj gromadzenia referatów sympozjalnych pozwolił na opublikowanie ciekawego wydawnictwa – Materiałów III Sympozjum Wiślanego, w szerokim przekroju ukazujących przyrodę i krajobraz Wisły. Temat nie tylko dla specjalistów, a dla każdego miłośnika przyrody, z zaproszeniem także nad Odrę.

Materiały III Sympozjum Wiślanego „Przyroda i krajobraz Wisły”, pod redakcją Romana Klima. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wisły, Muzeum Wisły – Oddz. CMM, Tczew 1997

Czwarty „Tytuł”

Gdańskie a ogólnopolskie pismo literacko-artystyczne „Tytuł”, kończąc rok własny, zapoczątkowało Rok Conradowski publikacjami Stefana Zabierowskiego („Lord Jim» Conrada – kamień milowy polskiej świadomości”) i Wioletty Dymel („Herling-Grudziński pod conradowską banderą – fascynacje”). Zawartość poukładana – jak zawsze – w tak interesujące działy, jak „Pamięć”, „Miejsca”, „Sztambuch”, „Prezentacje”, „Konteksty”, „Kolekcje” i inne; jeden z bloków poświęcono jubileuszowi poetki Teresy Ferenc. „Tytuł” trzeba czytać.

„Tytuł”. Pismo literacko-artystyczne, nr 4/98, Gdańsk

Pasierb przypominany

Wybór ze znanych i trudno już dostępnych tomików poetyckich niezapomnianego księdza poety, którego słowa – jak mówi w posłowie Jadwiga Puzynina – są życiodajnym pokarmem, pozwalają żyć, cierpieć i umierać w świecie prześwieconym tajemniczą, niewypowiedzianą, choć czasem jakże trudną dla człowieka, Bożą obecnością.

Janusz St. Pasierb, „Wierzę”. Wybór i opracowanie Maria Wilczek. Wyd. Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, Pelplin 1998

Czas Conrada

Na początek Roku Conradowskiego, pismo Polskiego Towarzystwa Conradowskiego „Con-teksty” utrafiło w uroczystość inaugurującą czas szczególnie poświęcony pamięci wielkiego pisarza. Pismo zawiera przede wszystkim materiały z międzynarodowej konferencji conradowskiej „Various National Perspectives on Conrad” (Gdańsk, w październiku 1997). Ważny to dokument działalności conradystycznej w świecie.

„Con-teksty”. Pismo Polskiego Towarzystwa Conradowskiego, nr 2/3, Gdańsk 1999

Trzech – dla wszystkich

Książka spodziewa się zainteresować nauczycieli i uczniów, ale także tych, którzy nie są ani jednymi, ani drugimi. Zakłada bowiem sobie pogłębienie edukacji regionalnej na Kaszubach i Pomorzu. Autorzy ostrożnie zamykają się w geografii, historii i języku, zgodnie z tytułem dwujęzycznej, polsko-kaszubskiej książki, jednak jej nurt jest o wiele szerszy i głębszy – po prostu uczy miłości do małej ojczyzny.

Józef Borzyszkowski, Jan Mordawski, Jerzy Treder „Historia. Geografia. Język i piśmiennictwo Kaszubów. Historia, Geografia, Język i pismienizna Kaszëbów”. Wyd. M. Rożak, Gdańsk 1999

Tyle o Bukowinie

Redaktor tomu stwierdza, że nigdy jeszcze dotąd informacje o Bukowinie w języku polskim nie ukazały się w tak rozległej perspektywie historycznej. Istotnie, dowiadujemy się sporo o peryferyjnie w wyobraźni usadowionej „Szwajcarii Wschodu”, czy – jak kto woli – o „Europie w miniaturze”, gdzie odwiecznie w przyjaznych układach żyło (i żyje) tyle narodowości. Aż dziw, że w indeksie nazwisk nie pojawia się nazwisko Vincenza, piewcy podobnego duchowego pogranicza. Znajdujemy jednak – dla przykładu – Rosę Auslaender, ową „Czarną Safonę wschodniego pejzażu” i, tak jej bliskiego, Celana w interesującym szkicu o miejscu i słowie. Bukowina tak blisko i tak była daleka, dziękować więc trzeba licznym autorom za podpowiadanie dialogu.

„Bukowina po stronie dialogu”. Pod redakcją Kazimierza Feleszki. Wyd. Pogranicze, Sejny 1999

Tabaczenie w Sejmie

● *Zażywanie tabaki stało się tematem debaty w Sejmie RP. Może to i dobrze, ponieważ została przypomniana stara kaszubska tradycja, która ma długą historię. W czasie zaborów czynność ta była znakiem przynależności do społeczności polskiej i symbolem patriotyzmu. Tabaka była zażywana w chwilach ważnych, uroczystych i podniosłych, w czasie świąt narodowych. Np. w kościele katolickim w XIX i na początku XX wieku zażywanie nie należało do rzadkości. Ksiądz udając się na ambonę, przed wygłoszeniem ważnego kazania, aby nawiazać bliską więź z wiernymi i zademonstrować, że jest jednym z nich, w sposób nie raz ostenacyjny zażywał tabaki.*

Zdarzało się również tak, że ksiądz w połowie przerywał kazanie, by sięgnąć do kieszeni sutanny po tabakierę i z namaszczeniem zażyć tabaki, a w ślad za nim czynili to prawie wszyscy obecni w kościele mężczyźni. Tabakierkę lub rożek z tabaką posiadał każdy szanujący się obywatel.

Tabakierka darowana przez ojca dorosłemu synowi była często najważniejszą w życiu osobistą pamiątką.

W czasie okupacji hitlerowskiej w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” zażywanie lub trzymanie w ręku rożka z tabaką w miejscach publicznych było znakiem identyfikacyjnym, że ma się do czynienia „ze swoim”. Częstowanie tabaką przybywających na Kaszuby gości jest wyrazem najwyższego uznania i szacunku. Z takimi honorami był przyjmowany ostatnio premier Jerzy Buzek, przebywający w Pucku 10 lutego 1999 r. z okazji 79 rocznicy zaślubin Polski z Morzem.

Dzisiaj ta prastara kaszubska tradycja jest mądrze kontynuowana i nie stanowi elementu jakiegoś zgubnego nalogu, który by zagrażał zdrowiu, ale jest ważnym składnikiem tożsamości kulturowej Kaszub i Pomorza.

**Stanisław Uciński
Gdynia**

KŁĚKA

Kaszubscy pisarze w Wejherowie

■ W Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie 27 lutego odbyło się III Zéńdzenié Útwórców Kaszëbsczi Pismieniznë połączone z promocją modlitewnika „Më trzimómë z Bôgã” Eugeniusza Gołąbka i Eugeniusza Pryczkowskiego. Spotkanie prowadził aktor Zbigniew Jankowski, a opinie o modlitewniku wygłosili recenzenci książki – ks. dr Jan Walkusz i prof. Edward Breza.

Zarówno recenzenci jak i uczestnicy spotkania podkreślali, że ukazanie się modlitewnika jest kolejnym przełomowym momentem w dziejach kształtowania się kaszubskiego języka literackiego i obecności kaszubszczyzny w Kościele. Modlitewnik, mówiono, powstał z inicjatywy grona uczestników II Kongresu Kaszubskiego, obradujących w zespole „Rola Kościoła i duchownych we wzmacnianiu tożsamości i kształtowaniu mentalności Kaszubów”. Następnym z postulatów tego gremium powinien

być lekcjonarz kaszubski – książka liturgiczna zawierająca fragmenty Pisma św., odczytywane podczas mszy św.; nad tym projektem od dość dawna pracuje E. Gołąbek.

Autorzy modlitewnika z uznaniem mówili o pracy profesorów Edwarda Brezy i Jerzego Tredera z Uniwersytetu Gdańskiego oraz księży doktorów Jana Perszona i Jana Walkusza z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, o ich inspiratorskiej i doradczej roli w procesie jego powstawania. Zarówno autorzy książki, jak i uczestnicy spotkania podawali przykłady żywego odbioru czytelniczego modlitewnika i jego używania podczas różnych praktyk religijnych, m.in. drogi krzyżowej i pustej nocy.

Jedno z zagadnień związanych z modlitewnikiem – czy powinno się tłumaczyć na kaszubski teksty polskojęzyczne – stało się nieoczekiwanie przedmiotem ożywionego sporu, który poszerzył się o niejednokrotnie w tym środowisku omawiany problem: jaką funkcję teraz i w przyszłości powinna pełnić kaszubszczyzna. Czy ma się ograniczać jedynie do języka przypisanego wspólnocie Kaszubów, czy ma to być język szeroko rozumianej kultury, otwartej na konfrontację nie tylko z polszczyzną, ale i wszystkimi językami i kulturami Europy. Większość uczestników spotkania opowiedziała się za drugą opcją, jednak kwestii nie można traktować jako zamkniętej.

Być może właśnie ta sprawa będzie tematem kolejnego spotkania twórców piśmiennictwa kaszubskiego. Organizatorami tegorocznego zjazdu były starostwa w Pucku i Wejherowie. Starostwo puckie, a także Oficyna Czeć z Gdańska i wejherowskie muzeum wydały z tej okazji okolicznościowy numer (4) pisma „Zsiwkw”. Cały numer zredagowany jest po kaszubsku. Poza licznymi wierszami, opowiadaniem i felietonami redakcja zamieściła wykaz 56 współczesnych autorów piszących po kaszubsku z krótkimi notami o ich publikacjach książ-

kowych i na łamach czasopism. Jak na parusettyśięczną wspólnotę etniczno-kulturową jest to niemała grupa, w dodatku legitymująca się dość pokaźnym dorobkiem literackim. s.j.

Jubileusz w Wierchucinie

■ Dwa lata temu, 26 stycznia 1997 roku w Wierchucinie powstał, z inicjatywy Jadwigi Kirkowskiej, oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Liczył 18 członków, a prezesowała mu Anna Muddlaß. Wkrótce na bazie oddziału powstał zespół Nasze Strone, którego kierownikiem został znany poeta i kompozytor kaszubski Jerzy Łysk. Zespół swymi występami uświetniał wiele festynów. Nasze Strone to nie jedynie osiągnięcie oddziału, jego oczkiem w głowie są też prowadzone przez Bożenę Witkowską kółka rzeźby, haftu i malarstwa, na które uczęszczają dzieci z okolic Wierchucina. Obecnie prezesem oddziału jest J. Kirkowska.

W dniu jubileuszu w miejscowym kościele odprawiona została msza św. z kaszubską liturgią słowa. Po mszy wszyscy spotkali się w remizie strażackiej. Obecny na uroczystości wiceprezes ZKP prof. Józef Borzyszkowski gratulując zrzeszeńcom powiedział, że rad jest, iż oddział i zespół się rozrastają, a ich członkowie propagują kaszebiznę. Wspominał między innymi Stanisława Ceynowę z Wierchucina, który do dziś, mimo swych dziewięćdziesięciu lat, śpiewa piosenki kaszubskie. W ubiegłym roku wydana została jego płyta „Më jesmë Kaszëbi”. Spotkanie było okazją do wręczenia legitymacji zrzeszeniowych nowym członkom; jest nas już 40. Gratulacje skła-



Fot. Stanisław Janke

Uczestnicy seminarium



Fot. autora

Eugeniusz Pryczkowski podpisuje modlitewnik

dał także wójt gminy Krokowa Kazimierz Plocke, który zaofiarował 1000 zł na sztandar dla oddziału. Modlitewnik kaszubski „Mě trzimómě z Boga” podpisywał Eugeniusz Pryczkowski, jeden z jego tłumaczy.

Roman Kościelniak

Człuchowskie spotkanie

■ 20 stycznia w Bibliotece Pedagogicznej w Człuchowie odbyło się spotkanie członków miejscowego oddziału ZKP. Jako że było to pierwsze spotkanie w nowym roku, składano sobie życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Następnie wręczono legitymację członkowską Emilii Miszewskiej, długoletniej sympatyczce naszego oddziału (mąż jest jednym z jego współzałożycieli) oraz przyjęto deklaracje członkowskie kolejnych pięciu kandydatów. Szczególnie cieszy fakt, że wśród nich są ludzie młodzi, którzy od lat obserwowali naszą pracę. To dobrze rokuje na przyszłość.

Omówiono również sprawy związane z przygotowaniem do obchodów 10. rocznicy istnienia oddziału.

Najważniejszym jednak punktem programu było spotkanie ze Stanisławem Janke, który już przed laty gościł w Człuchowie z okazji promocji swojej książki „Łiskawica”. Tym razem zaprezentował swoją najnowszą powieść: „Złoty kamień”, wydaną przez wydawnictwo Marpress pod koniec ubiegłego roku. W trakcie spotkania pisarz odpowiadał na liczne pytania związane zarówno z promowaną książką, jak i aktualną kondycją literatury kaszubsko-pomorskiej. Ogromne zainteresowanie wzbudziła recytacja „Sonetów krymskich” Adama Mickiewicza, przetłumaczonych na język kaszubski przez naszego gościa.

Spotkanie jak zwykle uprzyjemniły wspólnie wypieki naszych pań oraz wyborna kawa, którą raczyła nas gospodyni biblioteki.

M.F.

Z Bydgoszczy

Kujawsko-pomorskie na Targach Turystyki w Berlinie

■ W odbywających się od 6 do 10 marca w Berlinie Targach Turystyki uczestniczyli przedstawiciele regionu kujawsko-pomorskiego.

Na 16 m kw. przyznanych im w pawilonie polskim starali się pokazać najpiękniejsze miejsca turystyczne. Oprócz oferty Bydgoszczy, Inowrocławia i Włocławka przedstawiono również mniejsze gminy. Toruń



Fot. z archiwum człuchowskiego ZKP

Stanisław Janke (w środku) mówił o swojej książce i kondycji literatury kaszubskiej

tradycyjnie „wystawił” się oddzielnie. Reprezentanci regionu pomorsko-kujawskiego ze względu na Rok Chopinowski zaakcentowali ten wątek. Warto przypomnieć, że na terenie województwa znajduje się Szaflarnia, gdzie przebywał Fryderyk Chopin. Tutaj odbywają się recitale i koncerty chopinowskie.

Dodatkową atrakcją Targów Turystyki w ramach Dni Kuchni Polskiej były regionalne specjalności.

Wydział Teologiczny

■ Od grudnia ub.r. Prymasowski Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Bydgoszczy wchodzi w strukturę Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu jako Wydział Teologiczny. Obecnie w Prymasowskim Instytucie Kultury Chrześcijańskiej studiuje 327 osób w systemie zaocznym. Są wśród nich zarówno osoby świeckie jak i duchowne. Dyrektorem sekcji jest ks. dr Wojciech Szukalski.

40-lecie Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Bydgoskiej

■ Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Bydgoskiej powstał z chóru działającego przy Filharmonii Pomorskiej. Liczy ponad 100 członków. W jego skład wchodzi dorośli i dzieci. Tańczą i śpiewają studenci i pracownicy naukowcy, lekarze, prawnicy, nauczyciele i inni. Integralną częścią zespołu jest kapela. Grają w niej uczniowie średniej szkoły muzycznej i studenci Akademii Muzycznej.

Zespół w swoim repertuarze oprócz utworów kujawskich ma pieśni i tańce kaszubskie, łowickie, opoczyńskie, śląskie, krakowskie i góralskie. Kierownikiem muzycznym zespołu jest Izabela Cywińska, choreografem i jednocześnie kierownikiem

artystycznym Elżbieta Kornaszewska-Gil. Prezesem zespołu jest Andrzej Dyakowski.

Materiały do dziejów kultury i sztuki Bydgoszczy i regionu

■ Ośrodek Dokumentacji i Popularyzacji Zabytków przy Wojewódzkim Domu Kultury w Bydgoszczy przygotował kolejny, trzeci zeszyt poświęcony prezentacji efektów interdyscyplinarnych badań nad historią miasta i regionu, dziejom jego zabytków i zasobów kultury materialnej.

W najnowszym numerze zamieszczono m.in. interesujące przyczynki do historii bydgoskiego ratusza na Starym Rynku i do dziejów Szubina. Lech Łbik dokonał analizy sztychu Eryka Dahlberga z 1656 r., przedstawiającego widok Bydgoszczy; dzieło tego słynnego szwedzkiego artysty rysownika wiarygodnie identyfikuje ówczesną zabudowę miasta. L. Łbik jest ponadto autorem artykułu na temat rytu figuralnego na kamieniu w Gliśnie Krajeńskim. Według niego, jest to dzieło powstałe w tradycji pogańskiej.

W numerze zaprezentowano też bogatą twórczość znanego niegdyś, dziś zapomnianego, grafika i pedagoga Stanisława Brzęczkowskiego, autora „Tek bydgoskich”. Na uwagę zasługują krytyczne opinie o sztuce architekta Fritza Weidnera, autora wielu realizacji w Bydgoszczy.

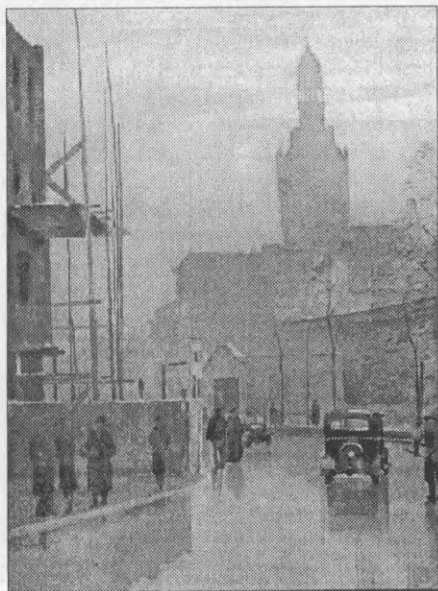
Ciekawą jest też historia budynku przy ul. Gdańskiej, w którym obecnie mieści się Opera Nova. W okresie pruskim było tu Towarzystwo Kasynowe Erholung, po odrodzeniu państwa polskiego Kasyno Cywilne, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych i pierwsza siedziba Liceum Plastycznego w Bydgoszczy, a po II wojnie Pomorski Dom Sztuki. Ważnym dopełnieniem bydgoszczanów jest artykuł Marka Romaniuka o twórczości Ferdinanda Lepckiego. Autor skoncentrował się na genezie i losach nie istnie-



Wernisaż wystawy *Europejskie Stroje Ludowe*



Bogdan Migiel przy pracy nad *Pietą*



Otto Priebe „Pejzaż miejski z ratuszem”



Kazimierz Bąbkiewicz „Stary dąb”

jącego już monumentalnego „Potopu”. Ośmiometrowa rzeźba ustawiona została w 1904 r. w parku na zapleczu siedziby Królewsko-Pruskiej Regencji. Niedawno zrodził się pomysł restauracji monumentu, utworzono Komitet Odbudowy „Potopu”, który m.in. zbiera środki na odbudowę rzeźby.

Warto również zwrócić uwagę na bardzo interesujące artykuły o witrażach w miejskiej farze pw. NMP Matki Pięknego Miłości i o malowidłach ściennych w kościele pw. św. św. Piotra i Pawła. Agnieszka Wysocka omówiła witraże na podstawie projektów dwóch witraży zachowanych w zbiorach archiwalnych Oddziału Wojewódzkiego Państwowego Służby Ochrony Zabytków. Polichromia w kościele pw. św. św. Piotra i Pawła to, zdaniem autora artykułu Witolda Garbaczewskiego, skomplikowana koncepcja ikonograficzna ośmiu godzin kanoicznych.

Jolanta i Józef Losiowie przedstawili wyniki badań archeologicznych przeprowadzonych przy okazji prac budowlanych w Szubinie. Odkryto wówczas fragmenty drewnianej ulicy, studni, budynku gospodarczego i koryta do odprowadzania deszczówki.

Trzeci zeszyt „Materiałów do dziejów kultury i sztuki Bydgoszczy i regionu” jest starannie wydany i bogato ilustrowany. Redaktorem naukowym wydania jest prof. Zygmunt Kruszelnicki.

Publikację wydano dzięki wsparciu Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. **RM**

Ze Sławna

Stroje ludowe w Darłowie

■ W marcu i kwietniu eksponowana jest w muzeum w Darłowie wystawa Europejskiego Stroju Ludowego ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Organizatorzy wystawy pokazali ponad 50 kostiumów i ubiorów z tzw. zespołu wschodniego – stroje huculskie, z Laponii, Łotwy, Rumunii, Bułgarii, Macedonii, Czarnogóry, Albanii oraz kilkanaście strojów z tzw. zespołu zachodniego – stroje z Moraw, Słowacji, Danii, a także z Polski – ze Śląska Cieszyńskiego, z Małopolski z okolic Biłgoraja.

Pieta Bogdana Migla

■ Bogdan Migiel, sławieński rzeźbiarz amator, tworzy od 12 roku życia. Duża część jego twórczości inspirowana jest Biblią. Chrystus, sceny z Ewangelii – to częste tematy jego prac. Pracuje w drewnie lipowym i dębowym. Jego prace znajdują się w zbiorach prywatnych w Polsce i za granicą. W 1995 r. uczestniczył – jako jedyny nieprofesjonalista – w VI Triennale Rzeźby Religijnej w Krakowie. W końcu ubiegłego roku ekspozycja ponad 90 rzeźb w salonie wystawowym Sławieńskiego Domu Kultury.

W styczniu otrzymał propozycję wykonania rzeźby, jednego z elementów ołtarza, który będzie wzniesiony w Gdańsku z okazji tegorocznej pielgrzymki Jana Pawła II. Autorem projektu ołtarza – podobnie jak tego z 1987 r. – jest profesor Marian Kołodziej. W bocznych skrzydłach ustawione zostaną świątki, kapliczki wykonane przez prawie 50 twórców ludowych z Pomorza.

W niewielkiej pracowni w piwnicy budynku, w którym mieszka B. Migiel, powstaje „Pieta”. Postacie Matki Boskiej i Chrystusa są naturalnej wielkości.

Wystawy

■ W lutym w galerii Sławińskiego Domu Kultury czynna była wystawa malarstwa Otto Priebego. Artysta urodził się w Sławnie 5 września 1886 r. W 1903 r. ukończył miejscowe gimnazjum. Następnie udał się do Monachium, gdzie uczył się malarstwa w szkole kierowanej przez Hermana Groebera.

W końcu lat 10. naszego wieku zamieszkał w Słupsku (w 1919 r. wymieniony jest jako członek założonego w tym samym roku Miejskiego Stowarzyszenia Sztuki). Tu powstaje większość jego prac. Rysuje i maluje charakterystyczne widoki Słupska, krajobraz pomorski i ludzi, martwą naturę. Wykonuje też na zlecenie portrety honorowych obywateli Słupska. Obrazy wystawiał w Słupsku i w Monachium. W marcu 1945 r. został wywieziony przez Rosjan do Grudziądza. I była to ostatnia informacja o nim.

Prace prezentowane na wystawie w Sławnie pochodzą ze zbiorów Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Wystawa Priebego to kolejna ekspozycja dawnych twórców Pomorza związanych ze Sławem. Wcześniej prezentowano prace Otto Kurskiego i H.E. von Zitzewitza.

W marcu czynna była wystawa Kazimierza Bąbkiewicza. Jest on absolwentem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie i Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu. Od połowy lat 70. mieszka w Sławie. Najczęstszym tematem jego prac jest pejzaż, maluje także martwe natury, portrety, wykonuje kopie dawnego malarstwa. Wystawiał w kraju oraz w Rinteln i Bad Neundorf (Niemcy). W Sławie prezentował swoje prace kilkakrotnie.

Jan Sroka

Z Lęborka

Rekolekcje

■ W lutym odbyły się zimowe rekolekcje Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Diecezji Pelplińskiej. Wzięło w nich udział 101 uczestników z 24 parafii (najliczniejsza była grupa młodzieży ze Starej Kiszewy).



Kazimierz Bąbkiewicz „Pejzaż zimowy”



Podczas wernisażu wystawy Otto Priebego. Fotografie: Jan Sroka



Podczas rekolekcji był też czas na występy



Paweł Kobierzyński i jego podopieczni



Zbigniew Junik w swoim Klubie Prasy

KSM istnieje w Łęborku od 1994 r. Zrzesza ludzi w wieku od 14 do 30 lat (głównie są to uczniowie miejscowych szkół średnich). Jest organizatorem akcji charytatywnych (w ub. roku za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kart bożonarodzeniowych przygotowało wspólnie z Caritasem paczki dla dzieci). Chlubą łęborskiego KSM jest muzyczny zespół Abigail, który uświetnia uroczystości kościelne i jest zauważany na różnych przeglądach.

Temat rekolekcji prowadzonych pod kierunkiem ks. kanonika Antoniego Bączkowskiego, asystenta diecezjalnego KSM, dyrektora wydziału duszpasterskiego diecezji pelplińskiej, zawierał się w słowach: „Wolność, Odpowiedzialność, Miłość”. Przez kilka dni uczestnicy, zakwaterowani w internacie Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, brali udział w zdjęciach grupowych (prelekcje, pokaz slajdów na temat przedstawień Matki Bożej w sztuce). Był czas na rozważania i modlitwę (wspólne msze św.) oraz na zabawę (skecz i scenki teatralne). Uczestnicy rekolekcji bawili się z dziećmi z Domu Dziecka nr 1 oraz dali koncert pieśni religijnej w Domu Opieki Społecznej przy ul. Stryjewskiego. Do najciekawszych wydarzeń kulturalnych należała wizyta w miejscowym muzeum. Rewelacją okazał się występ trójmiejskiej grupy Duval, która przedstawiła szeroki repertuar, od piosenki religijnej po biesiadną.

Pozostały w mieście

■ Łabędzie, które są ozdobą stawów miejskich, od kilku lat trafiają zimą do Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej.

Od 4 lat opiekuje się nimi dozorca Paweł Kobierzyński. W niewielkim pomieszczeniu przy kotłowni przebywa w tym roku 6 ptaków, przewiezionych jesienią z dwóch miejskich stawów – w parku Chrobrego i przy dworcu PKP. Łabędzie nie są zbyt wymagające. Lubią ciepło. Gdy nie ma mrozu, wypuszcza się je na zewnątrz, aby pospacerowały na wyznaczonym przez pana Pawła wybiegu.

Jedzą dwa razy dziennie, chleb, pszenicę i paszę. W zimowym „domu” przebywać będą do kwietnia.

Klub Prasy

■ Od lutego przy ul. Węgrzynowicza funkcjonuje Klub Prasy. Kieruje nim Zbigniew Junik, jeden z najbardziej wziętych kioskarzy w mieście.

Dotychczas sprzedawał prasę w tradycyjnym kiosku Ruchu. W zawodzie pracuje 8 lat. Z zamiłowania jest CB-istą (szef ratownictwa drogowego w łęborskiej jednostce CB-radio). Jego nowe miejsce pracy, podobnie jak poprzednie, wyposażone zostało w urządzenia nadawczo-odbiorcze CB-radio, dzięki którym w sytuacjach zagrożenia życia szybko kontaktuje się z policją, pogotowiem ratunkowym i Strażą Pożarną.



Urodzinowe zdjęcie. Fotografie: Andrzej Radajewski

W ofercie Klubu Prasy, gdzie można usiąść, wypić kawę i przejrzeć czasopisma, jest ponad 1100 tytułów prasowych. Niedługo będzie ich ponad 2 tysiące (asortyment poszerzy się o prasę zagraniczną). Obecnie jest w sprzedaży kilka gazet angielsko- i niemieckojęzycznych. Każdego dnia w godz. od 5.30 do 19.00 odwiedza pana Zbyszka 200-260 osób. W piątki i soboty klientów jest dwukrotnie więcej.

Maresci mają 10 lat

■ W Gminnym Centrum Kultury świętowano w lutym dziesiątą rocznicę powstania chóru Maresci oraz trzecią rocznicę utworzenia oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Cewicach.

Śpiewali nie tylko solenizanci, ale także ich goście: zespół Jasień z Jasienia oraz chór żeński z Potęgowa. Obecni byli m.in. senator Kazimierz Kleina, Brunon Synak, wiceprzewodniczący Sejmiku Pomorskiego i prezes zarządu głównego ZKP oraz „ojcowie chrzestni” cewickiego oddziału ZKP: Franciszek Szczypior i Brunon Kwidziński z Lęborka.

Zespół Maresci (nazwa wzięła się od imienia Maria, które noszą cztery śpiewające panie) założyła w 1989 r. Maria Sucharska, ówczesny dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury (obecnie prezes ZKP w Cewicach). Oprócz pani Marii, chór tworzą: Lucyna Bu-

raczyńska, Agnieszka Cybula, Magdalena Czaja, Ewa Czapiewska, Danuta Formela, Regina i Maria Gańskie, Janina Keller, Stanisława Markowska, Maria Szymikowska i Maria Wałęcak. Instruktorem muzycznym i akompaniatorem jest Leszek Łunecki, dyrektor cewickiej podstawówki.

Maresci znane są nie tylko w Cewicach. Występowały już w Sławnie, Golubiu Dobrzyń, Wejherowie, Łebie, Lęborku, Bytowie i wielu innych miejscach. Uświetniają wieczory poezji, msze kaszubskie (m.in. w Siemirowicach) oraz dożynki. Wszędzie, gdzie się pojawiają zjednują publiczność otwartością i humorem. W GCK zaśpiewały stałe hity ze swojego repertuaru m.in. „Dzisiaj taka moda”, „Czy ty babo zgłupiała”, „Rebuk”, „Tam gdzie Bałtyku szumi piękne morze”, „Cewickie chłopaki”.

– Mamy 128 piosenek w repertuarze, w tym większość kaszubskich – mówi M. Sucharska. – Jeśli chodzi o ZKP, to najważniejszą sprawą jest wprowadzenie języka kaszubskiego do szkół. Jak powiedziała pani Maria, Urząd Gminy w Cewicach jest zawsze życzliwy dla Mareszek. Przekazał stroje, opłaca wyjazdy na występy i zapewnia autokar. Na 10. urodziny ofiarował zespołowi czek, za który chórzystki kupią nowe buty. Urodziny zakończyły się wielką ucztą i tańcami do białego rana.

Andrzej Radajewski

„Siedem lat tłustych” Trsowa

■ Obchody 7-lecia Nadwiślańskiego Klubu Krajoznawczego Trsow, działającego przy Muzeum Wisły w Tczewie, odbyły się pod hasłem „Siedem lat tłustych” NKK Trsow. 27 lutego w muzeum zaroilo się od gości. Wśród 106 uczestników uroczystości spotkał się kwiat polskiego krajoznawstwa oraz przedstawiciele licznych organizacji i instytucji ściśle współpracujących z klubem. Jak ptaki do gniazda zlecieli się też członkowie klubu z różnych zakątków województw: pomorskiego i warmińsko-mazurskiego, a nawet z odległego ponad 600 km Rybnika. Była również 12-osobowa grupa dzieci z Państwowego Domu Dziecka w Tczewie, którego wychowankowie uczestniczą bardzo aktywnie w życiu Trsowa.

Dorobek NKK Trsow przedstawił zebrany jego prezes Roman Klim. Goście przekazali pisma gratulacyjne, dyplomy i piękne upominki. Przewodniczący Rady Miasta Tczewa Kazimierz Smoliński uhonorował Romana Klima Medalem 740-lecia Rady Miejskiej w Tczewie (najstarszej na ziemiach polskich). Potem posypał się deszcz wyróżnień indywidualnych dla członków klubu.

Oficjalną część uroczystości zakończyła recytacja w wykonaniu 10-letniego Michała Wołczewskiego-Klima wiersza „Włóczęga I” Wacława Korabiewicza (nieżyjącego już przewodnika duchowego Trsowa).

W części artystycznej program wypełnił zespół wokalny Klubu Wędrowki i Przygody Tramp. Przedstawił on „historię NKK Trsów przez klubowiczkę spamiętaną i sercem spisana” (przez Irenę Brucką) wraz z hymnem Trsowa napisanym na tę okazję. Później był koncert piosenki „z krainy piękna i łagodności” przy akompaniowaniu gitar. Koncert był kontynuowany przy ognisku płonącym na dziedzińcu Muzeum Wisły, pod „batutą” Marka Płoskiego z Elbląga, którego gitara i śpiew znane są w całym regionie. Potem uczestnicy przenieśli się do wnętrza muzealnych, gdzie czekały różne cuda, przygotowane przez panie z zespołu organizacyjnego obchodów.

Po smakowitym poczęstunku nastąpił pokaz kronik – kilkadziesiąt kronik reprezentujących różne środowiska. Specjalnie powołana komisja w najbliższym czasie dokona szczegółowej ich oceny i klasyfikacji oraz wyłoni zwycięzców. Postanowiono jednocześnie organizować rokrocznie, z okazji kolejnych rocznic klubowych, następne wielkie pokazy kronik.

Potem, przy palących się świecach, nastąpiła dalsza część koncertu, któremu ton nadawały gitara i śpiew M. Płoskiego. Wspomnianym uzupełnieniem tego pięknego koncertu był nieoczekiwany występ Wojciecha Kuczkowskiego, który potężnym, czystym głosem zaśpiewał po ukraińsku dumę z „Kobziarza” Tarasa Szewczenki oraz zaprezentował swoje utwory poetyckie. Uczestnicy jubileuszowego spotkania rozstali się późnym wieczorem. Na kanwie tego spotkania narodziła się myśl, aby co roku z okazji narodzin klubu organizować Tczewskie Forum Krajoznawcze, którego myślą przewodnią byłyby problemy krajoznawstwa wiślano-rzeczne.

Roman Klim

„Palma bije, nie zabije...”

■ Muzeum etnograficzne w Toruniu zorganizowało 21 marca kiermasz wielkanocny. Ponad 30 twórców z różnych regionów Polski zaprezentowało swoje wyroby związane z tradycją świąt Wielkiej Nocy. Kupujący mieli do wyboru palmy kurpiowskie, podlaskie, radomskie, wileńskie – wszystkie wykonane z naturalnych surowców: suszonych kwiatów, gałązek, trzciny, słomy, bibułki. Pisankarki zaproponowały różnorodne pisanki: zdobione metodą batiku (pisane woskiem), oklejane rdzeniem sitowia, kolorową wycinanką, wreszcie wyskrobywane tzw. kroszanki. Można też było nabyć koszyczki do święconego i większe, hafto-

wane serwetki, baranki oraz wiele innych drobiazgów na upominki od zajączka: ludowe zabawki, drewniane ptaszki, współczesne zabawki drewniane, drobne wyroby ceramiczne, koronki z Koniakowa i wiele innych.

Bogata oferta ludowych twórców cieszyła się ogromnym zainteresowaniem.

J.M.

Poszukujemy pamiątek sprzed i po 1 września 1939

■ Gdańska Galeria Fotografii, będąca Działem Muzeum Narodowego w Gdańsku, przygotowuje wystawę poświęconą 60. rocznicy wybuchu wojny. Poszukujemy listów, zapisków, fotografii i dedykacji z okresu przed i po 1 września 1939. Depozyty zwracamy po ekspozycji, zaś dary przyjmujemy z wdzięcznością.

Stefan Figlarowicz, Gdańska Galeria Fotografii, ul. Grobla I 3/5, 80-834 Gdańsk, tel. (058) 301-71-47, fax 301-11-25.

Zaproszenie na Jarmark Kociewski

■ Ośrodek Kultury Sportu i Rekreacji w Świeciu po raz trzeci organizuje Jarmark Kociewski. W tym roku planujemy: koncerty zespołów folklorystycznych, amatorskie widowiska obrzędowe, biesiady literackie twórców Kociewia, warsztaty twórcze dla dzieci oraz prezentacje i sprzedaż prac twórców ludowych.

Jarmark odbywać się będzie od 15 do 16 maja w amfiteatrze. Do udziału zapraszamy artystów z całej Polski.

Na zgłoszenia czekamy do 30 kwietnia. Szczegółowe informacje można uzyskać u instruktorów Ośrodka Kultury Sportu i Rekreacji, ul. Wojska Polskiego 139, 86-100 Świecie, tel./fax (kier. 052) 33 12 720.

Pomnik Polsko-Kanadyjskiego Braterstwa Broni

■ Z inicjatywy ambasadora Kanady Serga Aprila, przed budynkiem ambasady w War-

szawie przy ul. Matejki stanął pomnik upamiętniający polsko-kanadyjskie braterstwo broni.

Inicjatywa ta została przyjęta z wielkim entuzjazmem przez środowiska kombatan-tów polskich i kanadyjskich, gdyż, zaiste, historia wspólnych wysiłków militarnych zarówno podczas I, jak i II wojny światowej jest długa i chwalebna. Może warto przypomnieć najważniejsze (za p. Edwardem Poznańskim z Nepean, Ontario).

W latach 1917-1919 w Niagara-on-the-Lake był obóz szkoleniowy dla polskich żołnierzy. Przewinęło się przezeń 22 395 polskich ochotników. Wielu obywateli kanadyjskich z okolicy tego pięknego miasteczka zbierało żywność, odzież, lekarstwa i pieniądze dla walczącej Polski. Pani Elizabeth C. Ascher, która szczególnie się zasłużyła, została uhonorowana po wojnie orderem Polonia Restituta.

W roku 1939 polski liniowiec m.s. „Batory” został zmilitaryzowany i przekształcony w transportowiec. W latach 1939-1942 odbył pięć kursów przez Atlantyk, przewożąc kanadyjskie oddziały do Wielkiej Brytanii. Polskie niszczyciele ORP „Garland”, „Piorun” i „Burza” współpracowały z kanadyjskimi jednostkami podczas bitwy o Atlantyk w latach 1941-43.

Polskie i kanadyjskie dywizjony walczyły skrzydło w skrzydło podczas bitwy o Anglię (1941-43) oraz w kampanii tunezyjskiej. Kanadyjski pilot, John Kent, był w polskim dywizjonie 303; w roku 1941 został uhonorowany Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari za tę służbę.

Kanadyjscy piloci uczestniczyli w lotach do walczącej Warszawy w sierpniu 1944, wielu zginęło.

W roku 1944 kanadyjskie oddziały wspierały we Włoszech polski II Korpus podczas bitwy pod Monte Cassino, na linii Gotów oraz nad rzeką Senio.

W Europie północno-zachodniej I Dywizja Pancerna generała Maczka podlegała I Armii Kanadyjskiej. Kanadyjczycy i polscy pancerniacy razem walczyli we Francji, Belgii i Holandii oraz w północnych Niemczech, wyzwalając wspólnie wiele miast i ratując się nawzajem w bardzo trudnych sytuacjach. Właśnie środowisko pancerniaków przywitało inicjatywę powstania pomnika z największą radością.

Zamysłem ambasadora było, aby wspólna historia wysiłków wojennych żołnierzy polskich i kanadyjskich była symbolizowana przez dwa głazy: jeden z Kanady, drugi z Polski. Tak też się stało. Dzięki inicjatywie Jamesa Visutskiego (Wysockiego), ówczesnego radcy i konsula ambasady Kanady w Warszawie, piękny głaz kanadyjski pochodzi z pola Ludwika Maska z Wilna w Ontario, potomka jednego z pierwszych polskich emigrantów, kanadyjskiego Kaszuby, a wybrała go spośród wielu innych kamieni, którymi są usiane tamtejsze pola, Lynn Visutskie, żona Jamesa. Inny kanadyjski Kaszuba, Mervin Olszeski, przetransportował głaz z Wilna do bazy wojskowej, skąd



Pomnik Polsko-Kanadyjskiego Braterstwa Broni

został przewieziony samolotem wojskowym do Polski.

Głaz polski, równie wielkiej urody, pochodzi z Mazowsza, a został darowany przez Adama Sutkowskiego, właściciela warsztatu kamieniarskiego, w którym pomnik powstał, wykonany przez artystę rzeźbiarza Marka Moderaua.

Uroczystego odsłonięcia pomnika 26 stycznia 1999 r. dokonali premierzy Polski i Kanady: Jerzy Buzek i Jean Chretien w asyście weteranów oraz wojskowych. Pomnik został też poświęcony przez biskupa polowego WP Sławoja Leszka Głodzia.

Była to wzruszająca uroczystość, przywołująca wiele wspomnień. Obecni na niej weterani z obu krajów byli bardzo przejęci i po uroczystej ceremonii długo nie mogli się rozstać, wspominając wspólne losy, które z perspektywy 45 lat wydają się im najlepszym okresem życia.

Ironią losu jest, że kamienie, przekleństwo pierwszych polskich osadników w Ontario, gdyż pola „rodziły” je co roku, z wielkim trudem zbierane i układane w mury odgradzające pola, po 140 latach kaszubskiego osadnictwa w Kanadzie pięknie symbolizują braterstwo broni żołnierzy polskich i kanadyjskich, którzy wspólnie walczyli na frontach II wojny światowej.

Wanda Czyżewska

Nieznane zdjęcia?

■ Kilka fotografii Stanisława Ignacego Witkiewicza przywiózł do Słupska Grzegorz Grabski – prawnuk słynnego przedwojennego polskiego premiera Władysława Grabskiego.

– Ponieważ dziadek mój był przed wojną nie tylko wziętym pisarzem katolickim, ale i zapalonym fotografikiem, w spadku po nim otrzymałem ogromne archiwum fotograficzne, kilkadziesiąt tysięcy negatywów – mówi G. Grabski. – Dziadek przyjaźnił się z wieloma artystami – pisarzami, malarzami, muzykami. Przyznam szczerze, że jeszcze całego archiwum dziadka nie poznałem. Jak wiem, dziadek był chory na gruźlicę i często przebywał w Zakopanem, tam zaprzyjaźnił się z Witkacym oraz kręgiem towarzyszących mu ludzi. Ich drogi rozeszły się pod koniec lat 30., ale przez wiele lat byli sobie dość bliscy.

Podczas dwóch pobytów w Zakopanem – w listopadzie 1931 roku i w styczniu 1932 roku dziadek fotografował teatralne inscenizacje Witkacego i jego przyjaciół. Dziś określilibyśmy je mianem happeningów. Cała kolekcja liczy 40 fotografii. Zamierzam udostępnić je słupskiemu muzeum. Nieprawdą jest jednak to, co podały media,

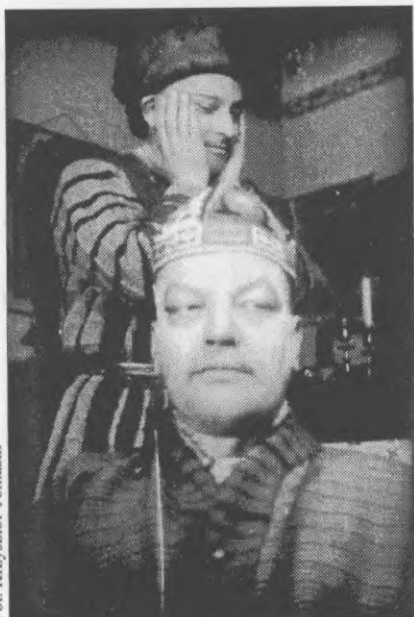
że są to zdjęcia dopiero odkryte w naszym rodzinnym archiwum. Część tych zdjęć funkcjonowała wcześniej, tyle, że jako anonimowe. Być może w archiwum dziadka są jeszcze jakieś inne nieznane zdjęcia przedwojennych twórców, ale zrobione przez niego zdjęcia Witkacego znano już przed wojną, choć tylko kilka z nich publikowano.

Współ z historykiem sztuki Julianem Hanakiem z muzeum próbowaliśmy rozszyfrować, kogo przedstawiają fotografie. Prawdopodobnie tylko zdjęcie Witkacego w czapce cyklistówce, któremu towarzyszy Janina Turowska-Leszczynska, pochodzi ze stycznia 1932 r. Pozostałe powstały w wili Teodora Biruli-Białynickiego w listopadzie 1931 r.

Zdjęcia, które Grzegorz Grabski przekazał słupskiemu muzeum, zostaną opracowane i pokazane dopiero za rok, podczas jubileuszowej wystawy z okazji 60. rocznicy śmierci Witkacego.

Potężne archiwum fotograficzne W.J. Grabskiego powinno doczekać się solidnej inwentaryzacji. Ten współautor wydanej tuż po wojnie książki „300 miast wróciło do Polski”, z aparatem w dłoni przemierzył całe ziemie odzyskane i jego zdjęcia mogą być dziś niezwykle i bezcenną dokumentacją historyczną.

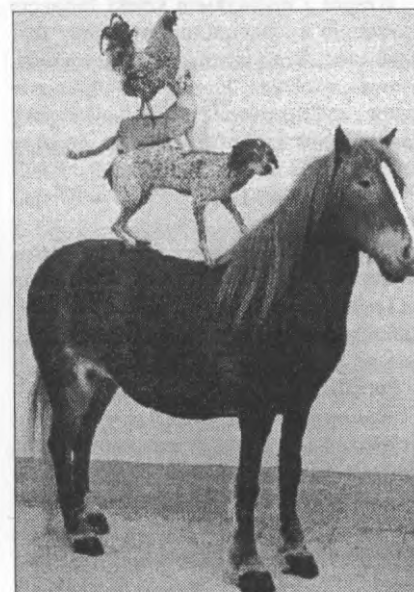
Jolanta Nitkowska-Węglarz



Witkacy na zdjęciu z kolekcji Grzegorza Grabskiego



Wystawę prac Witkacego zwiedziła minister Joanna Wnuk-Nazarowa



Katarzyna Kozyra „Piramida zwierząt”

Notes plastyczny

Gdańska grafika roku

■ 26 lutego przyznano doroczne nagrody w konkursie na Gdańską Grafikę Roku. I nagrodą uhonorowano Andrzeja Taranka, II Danutę Jaśkowską, III – Janinę Rudzicką. Wśród wyróżnionych twórców znaleźli się: Grzegorz Radecki, Sławomir Grabowy, Beata Babińska, Magdalena Zięba, Danuta Jaśkowska, Maja Alicja Necko.

Laureat głównej nagrody ukończył studia na Wydziale Grafiki PWSSP w Gdańsku w 1982 roku. Zajmuje się grafiką artystyczną, użytkową; na szczególne wyróżnienie zasługują projekty okładek do wydawnictw Uniwersytetu Gdańskiego. Jako jeden z nielicznych gdańskich grafików para się exlibrisem. W konkursie na Gdańską Grafikę Roku już dwukrotnie otrzymał (1988 i 1989) wyróżnienie honorowe oraz nagrody: pierwszą (1995) i drugie (1983 i 1990).

Nagrodzona praca – „Porwanie Europy” jest typową dla artysty akwafortą miniaturową. Właśnie w niewielkich formach graficznych najbardziej wyraziście ujawnia się istota warsztatu Andrzeja Taranka.

Granice intymności i sztuka kontrowersyj

■ Pojęcie intymności oscyluje wokół spraw czysto osobistych, sekretnych. Docieranie do sfer intymnych odbywa się często poprzez podpatrywanie człowieka w sytuacjach niemal archetypicznych, do czego sięgnęła Katarzyna Kozyra. Pokazana w marcu w galerii Łaźnia prezentacja jej twórczości obejmowała realizacje z lat 1993-1999: „Piramida zwierząt”, „Więzy krwi”, „Ja i AIDS”, „Olimpia”, „Łaźnia”, „Krzesło”. Całość ma kształt przeglądów filmów produkowanych różnymi technikami, oglądanych na monitorach w trzech salach. Instalacja „Łaźnia” jest dyskursem nad sposobami funkcjonowania wizerunku ciała we współczesnej kulturze. Film nakręcony został z ukrycia w łaźni w Budapeszcie. Obraz rejestruje zachowania kobiet podczas czynności higienicznych. Chłodnym okiem kamery autorka ukazuje skupiska ciał w ruchu, podczas kąpieli, czesania się i innych zabiegów. W żywym obrazie Katarzyny Kozyry wizerunek starszych, z różnymi schorzeniami kobiet nie jest estetyczny. Pokazane zostały po to, by zobrazować destruktywny wpływ czasu w najbardziej bezwzględny wymiarze – optycznym. Obrazy zaprzeczają klasycznej doskonałości kobiecej (malarstwo) i wizerunkom wywodzącym się z cywilizacji obrazkowej XX wieku – okładki pism kobiecych, reklam kosmetyków. Prace ukazują, jak w świecie kulturowych kreacji odwracamy się od odmienności i brzydoty. Instalacje wideo, choć wkładają się głęboko w obszar intymności, nie zaprzeczają normom osobistym, prawom człowieka. Ukazują jedynie wymiar egzystencji.

Katarzyna Kozyra jest artystką młodą, eksperymentującą, poszukującą własnej drogi artystycznej. Jej realizacje wywołują kontrowersje, pytania o granice wkraczania w intymność człowieka.

Prace „Więzy krwi” – instalacja powstała pod wpływem wydarzeń w byłej Jugosławii, jest symboliczną metaforą bratobójstwa – „Ja i AIDS”, „Olimpia” i „Piramida zwierząt”, nawiązują do problematyki angażującej pokolenie młodych artystów – zjawisk z obszaru polityki i zagadnień typowych dla przemian socjokulturowych, są próbą dialogu z tym, co nie znajduje akceptacji w ramach powszechnie obowiązujących norm estetycznych.

Wystawa daje wgląd w zjawiska, które w minionej dekadzie wzbudzały największe kontrowersji w sztuce młodego pokolenia. Temu służy miejsce prezentacji – Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia.

Katarzyna Kozyra jest absolwentką Wydziału Rzeźby warszawskiej ASP i stypendystką rządu austriackiego w 1998 r. Będzie reprezentowała Polskę na biennale sztuki w Wenecji. Ekspozycja gdańska jest największą polską prezentacją młodej autorki.

Sztuka Andrzeja Strumiłły w Gdańsku

■ Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie oraz Oddział Muzeum Narodowego – Pałac Opatów zaprezentowały w marcu i kwietniu malarstwo i rysunek Andrzeja Strumiłły. Ten szeroki, dwutorowy pokaz prac wybitnego artysty jeszcze raz potwierdza, że jego twórczość jest ważnym fragmentem dorobku polskiej sztuki współczesnej.

Andrzej Strumiłło zajmuje się wieloma dyscyplinami sztuki: malarstwem, grafiką, rysunkiem, fotografią, wystawiennictwem i scenografią. W 1950 roku ukończył studia pod kierunkiem Władysława Strzemińskiego w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Był długoletnim wykładowcą obydwu uczelni. W latach 1982-1984 objął stanowisko kierownika Graphic Presentation Unit (programu graficznego publikacji) Sekretariatu Generalnego ONZ w Nowym Jorku. Cykle rysunkowe i fotograficzne powstawały jako wynik podróży po wielu krajach świata. Zgromadził kolekcje sztuki i przedmiotów kultury materialnej Dalekiego i Środkowego Wschodu dla muzeów – etnograficznego w Krakowie i Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie. W Oliwie pokazał zestaw rysunków oraz notes plastyczny zawierający szkice, pomysły plastyczne.

Na sopockiej wystawie pokazał cztery cykle malarskie powstałe w ostatnich 10 latach. Najciekawszy i najbogatszy jest zbiór „Psalm”, poświęcony pamięci Żydów. Powstał dla synagogi w Sejnach. Tworzy go 18 obrazów z 1988 r. Cykl „Apokalipsa” – 12 obrazów – oparty jest na motywach Ewangelii wg św. Marka. Z kolei seria „City” to

twórcza refleksja nad kruchością ludzkiego bytu i współczesną cywilizacją. Najnowsze prace, noszące tytuł „Stosy”, pozostają w kręgu symboliki ognia.

Prezentacja twórczych osiągnięć Andrzeja Strumillo zbiegła się z pięćdziesięcioleciem jego pracy artystycznej (najstarszą pracą na wystawie w Pałacu Opatów jest rysunek katedry w Oliwie z 1945 r.). W twórczości autora przebiega tradycyjna platońska idea trzech jedności: piękna, dobra i prawdy. Ekspresja formy i koloru oraz uniwersalna symbolika nadają twórczym propozycjom ogromną siłę wyrazu. Towarzyszy temu doskonałość warsztatu, który przyswajał dzięki tak wybitnym twórcom sztuki, jak Władysław Strzemiński i Andrzej Wróblewski.

Galeria Jednego Dzieła

■ Trójmiasto zyskało nową placówkę promującą sztukę. Jarosław Bauć i jego dyptryk (Nagroda Grand Prix Ministra Kultury i Sztuki na XVII Festiwalu Malarstwa Współczesnego w Szczecinie 1998) byli bohaterami otwarcia siedziby artystycznej, kierowanej przez dr Zofię Watrak – krytyka sztuki i pedagoga. Przy współudziale znakomitości ze świata kultury, wspomagana słowem pisanym Jerzego Kamrowskiego, autorka inicjatywy i jej promotorka poprowadziła 27 lutego pierwszą biesiadę. Galeria Jednego Dzieła zainicjowała działalność w siedzibie Klubu Aktora przy ulicy Mariackiej.

– Chodziło o powrót miejsca do artystów w sensie wspólnoty – powiedziała Zofia Watrak. Tak jak to bywało dawniej w kawiarniach artystycznych, w tradycji dobrego stylu biesiad. Stąd w programie nowej placówki znajdują się potrawy dla ducha, takie jak recital piosenki aktorskiej, malarstwo. Atrakcją drugiej biesiady będzie promocja zbioru poetyckiego Jerzego Kamrowskiego, twórcy o wszechstronnych zainteresowaniach (muzealnika, rzeźbiarza, malarza, krytyka sztuki). Promowany zbiór poetycki „Cienie” jest dziełem poświęconym przyjaciołom artystom. Biesiada będzie połączona z prezentacją bohaterów sonetów.

Atmosfera pierwszego wieczoru była retro, ale nie nazbyt napuszona snobizmem, raczej sprzyjająca intelektualnym i towarzyskim klimatom.

Część artystyczna tylko częściowo jest programowana. Autorka pomysłu liczy na sytuacje spontaniczne.

Jarosław Bauć jest krakowianinem. Dyplom uzyskał w gdańskiej PWSSP, w pracowni profesora Włodzimierza Łajminga. Od 1985 r. jest nauczycielem akademickim w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. W twórczości nawiązuje do postmodernizmu. Credo artystyczne malarza zawiera się w zdaniu: „Człowiek bez aktywnej materii ożywiającej ducha nie istnieje”.

Anna Mezar



Andrzej Strumillo, z cyklu „Apokalipsa”



Jarosław Bauć, olej. Fotografie z katalogów wystaw

informacje regionalne

Audycje

„Na bôtach ë w borach”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, niedz., g. 7.05-8.00

Polskie Radio Koszalin, fale: pow. bytowski 67,73 i 103,1 MHz, pow. lęborski 91,10 MHz, pow. słupski 67,73 i 95,30 MHz, co druga niedz., g. 21.30-22.00

Radio Weekend Chojnice, fale 68,24 i 99,30 MHz, niedz., g. 7.05-8.00 i pon., godz. 17.05-18.00

„Małe ojczyzny”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, drugi i czwarty czwartek miesiąca, g. 21.05-22.00

„Pomorskiej ziemi skarbnica”

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, trzecia niedziela miesiąca, g. 23.05-24.00

„Rodnô zemia”

Telewizja Polska, gdański progr. II i III, niedz., g. 8.55-9.15 i gdański progr. III, pon. 23.10-23.30

„Magazyn kociewski”

Telewizja Polska, gdański progr. II i III; druga niedz. miesiąca, g. 8.30-8.50

Kaszubskie msze święte

W każdą niedzielę

Gniewino, kościół św. Józefa Robotnika, g. 7.30, ks. Marian Miotk

Raz w miesiącu

Wygoda, kościół św. Józefa, pierwsza niedziela, g. 11.00, ks. Bogdan Drozdowski

Gdynia Cisowa, ul. Kcyńska 2, kościół Przemienienia Pańskiego, pierwsza niedziela, g. 14.00, ks. Stanisław Megier

Żelistrzewo, kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, pierwsza niedziela, g. 17.00, ks. Zbigniew Kulwikowski

Gdynia Wielki Kack, ul. Źródło Marii 18, kościół św. Wawrzyńca, druga niedziela, g. 8.00, ks. Ryszard Kwiatek

Gdańsk, Zaulek Świętojański 2, kaplica kościoła św. Jana, druga niedziela, g. 12.00, ks. Waldemar Naczek; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim, ul. Straganiarska 20-22

Rumia, druga lub trzecia niedziela, kolejno w kościołach: św. Krzyża (ul. Kościelna 30), g. 12.30, św. Józefa (ul. Podgórna 1), g. 14.00, oraz NMP (ul. Świętojańska 1) i św. Jana z Kęt (ul. Stoczniovców 23), g. 14.30, ks. Stanisław Megier

Lipusz, kościół św. Michała, trzecia niedziela, g. 15.00, ks. Władysław Szulist

Gdynia Babie Doły, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej i św. Jerzego, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. Edmund Skierka

Gdańsk Piecki Migowo, ul. Piecowska 9, kaplica kościoła Bożego Ciała, ostatnia niedziela, g. 14.00, ks. Wojciech Chistowski i ks. Roman Skwiercz

Kościerzyna, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy Świętej, ostatnia niedziela, g. 18.00, ks. prałat Marian Szczepiński, ks. Jacek Dawidowski i ks. Andrzej Draws

Gdańsk Przymorze, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. Waldemar Naczek; po mszy spotkanie w salce parafialnej

Raz w kwartale

Lębork, ul. Basztowa 8, kościół św. Jakuba, pierwsza niedziela kwartału, g. 15.00, ks. Alfons Formela

Bytów, pl. Kardynała Wyszyńskiego, kościół św. Katarzyny, trzecia niedziela kwartału, g. 13.00, ks. Zenon Dampc

Słupsk, ul. Dominikańska 9, kościół św. Jacka, druga niedziela drugiego miesiąca kwartału, g. 14.00, ks. Roman Skwiercz

Biura parlamentarne członków ZKP

Senatorskie

Kazimierza Kleiny, AWS, 76-200 Słupsk, ul. Lutosławskiego 33, tel. 0-59/42-68-98, pon.-piąt. 10-14, dyżury senatora: pon. i piąt. 10-14 ● 84-300 Lębork, al. Wolności 22, Oddz. ZR „S”, tel. 0-59/62-03-01, wt. 13-16, piąt. 14-16

Wicemarszałka Senatu Donalda Tuska, UW, 80-866 Gdańsk, ul. Gdyrskich Kosynierów 11, I p., tel. 341-05-47 i 345-13-06, pon.-piąt. 10-17

Edmunda Wittbrodta, AWS, 80-855 Gdańsk, Wały Piastowskie 24, pok. 131, tel./fax 306-34-11, pon.-czw. 11-17, dyżur senatora: pon. 14-17

Poselskie

Jerzego Barzowskiego, AWS, 76-200 Słupsk, ul. Jedności Narodowej 2, I p., tel. 0-59/42-65-98, pon.-piąt. 8-15.30, dyżur posła: pon. 14-16 ● 77-100 Bytów, ul. Sikorskiego 27, II p., tel. 0-593/22-64, wt. 11-15 i czw. 13-17 ● 84-300 Lębork, al. Wolności 22, Oddz. ZR „S”, tel. 0-59/62-36-59, wt. 16-19

Jerzego Budnika, AWS, 84-200 Wejherowo, pl. Wejhera 15, I p., tel. 672-77-00, pon.-czw. 10-15, dyżur posła: pon. 14-16 ● 83-300 Kartuszy, ul. Klasztorna 1, tel. 681-18-35 ● 84-100 Puck, ul. Bogusława 2, tel. 673-24-65, czw. 10-12 ● 83-200 Starogard Gdański, ul. Tczewska 22, tel. 775-44-64, wt. i piąt. 15-17, śr. 15-18

Jana Kulasa, AWS, 83-100 Tczew, ul. Podmurna 11, tel. 531-24-44, pon. 13-15, wt. 12-18, śr. 15-17 i piąt. 13-17 ● 83-200 Starogard Gdański, al. Wojska Polskiego 34, tel. 562-21-55, pon. 14-18, śr. i piąt. 15.30-18.30

Jana Wyrowińskiego, UW, 87-100 Toruń, Piękary 37-39, tel. 0-56/652-14-22, tel./fax 0-56/622-16-65, pon.-piąt. 9-15 ● 87-300 Brodnica, ul. Przykop 43, DK, pok. 11, tel. 0-511/821-42, pon. 16-20 ● 86-200 Chelmno, ul. Hallera 11, tel. 0-56/686-92-15 ● 86-300 Grudziądz, ul. Małomłyńska 1, I p., tel. 0-51/244-71, pon.-piąt. 12-14

Izby pamięci i regionalne

(podano nazwiska opiekunów placówek)

W szkołach

77-138 Borowy Młyn, ul. Kaszubska 1 (SP), gm. Lipnica, tel. 0-593/185-37, Historyczna

Bytonia, ul. Szkolna 2 (SP), 83-210 Zblewo, tel. 588-43-84, Kociewska Regionalna

77-116 Czarna Dąbrówka (SP), tel. 0-593/124-62, Armii Krajowej (J. Trzebiatowski)

Czersk, ul. Szkolna 3 (LO), tel. 0-531/842-21, Powstania Listopadowego

Gorzędziej, ul. Tczewska 12 (SP), 83-120 Subkowy, tel. 536-86-29, H. Stangenberga

83-440 Karsin, ul. Długa 167 (SP), tel. 687-31-79, Regionalna Pamiątek

Kartuszy, os. Wybickiego (SP 5), tel. 681-11-54, A. Majkowskiego (B. Zieliński)

Kłęczno (dawna SP), 77-143 Studzienice, tel. 0-593/140-22, Regionalna (S. Szroeder)

Kosobudy (SP), 89-632 Brusy, tel. 0-531/831-20, Regionalna

Kościerzyna, ul. Skłodowskiej-Curie 19 (SP 6), tel. 686-34-34, Księdza B. Sychy (J. Gdaniec)

83-424 Lipusz, ul. Wybickiego 27 (SP), tel. 687-45-11, Pamięci Narodowej

84-216 Lębno (dawna SP), gm. Szemud, tel. 676-18-97, Gminna Regionalna; druga i czwarta niedz. miesiąca, g. 14-17 (S. Belgrau)

84-351 **Nowa Wieś Lęborska** (SP), tel. 0-59/61-21-45, Pamięci Więźniów Obozu Stutthof

83-261 **Piece**, ul. Szkolna 11 (SP), gm. Kaliska, tel. 587-18-03, Pamięci I. Gulgowskiego

Pinczyn (SP), 83-210 Zblewo, tel. 588-45-82, Kociewska Regionalna, pon.-piąt. 8-10.30, sob. 14-17

83-236 **Pogódki** (SP), gm. Skarszewy, tel. 588-11-76, Pamięci Szturmowskich

77-320 **Przechlewo** (SP), tel. 0-597/343-00-26, Etnograficzna (M. Wikaryjczyk)

83-331 **Przyjaźń** (SP), gm. Żukowo, tel. 681-80-21, Regionalna

86-123 **Przysiersk** (SP), tel. 0-52/331-92-23, Regionalna

Redkowice (SP), 84-351 Nowa Wieś Lęborska, tel. 0-59/61-22-31, Pamięci TOW „Gryf Pomorski” (G. Król)

83-340 **Sierakowice**, ul. Kubusia Puchatka 2A (SP), tel. 681-62-34, Regionalna (S. Formela)

Słupsk, ul. Lutosławskiego 23 (SP 1), tel. 0-59/42-55-01, Martyrologii Dzieci Polskich (M. Gardos) ● ul. Sobieskiego 2 (SP 4), tel. 0-59/43-22-02, Historyczna (E. Michałowska) ● ul. Małachowskiego 9 (SP 9), tel. 0-59/42-27-86, Komandora Hryniewieckiego

Starogard Gdański, szkoły: ul. Chojnicka 70, tel. 562-25-48, al. Jana Pawła II 4, tel. 562-20-81 i ul. Sobieskiego 6, tel. 562-22-49, Izby Martyrologii i Walki Kociewia ● ul. Wybickiego 17 (SP 7), tel. 562-28-30, W. Broniewskiego ● ul. Paderewskiego 11 (ZSZ), tel. 562-50-81, Majora „Hubala”

84-107 **Starzyno**, ul. Żarnowiecka 22 (SP), gm. Puck, tel. 673-87-76, Muzealna im. J. Drzeżdżona (M. Redlin)

83-120 **Subkowy**, ul. Zamkowa 2 (SP), tel. 536-85-66, Historyczna (L. Kapturska), VII i VIII, g. 8-15

W innych miejscach

Biała Góra, 83-441 Wiele, gm. Karsin, Ptaków, Ssaków i Motyli (I. Skwierawska)

Brusy, ul. Dworcowa 18 (MDK), tel. 0-531/824-98, Regionalna

86-122 **Bukowiec**, ul. Ceynowy 14 (UG), tel. 0-52/331-95-80, Regionalna

Gdańsk, ul. Dyrekcyjna 2-4, III p., tel. 308-54-92, Tradycji Północnej DOKP

Gdańsk Sobieszewo, ul. Turystyczna 3, tel. 308-07-66, W. Pola (R. Sykisz), pon.-piąt. 8-15

Gdynia Grabówek, ul. Morska 83, tel. 621-70-41, w. 650, Tradycji WSM, IX-VII, pon.-piąt. 8-14 (E. Otremba)

Gdynia Orłowo, ul. Światowida 7, tel. 622-15-20, Zbiory kaszubskie ks. H. Jastaka

Jaglie, 89-632 Brusy, tel. 0-531/823-74, Rzeźby J. Chelmowskiego

Jastarnia, ul. Rynkowa 10, Chata rybacka, VII i VIII: wt.-niedz. 14-18

Kartuzy, ul. Gdańska 15, Kaszubski Dwór, tel. 681-46-47, Pamięć zespołu Kaszuby

Odcinek dla poczty	Odcinek dla banku	Odcinek dla posiadacza rachunku	Potwierdzenie dla wpłacającego
zł gr	zł gr	zł gr	zł gr
słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający
na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132	na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132	na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132	na rachunek: Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 20-22 80-837 Gdańsk BIG BG IV O/Gdańsk nr 11601322-664390-132
datownik podpis przyjm. opłata	datownik podpis przyjm. opłata	datownik podpis przyjm. opłata	datownik podpis przyjm. opłata
Wypełnić na odwrócie	Wypełnić na odwrócie	Wypełnić na odwrócie	Wypełnić na odwrócie

Oplata za:	prenumeratę „Pomeranii” od numeru do numeru Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu 1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł	
Oplata za:	prenumeratę „Pomeranii” od numeru do numeru Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu 1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł	
Oplata za:	prenumeratę „Pomeranii” od numeru do numeru Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu 1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł	
Oplata za:	prenumeratę „Pomeranii” od numeru do numeru Pojedynczy egz. „Pomeranii” w I półroczu 1999 r. – 3,5 zł, w II półroczu – 4 zł	

Kartuzy, ul. Kolejowa (dworzec PKP), tel. 681-01-44, Tradycji kolei

84-110 **Krokowa**, ul. Zamkowa 1, tel. 673-77-06, Pamięci Polaków Pomordowanych i Represjonowanych przez III Rzeszę

Lizaki, 83-406 Wąglikowice, gm. Kościerzyna, Rzeźby stylizowane H. Trzcińskiego i rzeźby ludowe oraz zbiory etnograficzne

83-041 **Mierzeszyn**, gm. Trąbki Wielkie, Zbiory etnograficzne i rzeźby Z. Bukowskiego

Ostrzyce (Punkt IT), 83-311 Goręczyno, gm. Somonino, tel. 684-16-12, Kaszubska

83-304 **Przodkowo**, ul. Kartuska 21, tel. 681-96-98, Strażacka (W. i L. Deykowie)

Rumia, ul. Mickiewicza 19 (MDK), tel. 671-07-37, wystawa muzealna „Dzieje Rumi”, pon.-piąt. 9-15

Puck, ul. Morska 13, tel. 673-29-72, Zbiory rybackie J. Budzisa (A. Budzisz i E. Budzisz-Szczepańska)

Sławoszyno, 84-110 Krokowa, tel. 673-71-93, GOK, Regionalna im. F. Ceynowy

Sprzedają „Pomeranię”

Księgarnie

- **Bydgoszcz**, ul. Długa 11, Salon „Ruchu”
- **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12, „Conrad”
ul. Gdańska 12, „Conrad II”
- **Chojnice**, ul. Kościuszki 6, „Wiedza”
- **Gdańsk**, ul. Długa 62-63, „Dom Książki”
ul. Długi Targ 31-32, im. B. Prusa
ul. Grobla I 13, „Fantom Press”
ul. Grobla II 12-14D
ul. Grunwaldzka 99-101, „Po schodkach”
ul. Piwna 25-26, „Silva Rerum”
ul. Wita Stwosza 55, „Literka”
- **Gdynia**, ul. Obrońców Wybrzeża 11, „Morska”
ul. Świętojańska 1, „Fantom Press”
- **Kościerzyna**, Rynek 14, „Dom Książki”
- **Lębork**, ul. Słowackiego 12, „Liber”
- **Łeba**, ul. Kościuszki 69
- **Puck**, pl. Wolności 33, im. A. Abrahama
- **Sopot**, ul. Powst. Warszawy 2-6, „Artystyczna”
- **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 260, „Remus”
- **Władysławowo**, ul. Hallera 11, „Amber”

Sklepy i inne placówki

- **Gdańsk**, ul. Długie Pobrzeże 11, „Bówka”
ul. Szewska 1-4, „Kaszubski”
- **Gdynia**, ul. Morska 95, „Venta”, W. Papierz
- **Jastarnia**, ul. ks. Stefańskiego 27, „U Justyna”
- **Kartuzy**, Rynek 2, Agencja Turystyczna
- **Kosakowo**, ul. Żeromskiego, kiosk J. Karszni
- **Krokowa**, ul. Wejherowska 3, „Spożywczy”
- **Lipusz**, ul. Młyńska 12, kiosk w Klubie Rolnika
- **Osie**, Rynek 17, kiosk z prasą
- **Ostrowo**, ul. Zabytkowa 20, „Spożywczy”
- **Puck**, ul. Morskiego Dywizjonu Lotniczego 7, piekarnia I. Brzóska
- **Wiele**, ul. Dąbrowska 32, kiosk w DK
- **Żukowo**, ul. Gdynska 52, „Supersam” **Kow.**

REMONTOWA



m/s NUERNBERG EXPRESS



m/s CT SUN



m/t WILMA YUKON



m/s SEAWAY KINGFISHER



m/s MERCEDES

remonty przebudowy

budowa statków projekty offshore

Gdańska Stocznia „Remontowa”
im. J. Piłsudskiego Spółka Akcyjna
80-958 Gdańsk, Na Ostrowiu 1
tel. (058) 307 16 00, fax (058) 301 25 32
<http://www.remontowa.com.pl>
e-mail: remontowa@remontowa.com.pl

Na emeryturze nie musisz udawać życia!



Bezpłatna **egolinia** 0-800 202 202
Internet: www.ego.pl

Otwarty Fundusz Emerytalny

Zarządzany przez Powszechne Towarzystwo Emerytalne BIG Banku GDAŃSKIEGO S.A.

{ego}
pozostań sobą